



Maria Sveland

*Z gorzkniatą pizzą*

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

Maria Sveland

*Zgorzkniała pizda*

przełożył

MACIEJ MUSZAŁSKI

Wydawnictwo Czarna Owca

WARSZAWA 2013

Tytuł oryginału  
*BITTERFITTAN*

Redakcja  
Agnieszka Niegowska

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce  
© ozrenm/iStock

Korekta  
Maciej Korbasiński

DTP  
Marcin Labus

Copyright © Maria Sveland 2007  
First published by Norstedts, Sweden, in 2007  
Published by agreement with Norstedts Agency

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-7554-776-4

Wydawnictwo

---

**CZARNA  
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
e-mail: [wydawnictwo@czarnaowca.pl](mailto:wydawnictwo@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51  
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Skład wersji elektronicznej:  
[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.Sp.z.o.o.)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na  
*Polska Izba Książki*

Dla Olofa, Leo i Maxa

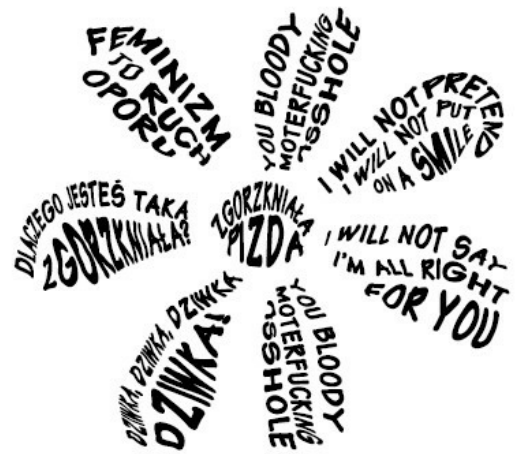
I will not pretend  
I will not put on a smile  
I will not say I'm all right for you  
When all I wanted was to be good  
To do everything in truth  
To do everything in truth

You bloody mother fucking asshole  
Oh you bloody mother fucking asshole  
Oh you bloody mother fucking asshole

Martha Wainwright, *Bloody Mother Fucking Asshole*

Stu siedemnastu psychoanalityków leciało Pan Amem do Wiednia. Przechodziłam psychoanalizę u co najmniej sześciu z nich; poślubiłam siódmego. Bóg jeden wie, czy było to zasługą mojej niezrównanej odporności na psychoanalizę, czy tępoty samych łapiduchów – że teraz bałam się latania bardziej niż trzynaście lat temu, kiedy zaczęłam swoje psychoanalityczne przygody. Mąż terapeutycznie chwycił mnie za rękę w momencie startu.

Erica Jong, *Strach przed lataniem*<sup>1</sup>



## RADOŚĆ Z LATANIA

Jest brzydki styczniowy poranek, siedzę w samolocie na Teneryfie. Jestem tak cholernie zmęczona, tak brzydka, tak kurewsko zła. Nie, nie zła, wkurzona. Jestem tak kurewsko wkurzona. Na wszystko, ale przede wszystkim na siebie, i to właśnie sprawia, że jestem zimna jak lód. Tak długo już jestem zła. Usztywnia mnie stwardniała szara masa. Sprawia, że chce mi się pić zbyt dużo wina i zapomnieć o wszystkim, co brzydkie. Na przykład o styczniowych porankach.

Zawsze nienawidziłam stycznia.

Siedzę w samolocie, czytam *Strach przed lataniem* i staram się być spokojna, może nawet przez krótką chwilę szczęśliwa?

Mam dopiero trzydziestkę, a jestem już tak zgorzkniała. Kawał zgorzkniałej pizdy i tyle.

Nie tak miało być. Jak każdy marzyłam tylko o miłości. Zaczęło jednak we mnie kiełkować podejrzenie, a może nawet przekonanie, drążące głębokie, ropiejące rany: Jak tu w naszym społeczeństwie mówić o równouprawnieniu, skoro nie potrafimy żyć na równych prawach nawet z tymi, których kochamy?

Mam trzydzieści lat, dokładnie tyle, ile Isadora w *Strachu przed lataniem*,



ale jestem bez porównania bardziej zmęczona i zniechęcona. Rodzinne piekło wyssało ze mnie energię i pozostawiło w środku emocjonalne brudne plamy. Mogłabym być nią. Mogłabym być tobą, Isadoro, gdybym cokolwiek czuła. Ale wszystko się zablokowało i nie czuję już nawet strachu przed lataniem.

I w ogóle nie wiem, jak miałabym przeżyć, nie będąc już zawsze zgorzkniała, skoro dookoła jest tyle powodów do zgorzknienia. Wszystkie te kobiety o kwaśnych ustach i pustych oczach. Te, które warczą na ciebie przy chłodziarce z nabiałem, bo stoisz im na drodze. Które sprawiają, że chcesz odwarknąć: „Wstrętna baba”. I które psują ci humor na resztę dnia. Może dlatego, że o czymś ci przypominają?

Parę dni temu uderzyła mnie myśl, że istnieje znaczące ryzyko, iż za dwadzieścia lat sama taka będę. Już jestem w połowie drogi, jeżeli chodzi o przemianę w zgorzkniałą pizdę. Wygląda na to, że nie sposób tego uniknąć w społeczeństwie, które dyskryminuje, gwałci, maltretuje i znieważa dziewczynki i kobiety.

Próbuję o tym myśleć za każdym razem, kiedy widzę niezadowoloną babę: że gdzieś tam w środku jest radosna mała dziewczynka, która kiedyś śniła wielkie sny nieznające ograniczeń.

Siedzę w samolocie i czytam o Isadorze. Leci na konferencję do Wiednia razem ze stu siedemnastoma psychoanalitykami i swoim mężem Bennettem – psychoanalitykiem.

W moim samolocie nie ma stu siedemnastu psychoanalityków, jestem tylko ja i około sześćdziesięciu innych pechowców, bladych, jak to w styczniu, z których każdy wygląda mniej lub bardziej nieszczęśliwie. Mnie również nie czeka spotkanie z marzeniami ani cudowny szybki numer z cudownym nieznajomym. Czeka mnie wybudowany w latach osiemdziesiątych hotel, w którym z pewnością będzie mnóstwo emerytów, może jedna rodzina z dziećmi i ja. W latach siedemdziesiątych, kiedy Erica Jong pisała *Strach przed lataniem*, wszystko było o wiele zabawniejsze. Po części dlatego siedzę teraz w tym miejscu i jestem zgorzkniałą pizdą.

Kiedy ona mogła się pieprzyć na prawo i lewo, poddawać psychoanalizie, ćpać na imprezach, lewicować i uczestniczyć w wielkim ruchu kobiecym z prawdziwego zdarzenia, ja dorastałam w antyfeministycznych, załękno-

nych latach osiemdziesiątych, gdzie wszystko, nawet tusz do rzes, było ciemnoniebieskie.

Erica Jong ukuła termin „seks w stylu «suwaku, otwórz się»” – czyste zbliżenie bez zobowiązań, numerki wolny od żalu, przeszłości, od walki o władzę. Ale to było wtedy, w zabawnych latach siedemdziesiątych. Trzydzieści lat później, w zupełnie innym świecie, wymyślam termin „zgorzkniała pizda”. Czuć w nim ciężar winy i wszystkie historyczne niesprawiedliwości. Ciężar walki o władzę między jedną a drugą płcią. Taka się właśnie stajesz w naszym społeczeństwie. Jeśli jesteś kobietą.

Kiedy Isadora propagowała seks bez zobowiązań i rekreacyjne ćpanie, moje pokolenie wysłuchiwało wykładów o aids i uzależnieniach. Gdy trochę podrośliśmy i postanowiliśmy, że zaczniemy terapię, kolejki do psycho terapeutów nie miały końca, ponieważ słabość nie pasuje do mitu postępu zapewnionego przez wolność gospodarczą. A kiedy byliśmy gotowi do podjęcia pracy, Szwecja tkwiła akurat w recesji i bezrobocie naprawdę nie było tematem do żartów.

Teraz zaś jest styczeń, a ja siedzę w samolocie i czytam o „suwaku, otwórz się” Isadory. Oraz o Bennecie i Adrianie – jej mężu i kochanku.

Lecę samolotem na kretańską Teneryfę zamiast do Wiednia, gdzie na konferencji psychoanalityków czekałby mnie szybki numerki bez zobowiązań.

Obok mnie siedzi para, na oko trzydziestolatkowie. Kiedy wyciągam książkę, słyszę, że dziewczyna pociąga nosem. Jest odwrócona do małego okna i trzęsą jej się ramiona. Jej partner, ubrany w garnitur mężczyzna o starannie i krótko przystrzyżonych włosach, widzi, że ja widzę. Wskazuje moją książkę i przewraca oczami.

– Proszę wybaczyć mojej dziewczynie, ona boi się latać – mówi i zdobywa się na lekki śmieszek, który jednak więźnie mu w gardle i brzmi złośliwie. Tym razem zwraca się do niej: – Nie rozumiem, czego ty się boisz. Wiesz przecież, że jazda samochodem jest bardziej niebezpieczna niż latanie.

Znów spogląda na mnie, chcąc zyskać poparcie, ale ja spuszczam wzrok i wracam do książki. Dziewczyna odwraca się do chłopaka i chlipie mu w ramię.

– Tak, wiem. Jestem strasznie głupia, ale nic na to nie poradzę.

Podchodzi stewardesa, starsza kobieta z dużym, dającym poczucie bezpieczeństwa biustem. Pochyliła się i przemawia uspokajającym głosem, który płynie ze starannie pomalowanych na różowo ust. Przyjazne spojrzenie stewardesy spotyka się ze spojrzeniem przestraszonej dziewczyny.

– Czy chciałaby pani przejść na przód samolotu i zobaczyć, jak wszystko wygląda z kabiny pilotów? – pyta, roztaczając cierpką woń ciocinych perfum.

Lubię ją. Przestraszona dziewczyna chyba też – jest jej miło, że ktoś próbuje ją pocieszyć, zamiast wyszydząć.

– Nie, dziękuję. Nie trzeba. To zwykle mija, jak tylko wzbijemy się w powietrze. Najgorszy jest start i lądowanie.

– Tak, większość pasażerów tak ma – odpowiada stewardesa. – Czy mam pójść po whisky?

– Tak, prosiłabym. Bardzo pani dziękuję! – mówi przestraszona i z wdzięcznością spogląda na swoją dobrą wróżkę.

Chłopak się nie odzywa i sprawia wrażenie, jakby cała sytuacja go żenowała. Przedstawienie.

Lecimy. Wysoko. Huczy w uszach i cieszę się, że już jesteśmy w powietrzu.

Z głośników dobiega miękki głos stewardesy. Ogromnie się cieszy, że może nas powitać, i życzy przyjemnego lotu. No i kto by pomyślał, że akurat dzisiaj będzie miała „fantastyczną” ofertę. Dla nas wszystkich.

– Perfumy „ze słynnego domu towarowego Gucci” za jedyne sto koron. A może trzy tusze, dzięki którym wasze rzęsy będą długie, czarne i piękne. Wszystko w niezwykle atrakcyjnej cenie.

Nie wiem, od kiedy biedne stewardesy muszą pracować również jako sprzedawczynie, ale dziewczyna kupuje tusz do rzęs, a jej partner nadal uparcie milczy, zamiast ją pocieszać.

Personel pokładowy przynosi małe tacki ze śniadaniem. Jem i czuję, jak pod wpływem słodkiego jogurtu, ciepłej bułki z serem i czarnej kawy opuszcza mnie zmęczenie. Może to śniadanie, a może whisky, ale dziewczyna jest już trochę spokojniejsza, przestała płakać i chce rozmawiać.

– Pani nigdy nie boi się latać? – pyta.

– Nie, ale boję się mnóstwa innych rzeczy – odpowiadam.

Nie chcę, żeby czuła się jeszcze głupsza, niż czuje się teraz. Poza tym to szczerą prawdą. Panicznie boję się niemal wszystkiego: wieczornych powrotów ze stacji metra do domu, jazdy samochodem, rowerem, niebycia kochaną.

Pyta, czy podróżuję sama, a kiedy odpowiadam, że tak, patrzy na mnie wielkimi oczyma.

– Boże, jaka pani jest dzielna, ja bym się nigdy nie odważyła!

Miło mi, że jest ktoś, kto uważa, że jestem dzielna. Nawet jeśli to tylko dziewczyna, która boi się latać. Uśmiecham się do niej szeroko i mówię, że w domu został mój dwuletni syn, który przyprawia mnie o bezsenność, i że muszę zrobić sobie przerwę od wszystkiego.

– Ma na imię Sigge. Chce pani zobaczyć? – pytam i z dumą pokazuję zdjęcie, które zawsze mam przy sobie.

Trofeum i pamiątka na wypadek, gdybym zapomniała, bo nie da się zaprzeczyć, że moje sny na jawie coraz częściej dotyczą wielkiej, nieskrępowanej samotności. Takiej bez męża i dziecka. Cichej samotności, w której jest przestrzeń dla myśli. Te sny wywołują poczucie winy.

Rodzi się we mnie potrzeba wytłumaczenia dziewczynie, że naprawdę jestem normalna, mam rodzinę *und alles*, wszystko. Widzę jednak, że przynosi to odwrotny efekt. Z dzielnej i gotowej do samotnych podróży staje się podejrzana.

– Syn nie będzie za panią tęsknił?

– Będzie, a ja będę tęskniła za nim, ale myślę, że po tygodniowym odpoczynku stanę się lepszą mamą.

Dziewczyna patrzy na mnie wąskimi oczyma.

– Tak, to tylko na tydzień – spieszę zapewnić, ona jednak jest bezlitosna.

– Dla dwulotka tydzień to przecież bardzo długo, prawda?

– Tak – odpowiadam.

Dziewczyna chwyta chłopaka za rękę i całuje go w policzek. On podnosi wzrok znad gazety i odwzajemnia pocałunek. Patrzą na siebie w miłosnym porozumieniu.

To, że tygodniowa ucieczka od męża i dziecka bez ważnego powodu jest czymś dziwnym, zrozumiałam, kiedy opowiedziałam o niej znajomym i ro-

dzinie.

– Nie układa ci się z Johanem? – pytała większość.

Może zresztą tak właśnie było – styczniowe przygaśnięcie namiętności, efekt intensywnego świątecznego tournée po krewnych w Västerås. Ale nie gorzej niż zwykle, żaden tam znów małżeński kryzys, nic z tych rzeczy. Tylko trochę nienormalnego zmęczenia połączonego z majstersztykiem logistycznym, jakim było zawożenie dziecka do przedszkola i odbieranie go stamtąd oraz dwie pełnokrwiste kariery, których oboje na nieszczęście pożądamy.

I oto nagle, kiedy się budzisz, widzisz ją – przepaść, która może się pojawić na przykład pewnego ciemnego styczniowego poranka. Bezdenne zmęczenie. Spojrzałam na przykryte śniegiem dachy domów i stwierdziłam sucho, że jest pięknie. Krajobraz jak z bajki. Przez chwilę czułam przyjemne mrowienie, ale szybko przeszło ono w rzeczową konstatację. Zblokowanie, które znam już aż za dobrze.

Kiedy mrowienie ustało? Spojrzałam na męża, który jadł śniadanie po drugiej stronie stołu. Czytał dział sportowy – równie mocno pochłonięty jak ja, kiedy czytałam dział kulturalny. Próbowałam usłyszeć, co jest w radiu, ale ktoś tylko coś mówił i pożałowałam, że nie jestem osobą, która rankiem słucha muzyki. Że nie jestem kimś, kto piłby herbatę zamiast ohydnej kawy i jadł śniadanie na kanapie, słuchając muzyki klasycznej i rozmyślając. Ale kawa bardziej truje, a radio przeszkadza, w tym zaś jest coś pociągającego, co dobrze pasuje do zblokowania.

Sigge bawił się w swoim pokoju. Poczułam niezadowolenie na myśl, że za chwilę będziemy musieli się przedzierać przez śnieżną breję do przedszkola, a później dalej, do metra, zatłoczonego, wilgotnego, z zaparowanymi szybami.

Zawsze zestresowana, zawsze zmęczona i często niezadowolona. Włosy będę miała mokre, bo czapkę zostawiłam wczoraj w redakcji, i już wiedziałam, że zmarznę. Czułam, że nienawidzę stycznia. Tak bardzo go nienawidzę.

Czasami wszystko to sprawiało taki ból, że musiałam udawać, że to film. Że gram w nim rolę zblokowanej matki małego dziecka. Pozowałam na kanapie, w chińskim szlafroku. Może byłam piękna?

Nasze ślubne zdjęcie wisi na ścianie w przedpokoju. Jak szyderczo uśmiechnięta pamiątka po wszystkim, o czym marzyliśmy. Po wszystkim, czego chcieliśmy. W dniu naszego ślubu lało jak z cebra, więc wyszłam za mąż w żółtej pelerynie przeciwdeszczowej. Przyglądałam się swoim czerwonym od płaczu oczom i mokrym od deszczu włosom, które kleiły się do głowy. Płakałam, bo tak mnie wzruszyła troska, opieka i ciepło, jakimi otaczali nas wszyscy krewni i przyjaciele.

Kiedy się pobieraliśmy, wszystko wydawało się takie wielkie, dorosłe i piękne. Ale zaledwie kilka miesięcy później musiałam zacząć obracać w żart absurdalność faktu, że oto ja, właśnie ja, wyszłam za mąż. Nie że bym nie kochała Johana, bo zawsze darzyłam go miłością (nie licząc rocznego kryzysu małżeńskiego), ale prawda była taka, że nie mogłam pogodzić się z byciem mężatką. Nie mogłam znieść całego tego syfiastego bagażu łączącego się z małżeństwem. Niesmaku na myśl o tym, co tak naprawdę reprezentuje. Setki lat ucisku, miliony nieszczęśliwych ludzi, których szepty słychać gdzieś w tle.

Nie wiem, jak poradzić sobie z rozdwojeniem uczuć, chęcią bycia mężatką, mimo że nie znam ani jednego szczęśliwego małżeństwa. To jakby mieć pęcherz na języku i, mimo bólu, być zmuszonym go dotykać. Nie mogę nie czytać wszystkich krytycznych książek, jakie kiedykolwiek napisano o małżeństwie. Zwłaszcza tych z lat siedemdziesiątych.

To dlatego czytam w kółko *Strach przed lataniem*, dlatego pochłaniam to, co Suzanne Brøgger pisze o rodzinie nuklearnej – czuję się, jakby rozpaczała także nad moją rodziną, i dochodzę do wniosku, że tak właśnie jest.

Nie znam żadnych szczęśliwych rodzin ani małżeństw. Żadnych. Ani jednego w moim najbliższym otoczeniu. Dziadkowie od strony matki i ojca, mama, tata, ciotki, wujowie, przyjaciele – wszyscy tkwią w nieszczęśliwych małżeństwach. Złapani na mit miłości.

Moja nieszczęsna głowa zapchana jest fałszywą miłością.

Mieszka we mnie kobieta podobna do Lill-Babs, tej piosenkarki z imponującą listą byłych mężów. Albo do Sue Ellen z serialu *Dallas*, której wydeptane usta drżą za każdym razem, kiedy J.R. daje jej powód do zazdrości. Lill-Babs i Sue Ellen są zmęczone, znudzone i raczej smutne, ale nigdy złe. Sue

Ellen sący tylko musujące wino, upijając się akurat na tyle, żeby wysyczyć przez zęby: „Nienawidzę cię”. Akurat na tyle głośno, żeby J.R. nie usłyszał.

Moja nieszczęsna głowa pełna jest obrazów, tłumiących każdą odrobinę prawdziwego uczucia. Wszystkie obrazy tego, jak powinna smakować miłość, utrudniają wycucie, czy jest kwaśna. Słona. Słodka.

Początki powinny być romantyczne, wypełnione przezabawnymi i odpowiednio dramatycznymi spotkaniami i nieporozumieniami. Pełne pożądania. Później wszystko cichnie i człowiek zaczyna desperacko walczyć, żeby to wszystko nadal wydawało się święte i wspaniałe. Nikt nie rozmawia z tobą o bólu, nawet najbliższe przyjaciółki. O prawdziwym bólu, którego nie należy mylić z fałszywą pieśnią-skargą czasem śpiewaną przez kobiety. Powierzchną gadką o tym, jak beznadziejni są ich mężowie, podczas gdy one gotują, sprzątają cały dom, zawożą dzieci do przedszkola i stamtąd je odbierają. To biadolenie, które być może jest wyrazem rzeczywistego bólu, który tli się gdzieś głęboko, tworząc guzy nowotworowe, ale nie jest w stanie sprowokować wielkiej wściekłości i konkretnych zmian. Biadolenie, które jest tylko wentylem, prowadzącym do tego, że kobiety nadal zaniebują swoje życie i intelekt, zużywając całą energię na swoich mężów.

Prawdziwy ból skłania cię do zastanowienia się, czy naprawdę byłabyś szczęśliwsza, gdybyś wybrała inne życie. Sprawia, że rozglądasz się dookoła i zastanawiasz, czy coś jest z tobą nie tak. Czy przeoczyłaś coś, co wszyscy inni zrozumieli.

Aż wreszcie dochodzisz do wniosku, że dudniąca cisza bierze się stąd, że wszyscy inni są zajęci pielęgnowaniem własnych miłosnych kłamstw.

Próbuję zrozumieć, co naprawdę znaczy to, o czym pisze Brøgger. „Początkiem problemów w małżeństwie jest moment, w którym miłość zaczyna przenikać do rodziny. Stąd biorą się wszystkie nieszczęścia”.

Może kiedy małżeństwo było tylko umową, zawieraną w przyjaznej atmosferze transakcją, wszystko było proste?

Wtedy przynajmniej nie było mowy o wszystkich zaprawionych romantyzmem oczekiwaniach. Jednak gdy tylko mit miłości i sentymenty zaczęły mieć monopol na życie we dwoje, pojawiło się rozczarowanie. Może to właśnie wtedy została zagarnięta wolna miłość? Pomniejszona do czegoś, co tyczy się tylko dwóch osób, mężczyzny i kobiety. „Bycie we dwoje – pi-

sze Brøgger – jest zorganizowaną formą nieprzeżytego życia. Ciągami nie-spotkań”. To chyba najpiękniejsze, co kiedykolwiek przeczytałam.

Gdybym przynajmniej była głupkowato radosną żoną i matką, członkinią Wolnego Kościoła. To wyniszczające nosić obraz samej siebie z życia, które wiodłam około 1994 roku, zanim poznałam Johana. Wszystkie imprezy, mężczyźni, cały ten czas, sen, całą wolność. Równie wyniszczające jak śnienie na jawie o latach siedemdziesiątych.

Bo kiedy przepaść między marzeniami a rzeczywistością jest zbyt duża, kobieta zmienia się w zgorzkniałą pizdę. Próbuje walczyć, ale, niestety, wiele wskazuje na to, że trzeba się z tym liczyć.

Jest tyle powodów do pełnych goryczy analiz. Do czytania i słuchania wszystkich tych spiskowych teorii, które potwierdzają tylko to, co już wcześniej przeczuwałam.

Poza tym jest styczeń, mam trzydzieści lat, małe dziecko i od siedmiu lat jestem mężatką.

Siedem lat! A wszystko się jak gdyby zablokowało.

No i nienawidzę stycznia. Tak bardzo go nienawidzę.

Jedyne, co na chwilę pomaga, to gorące kąpiele. Przez cztery tygodnie, każdego wieczoru, zanurzałam się w wannie. Gorąca woda pociesza i otacza, rozgrzewa i pozbawia ciężaru, sprawia, że przyjemnie kręci mi się w głowie. W łazience mogę się zamknąć od środka i nie odpowiadać, kiedy ktoś czegoś ode mnie chce.

W wannie pocieszałam się tęsknotą Isadory.

*A co z innymi tęsknotami, które zdławiło życie małżeńskie? Z pragnieniem wyrwania się od czasu do czasu na drogi wolności, samotnej konfrontacji z własnym ja? Co z podjęciem wyzwania, jakim jest próba przeżycia w odludnej chacie, w głuszy, tak, by nie odejść od zmysłów? Krótko mówiąc, próba sprawdzenia, czy po wielu latach życia na pół gwizdka jest się zdolną pójść na całość [...]. W ciągu pięciu lat małżeństwa nabrałam na to wszystko ochoty. Zachciało mi się mężczyzn i samotności, seksu i pustelniczego życia. Miałam świadomość, że są to rzeczy przeciwstawne – co jeszcze pogarszało sprawę.*

Czytając w wannie, myślałam sobie, że Kocham Isadorę i jej chwiejność, ale sama nie chcę się pieprzyć. Ani romansować z jakimś innym nieszczęśli-



wym palantem. Nawet tego nie chcę. Myślałam, że sprawy zaszły tak daleko, że nawet moje sny na jawie traktują o samotności i czasie. O tym, by móc spać i mieć czas dla swoich myśli.

W zeszłym tygodniu nastął taki dzień, kiedy moje styczniowe życie stało się po prostu nie do zniesienia. W czwartek rano, pedałując co siłą, dojechałam do Instytutu Psychoterapii. Mokra od potu, spóźniona kilka minut i rozłoszczona, ponieważ kobieta przy kasie nie mogła rozmienić mi setki – zawsze brakuje im drobnych, jakby chcieli udawać, że nie biorą pieniędzy. Próbowałam się wytrzeć w toalecie szorstkimi chusteczkami, ale to nic nie pomogło, ponieważ w dalszym ciągu mocno się pociałam. Wiedziałam, że terapeuta Niklas już czeka i, jak zwykle w tej toalecie, zaczęłam płakać. Nie wiem, ile razy użalałam się nad sobą w tym miejscu. Niklas ma w sobie coś, co prowokuje ogromny smutek. Ciepłe przyzwolenie na bycie małą, biedną istotą, która wie, że on tam jest, gotów poświęcić swój czas. Miły starszy brat, jedyna relacja z mężczyzną pozbawiona pełnego zamętu pożądania.

Tak więc siedziałam naprzeciwko niego i skarżyłam się na styczniowe poranki, na brak snu i na to, że nie czuję już mrowienia. Przeklinałam swoje zablokowanie i tłumaczyłam, że najbardziej ze wszystkiego chciałabym po prostu uciec.

On patrzył na mnie sympatycznymi oczyma, które tak bardzo lubię.

– Co panią powstrzymuje? – zapytał rzeczowo.

Spojrzałam na niego i nie potrafiłam odpowiedzieć.

Co mnie powstrzymuje? W zasadzie nic. Ani praca, ani partner, ani pieniądze. Moje wahanie wynikało z czegoś zupełnie innego. Niewypowiedzianego. Z zakazanego uczucia. Jakbym właśnie miała popełnić straszną zbrodnię.

Chwila, gdy nie potrafiłam odpowiedzieć, co mnie właściwie powstrzymuje, była tak krępująca, że jeszcze tego samego wieczoru zaczęłam przeglądać oferty podróży.

Nie chciałam jechać daleko – na to byłam zbyt tchórzem. Tęsknota za słońcem i ciepłem była zbyt wielka, żeby wybierać jakieś interesujące duże miasto. Stało na czarterowym locie na Teneryfę – ten cel podróży bardziej pasował do kretyнки, jaką jestem. Albo jaką się stałam.

– Muszę – oznajmiłam Johanowi, który wprawdzie mnie nie powstrzymywał, ale był daleki od nadmiernego zachwytu. – To zdziała cuda dla naszego małżeństwa – kontynuowałam.

Potrzebowałam jego błogosławieństwa, chociaż chodziło tylko o marny tygodniowy czarter na Teneryfę. Już i tak było to wystarczające tabu – samotny wyjazd bez męża i dziecka.

Bałam się kary Siggego. Jego odwróconej twarzy i oczu, które nie patrzą w moje. Mimo że od jego urodzenia Johan wyjeżdżał dwadzieścia razy więcej niż ja, Sigge był zły tylko wtedy, kiedy mnie się to zdarzało. Johana mogło nie być tygodniami, a syn wspaniałomyślnie na niego czekał, stęskniony i pełen miłości. Kiedy ojciec wracał, rzucał się mu w ramiona, nie posiadając się z radości. W tych kilku przypadkach, gdy to ja wyjeżdżałam na dłużej niż jedną noc, czasem musiało minąć kilka godzin, żeby Sigge przestał mnie ignorować. Miał w sobie zimną stanowczość, która mnie przerażała. I napawała jeszcze większym poczuciem winy. Kiedyś zapytałam Johana, skąd jego zdaniem bierze się taka reakcja, odpowiedział szybko i pewnie:

– Ja nigdy nie mam wyrzutów sumienia, kiedy wyjeżdżam, ty za to prawie rzygasz z poczucia winy. Sigge to wyczuwa i umacnia się w poczuciu, że ma prawo się na ciebie gniewać.

Długą chwilę stałam w milczeniu, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. Tak cholernie oczywiste.

Dziwny był fakt, że całe moje życie i cały świat wypełniały tego rodzaju zbijające z tropu paradoksy.

Próbuję nie czuć się w ten sposób, ale poczucie winy siedzi we mnie mocno, głęboko i nie mogę go osiągnąć.

Na lotnisku Arlanda wszystko było otwarte. Ludzie chodzili grupami po sklepach i kupowali perfumy, alkohol i słodczyce, choć było dopiero wpół do szóstej rano. Ja chodziłam razem z nimi. Przez chwilę rozważałam, czy nie usiąść z mężczyznami w barze The Swedish Vodka i nie zamówić czystej z lodem. Mogłabym się upić i udawać, że jestem obytą w świecie singielką, a nie zmęczoną mężatką z małym dzieckiem. Choć kiosk Pressbyrån bardziej kusił gazetami i wodą mineralną.

Cały czas przypominało mi się wszystko, czego nie czułam, wszystko,

czego nie chciałam. Myślałam o Isadorze. Zastanawiałam się, jak by to było, gdybym trochę bardziej ją przypominała. Była trochę bardziej napalona na wszystkich. Nawet jeśli czułabym się przez to bardziej winna i pełna niepokoju. Lepszy niepokój niż taka nicość.

Isadora zadurza się w obcych mężczyznach. Gapi się na wybrzuszenie w ich spodniach. Fantazjuje o tym, jacy są w łóżku. Siedzi w pociągu i pieprzy wzrokiem mężczyznę naprzeciwko. Pełna poczucia winy, ale jednocześnie cudownie napalona.

### *A co z innymi tęsknotami, które zdławiło życie małżeńskie?*

Nie wiem. Wiem tylko, że miałam w sobie zbyt wiele tęsknot, ciągnących mnie we wszystkie możliwe strony. Tak silnych, że się blokowałam.

Przeglądając gazety w Pressbyrån, doszłam do wniosku, że będę nieszczęśliwa bez względu na to, którą z nich wybiorę. Widziałam, jak wykrzykują swoje smutne przesłanie – piękno, brzydota i waga, waga, waga. Kiedy rozumiałam, że w męskich gazetach motoryzacyjnych i sportowych nie miało to żadnego odpowiednika, poczułam dobrze znane ukłucie zazdrości. To, które powoli i całkowicie zmieniało mnie w zgorzkniałą pizdę.

O miejsce na stojaku walczyły co najmniej cztery magazyny ślubne i zdałam sobie sprawę, że chciałabym, żeby był rok 1975 zamiast 2005. Chciałabym mieć na imię Isadora i być wolną kobietą z Nowego Jorku, a nie nudną sztokholmską mamą. Albo przynajmniej robić karierę i nie czuć żadnych wyrzutów sumienia.

Zostałyśmy po prostu wystrychnięte na dudka. Potwierdziła to królowa kolorowych magazynów, z którą kiedyś przeprowadzałam wywiad. Była założycielką kilku dużych pism dla kobiet, zdobyła okładki swoim wizerunkiem i nazwiskiem, nad talerzem makaronu z kurkami opowiadała mi radośnie, jak fajnie było w latach siedemdziesiątych.

– Niespecjalnie przejmowałyśmy się wagą i takimi sprawami. Nie wiedziałyśmy, co to cellulit.

Nie rozumiała mojego oburzenia i chyba nawet nazwała mnie zgorzkniałą, kiedy broniła treści swoich czasopism.

– Dlaczego jest pani taka zgorzkniała? – zapytała.

W pewnym sensie było to fantastyczne, że kobieta, która nauczyła całe pokolenie Szwedek, czym jest cellulit, jak się go zwalcza i jak schudnąć dziesięć kilo, opowiadała, o ile zabawniej było żyć w latach siedemdziesiątych, kiedy nie myślało się o takich rzeczach.

Tak, chyba jesteśmy zgorzkniałe. Przynajmniej ja.

Nie kupiłam żadnej gazety. W końcu miałam swoją bojącą się latać Isadore. Ona przynajmniej mnie rozśmiesza.

W słuchawkach śpiewa Nina Simone, kapitan właśnie poinformował nas, że jesteśmy na wysokości kilku tysięcy metrów, a myśl o samotności wywołuje u mnie szeroki uśmiech. Całkowicie zgorzkniała jeszcze nie jestem. Mimo wszystko do pewnego stopnia urzeczywistniam swoje marzenia o samotności i śnie.

Jednocześnie wyrzuty sumienia i wszystkie prastare zakazy nie dają mi spokoju.

Dlaczego egoizm kobiet jest uważany za tak strasznie prowokujący, podczas gdy u mężczyzn uchodzi to raczej za normalne? Chyba musi mieć to coś wspólnego z faktem, że religia w naszej kulturze zaczyna się od zgwałconej kobiety?

Kobieta, która całkowicie poświęciła samą siebie i którą chrześcijaństwo każe nam czcić tylko ze względu na jej brak egoizmu. Nawet gdybyśmy nie odczytywali zapłodnienia tak dosłownie, jako gwałtu, tylko trzymali się bardziej symbolicznej wersji o zapłodnieniu przez Ducha Świętego, Maryja Dziewica musiała być chyba przerażona. Nosząc w brzuchu Jezusa, była przecież ledwie nastolatką, o wiele na to za młodą.

Nawet Rosemary w filmie Romana Polańskiego nie mogła nie kochać swojego szatańskiego dziecka. Była niczego niepodejrzewającą ciężarną kobietą, której mąż zawarł pakt z sąsiadami czcicielami Szatana i pewnej nocy pozwolił Szatanowi zapłodnić odurzoną Rosemary. Jest to swego rodzaju odwrócona historia Jezusa, choć z nieświętym duchem. Przez całą ciążę kobieta czuje się źle i przeczuwa spisek, choć nie potrafi znaleźć żadnych konkretnych dowodów na to, co się stało. Kiedy wreszcie to wie, jest już za późno i rodzi w wielkich męczarniach. Gdy jednak odzyskuje przytomność, instynkt macierzyński bierze górę nad wszystkim. Chociaż wie, że jej dziecko jest czerwonoookim synem Szatana, czuje, jak mimo woli coś ją

do niego przyciąga, wypełnia matczynymi uczuciami. Roman, sąsiad, który jest mózgiem tego spisku, zachęca ją żarliwie, by poszła zobaczyć syna. Rosemary się waha, przerażona tym, co zobaczy.

– Chcesz, żebym była jego matką – mówi Rosemary do Romana.

– A nie jesteś? – pyta Roman.

Kończy się tym, że Rosemary bierze płaczące dziecko w ramiona i uspokaja. Tak. Jest jego matką.

Dziecko Jezusa czy dziecko Szatana – większość nas z pewnością niezmiernie kocha swoje dzieci. To uczucie jest tak silne, że przywiązuje nas do nich na całe życie. Nawet kobiety, które zaszły w ciążę w wyniku gwałtu, mają najczęściej niesamowitą zdolność kochania tak poczętego dziecka.

Ja chciałabym móc kochać w ten sam nieskrępowany sposób, co mężczyźni, ojcowie. Myśl o tym, że w przeciwieństwie do roli ojca rola matki jest obciążona poczuciem winy, obarczona wymaganiami i powszechnie przyjmowana za pewnik, zmienia mnie w zazdrosną zgorzkniałą pizdę. Też chcę być mężczyzną i poczuć, jak to jest, kiedy społeczeństwo bije mi brawo, bo wzięłem dwa miesiące urlopu tacierzyńskiego, podczas gdy nikt się nie dziwi, kiedy moja żona bierze pozostałe dwanaście. Chcę być mężczyzną i poczuć, jak biją mi brawo za moją miłość i poświęcenie, jakby to było coś niespotykanego.

Chciałabym móc kochać swoje dzieci, a mimo to żywić czyste i niczym niezmaczone egoistyczne uczucia. Takie jak sny o spaniu, samotności, słońcu i Teneryfie.

W samolocie zaczęli wyświetlać film, ale dziewczyna, która boi się latać, śpi twardo, wsparta na ramieniu swojego chłopaka. Za sobą słyszę, jak jakiś mężczyzna cedzi przez zęby: „Daj już spokój, do jasnej cholery!”. Kobieta odpowiada coś niewyraźnie, cichym, zawstydzonym głosem.

Tylko ja podróżuję sama. Wszyscy inni mają towarzystwo, najczęściej są to rodziny i pary, kilka osób wygląda na znajomych z pracy.

Jak dziś rano, kiedy kupowałam bilety na Arlanda Express, a kasjerka powiedziała, że wychodzi o połowę taniej, jeśli podróżują dwie osoby.

– Czy trzeba być z tym kimś związanym? – zapytałam.

Głupie pytanie, przecież nie mogą sprawdzić, czy jest się w związku, czy nie. Choć zrozumiałam, że mimo wszystko taki był zamysł, kiedy kasjerka

odpowiedziała, że jeżeli moim zdaniem jest sens prosić kogoś o wspólne kupno biletu i w ten sposób zaoszczędzić, to mogę tak zrobić.

– Ale wtedy będą państwo musieli siedzieć obok siebie w pociągu!

Żyjąc z kimś, rzadko myślimy o tym, że społeczeństwo opiera się na związkach par. Tysiące tych drobnych znaków. Na przykład fakt, że prasowe reklamy maści na opryszczkę zawsze są umieszczane na stronach ogłoszeń towarzyskich. Wstrętne, pełne pychy, smutne przypomnienie dla wszystkich singli, tęskniących za miłością.

Skapstwo w każdym razie wzięło górę, a poza tym chodziło przecież o to, żebym rzucała wyzwania tego rodzaju fobiom. Zaczęłam więc szukać odpowiedniego człowieka, ale wśród czekających o piątej rano na Arlanda Express nie było ich zbyt wielu.

W końcu zobaczyłam mężczyznę w moim wieku i podeszłam go zapytać, chociaż na twarzy malował mu się uśmiezek samozadowolenia – typ człowieka, któremu wydaje się, że jest przystojny. Też zaczęłam się szczerzyć, bo przypomniał mi się nagle upośledzony chłopak, którego spotkaliśmy z Siggem w parku tego lata. Siedział na huśtawce obok mojego synka, choć był na to za duży i z pewnością miał już trzynaście lat. Huśtał się, popatrzył na mnie i powiedział: „Stoi tam w zielonej sukience i myśli, że jest wspaniała”, a ja naprawdę miałam na sobie zieloną sukienkę, w której czułam się wspaniale. To niesamowite, że znalazł się ktoś, kto mnie rozszyfrował.

Przystojniak potraktował oczywiście mój uśmiech jako zaproszenie, a ja pożałowałam, że nie jestem upośledzona i nie mogę powiedzieć: „Stoi tam w garniturze i myśli, że jest wspaniały”.

Tymczasem, susząc zęby, zapytałam, czy kupiłby ze mną bilet. I on się zgodził.

Nie mogę dojść ze sobą do ładu. Dlaczego nie zachowuję się tak, jak naprawdę chcę? Choć kiedy we wtorek kupowałam bikini na podróż i miałam do wyboru czerwone i bardziej sportowe w odcieniu wojskowej zieleni, zdecydowałam się na to drugie. Nie chcę wysyłać fałszywych sygnałów. Chcę mieć spokój i uniknąć całej tej pieprzonej gry!

Przystojniak szczerzył się przez całą drogę na lotnisko, gładząc z zadowoleniem o pogodzie na Sri Lance i dopytując się, dokąd jadę. Potem zapytał, czy podróżuję sama. A ja, zamiast się z nim droczyć, też się szczerzyłam

i odpowiedziałam twierdząco. Tak, podróżuję sama.

Nie wiem, dlaczego, ale chyba wynika to z faktu, że w wieku czternastu lat byłam słodką idiotką. Zalotny odruch, zdradziecka czternastoletnia tęsknota za byciem adorowaną.



## POPCORN NOCĄ (1982)

Jak wygląda mój pierwszy obraz miłości? Nie wiem. Albo raczej wiem, jak nie wygląda.

Kiedy miłość staje się wypaczona i brzydka. Kiedy tata wykrzykuje brzydkie rzeczy do mamy.

Ze schodów, na których siedzę, widzę jej plecy. Nie odpowiada tacie, dalej zmywa naczynia, on zaś ma dziwny głos. Tego głosu taty się boję. Idę do swojego pokoju i układam lalki tak, żeby miały miejsce do spania w łóżku u moich stóp.

Lalki to moje dzieci z domu dziecka, a ja jestem ich miłą przyszywaną mamą. Taty nie ma. Przykrywam lalki kołdrą i otulam je po bokach, żeby nie zmarzły. Moja mała siostrzyczka śpi w łóżku obok. Zamykam drzwi do naszego pokoju, żeby się nie obudziła. Rozgniewany głos taty już ucichł.

Nie wiem, co robią.

Kiedy budzę się rano, słyszę, jak tata chrapie w sypialni. Mama krząta się w kuchni, ze schodów widzę jej plecy w tym samym miejscu co wczoraj wieczorem. Jakby stała tam przez całą noc. Ale to przecież niemożliwe.

Wyciera zlewozmywak, a kiedy podchodzę bliżej, widzę, że cały piekarnik, kafelki, zlew, wszystko wysmarowane jest masłem. Tata zrobił to po pijanemu. Mama płacze i wyciera. Chcę ją pocieszyć i poklepuję po plecach. Próbuję ją przytulić, ale się otrząsa i nakrywa do śniadania.



Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest tym, kto zna nazwę japońskiej ryby, tak trującej, że jeden kawałek zabija setki restauracyjnych gości. Potem mama się na mnie złości, kiedy przez kilka miesięcy nie chcę jeść ryb. Tata się nie złości, tylko śmieje i mówi, że w Szwecji nie ma takiej ryby. Ale ja już wiem, że niczego nie można być pewnym, i nadal odmawiam.

Tata wie również, jak zarezerwować pokój w luksusowym hotelu w Sztokholmie, dokąd jedziemy na wakacje. Zawozi nas tam w pewien letni weekend swoim nowym, białym audi, jadąc sto czterdzieści na godzinę. Po drodze kilka razy wymiotuję i mama prosi go, żeby tak szybko niejechał. Tata zaczyna się bocyć, mama już jest naburmuszona. Zamieniam się z nią miejscami i siadam obok taty. Teraz moja młodsza siostra zaczyna się bocyć, że jej nie wolno siedzieć z przodu, i wtedy tata naprawdę robi się zły i mówi, żebyśmy się wszystkie zamknęły.

Nie odzywamy się. Tata jedzie niebezpiecznie szybko, a ja próbuję słuchać Caroli śpiewającej w radiu *Tokio* i *Mickey*.

Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest tym, kto wie, jak się zamawia jedzenie w luksusowych restauracjach. Zawsze bierze polędwicę wołową w sosie bearneseńskim, który, jak zgodnie stwierdzamy, nie smakuje równie dobrze jak ten przyrządzany przez niego czasem w piątki. Mój tata wie również, dlaczego Olof Palme jest do dupy i dlaczego powinno się głosować na moderatów.

– Chcę po prostu zachować swoje pieniądze – mówi.

Kiedy płaci za sobotnie łakocie dla mnie i mojej siostry, zawsze wyciąga plik tysiąckoronowych banknotów, które przelicza na oczach pani z kiosku ze słodyczami.

– Nie mam, niestety, drobnych. Mam nadzieję, że jakoś się uda – mówi tata i wręcza jeden z banknotów.

Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest tym, kto może kupić, co tylko chce. Przez wiele lat marzę o prawdziwym domku dla Barbie, ale nigdy go nie dostaję. Moim lalkom buduję dom w szufladzie, którą trzymam pod łóżkiem. Książki są ścianami, a z pudła na prezenty robię kuchenkę. Barbie i Ken często się kłóca.

Barbie nie jest pewna, czy Ken ją w ogóle kocha.

Ale tak jest. Kocha ją ponad wszystko i nie może zrozumieć, dlaczego

Barbie wbiła sobie do głowy, że jest inaczej. Barbie bardzo, ale to bardzo się z tego cieszy i pieprzą się całą wieczność, dopóki mama nie krzyczy, że trzeba zejść na dół, bo podała do stołu. Upiekła kiełbasę falukorv i ugotowała ziemniaki. Mówię, że nie są ani trochę tak dobre jak polędwica taty. Wtedy mama zaczyna się dąsać i mówi, że nie można codziennie jeść polędwicy.

Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest tym, kto przychodzi w piątek do domu po przepracowaniu całego tygodnia, przyrządza polędwicę wołową z sosem bearneńskim. Jemy ją przy zapalonych świecach, a mama i tata piją czerwone wino. Przez mniej więcej godzinę, pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą, jesteśmy całkiem szczęśliwą rodziną.

Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest tym, kto ma swoją firmę i swoje wizytówki. Jeździ po Szwecji i zakłada izolacje, na przykład w oborach. Pianka izolacyjna jest żółta i mniej więcej tak twarda jak styropian – tata opowiadał mi i mojej siostrze Kajsie, że właśnie z takiego materiału zbudowano zamek w filmie o Ronji córce zbójnika. I że niewiele brakowało, by to zlecenie przypadło jemu i jego współnikowi. Tak się jednak nie stało, on zaś jeździ i jeździ i często nie ma go w domu przez dwa albo trzy tygodnie.

W weekendy jest zmęczony i śpi. To zawsze mama wstaje rano i szykuje śniadanie, nieważne, czy jest to weekend, dzień powszedni, ferie czy wakacje. Kajsia i ja próbujemy go obudzić, skacząc wokół niego w łóżku i krzycząc:

– Tato! Tato, obudź się! Obudź się! Obudź!

Ale on się nie budzi, leży jak wyrzucony na brzeg wieloryb, a my nie przestajemy skakać. Śpiewamy:

– Pryk-tata! Obudź się, pierdzitato! Obudź, obudź, obudź się, ty psipsi-tato!

Ale on tylko chrząka, odwraca się na drugą stronę i dalej śpi głębokim snem chrapacza.

W końcu dajemy za wygraną i idziemy pobawić się lalkami. Kiedy mama krzyczy, że jedzenie jest już gotowe, tata wreszcie się budzi, a my przez cały lunch marudzimy, żeby na małym trawniku za naszym szeregowcem zbudował nam zamek Ronji córki zbójnika. Tata mówi:

– Może tak zrobię, może tak zrobię.

I marudzimy, żeby na tym małym trawniku postawił nam basen, a tata odpowiada:

– Może tak zrobię, może tak zrobię.

Z tatą nigdy nie wiadomo – czasami przynosi do domu nieprawdopodobne rzeczy, które kupił, i mama się na niego złości. Na osiedlu domków szeregowych jesteśmy pierwszą rodziną, która ma wideo. Komputer, a potem CD. W salonie mamy przerośniętą kanapę śmietankowego koloru i dwa równie gigantyczne fotele – na nic innego nie ma praktycznie miejsca, bo to w zasadzie mały salon. Wszystkie pokoje w naszym niewielkim domu są małe, ale mama i tata umeblowali je tak, jakbyśmy mieszkali w okazałej willi.

Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest tym, kto w letnie wieczory piecze mięso na grillu. Mama i sąsiadka Gunilla siedzą na skórzanej sofie, piją różowe wino i słuchają *The Heat Is On* Agnethy Fältskog. Gunilla pracuje w dziale z kosmetykami domu towarowego Domus i, moim zdaniem, jest zawsze ładnie umalowana. Zawsze ma brązową opaleniznę i różowe paznokcie. Kiedy nie słyszy, tata strasznie krytykuje Domusa, bo uważa, że cała sieć Konsum i jej niebiesko-białe produkty są dla kretynów. On sam głosuje na moderatów i z mamą robią zakupy tylko w sieci Ica.

Nie lubię, kiedy mówi o Gunilli i Domusie tym pogardliwym tonem, bo lubię Gunillę. Ale tata o wielu sąsiadach wyraża się w ten sposób. Grilluje polędwicę wołową, robi swój sos bearneński i mówi:

– Ten to dopiero uważa się za nie wiadomo kogo.

Gunilla mieszka z mężczyzną o imieniu Tommy i oboje czasem grillują razem z mamą i tatą. Tommy i tata piją grog z takich samych kryształowych szklanek, z jakich pił J.R. w *Dallas*, a my mamy chipsy i fantę. Rano tata śpi twardym snem i jak zwykle skakanie po jego łóżku nic nie daje – prawie się nie rusza. Mama pakuje do koszyka sok i ciasteczka i jedzie z nami na rowerze do parku. Kiedy wracamy do domu, tata nadal śpi. Mama się denerwuje, bo śniadanie wciąż stoi na stole, a ser jest już całkiem mokry. Podchodzi do taty, budzi go, a on krzyczy:

– Durna babo! Spierdalaj!

Zabieram Kajsę i pokazuję jej martwego ptaka, którego znalazłam pod ja-

blonką koło koszy na śmieci.

Mama ma szorstkie ręce pokryte czerwonymi plamami od egzemy. Kiedy się drapie, na podłogę spadają suche płatki skóry.

Czasami, kiedy przed snem gładzi mnie po policzku, to aż boli. Mimo to nie chcę, żeby przestawała – to są dłonie mamy, które kocham i dzięki którym jestem spokojna i bezpieczna. Do zmywania naczyń wkłada żółte gumowe rękawiczki, bo inaczej ręce pieką i krwawią. W rękawiczkach też nie jest dobrze, bo folia ściśle przylega, ręce się pocą i bolą tak, że mama czasem płacze. Przynoszę specjalną maść na egzeme, którą kupuje w aptece, a mama lekko się uśmiecha i próbuje przestać płakać.

– Dzięki, mała! – mówi, a ja siadam koło niej i przyglądam się, jak smaruje poranione dłonie.

Codziennie poranne wyjazdy do przedszkola są stresujące. Mama zaczyna pracę w szpitalu o siódmej i żeby zdążyć, budzi mnie i Kajkę o szóstej. Opoowiadała kiedyś o swoim złośliwym szefie, który stoi przy wejściu na jej oddział z zegarkiem w ręku. Kiedy mama przychodzi, szef nigdy nie mówi ani jednego słowa, patrzy tylko na nią, a potem na swój zegarek.

– Gdyby chociaż coś powiedział – mówi mama – ale on po prostu milczy. Rozumiecie? – pyta, kiedy nas ubiera.

Ja nie bardzo rozumiem, dlaczego to milczenie jest takie straszne, ale widzę, że świadomość, iż on tam czeka z zegarkiem w ręku, stresuje mamę, bo jej ruchy są nerwowe i gwałtowne.

Czasem jest awantura. Moja siostra dba o to, żeby jej biała opaska z plastiku zawsze była w tym samym miejscu na włosach, a rękawy bluzy miały jednakową długość. Kiedy mama choć odrobinę to zaniedba, Kajka dostaje szału i wyje wniebogłosy. Widzę, jak czoło mamy skrapla pot, kiedy ciągnie za rękawy Kajki, żeby je wyrównać. Następnie nadchodzi czas na wygładzenie fryzury – żeby każdy włos pod opaską był dokładnie tam, gdzie powinien.

Ja stoję obok, przyglądam się i drażnię Kajkę, mówiąc, że jest walnięta, aż w końcu mama gniewnie syczy, żebym przestała, siostra pokazuje mi język i oto jesteśmy gotowe wyruszyć do przedszkola. Mama sadza nas na rower – Kajka siada z przodu, a ja z tyłu.

W przedszkolu czeka śniadanie: tylko ja, Kajsa, Nelly i Emil jemy je w przedszkolu, reszta dzieci jest przywożona później.

Moja najukochańsza pani ma na imię Cattis – zawsze rozmawiają z mamą specjalnym, dorosłym głosem. Ma ciepły, poufały i trochę tajemniczy ton. Próbuję usłyszeć, o czym mówią, ale rozmawiają niemal szeptem. Zbliżam się do nich po cichu i staję tuż za mamą.

– Spokojnie, nie musisz się stresować – mówi Cattis do mamy. – Lepiej zrób zakupy, zanim je odbierzesz, wtedy Sara i Kajsa nie będą musiały być z tobą w sklepie. Wiesz przecież, że dobrze się tu czują!

Widzę, jak mama ociera łzę z kącika oka i wydmuchuje nos w chusteczkę, którą podaje jej Cattis.

Kocham Cattis, bo jest taka miła dla mamy. Jest miła dla wszystkich. Zawsze ma czas na czytanie długich książek z bajkami, a w jej głosie nigdy nie słychać gniewu.

Przytulamy się na do widzenia i widzę przez okno, jak mama odjeżdża na rowerze do swojego głupiego szefa, potem siadamy i jemy kaszę manną z cynamonem, cukrem i mlekiem.

Późnym popołudniem mama przychodzi nas odebrać. Cattis poszła już do domu i zmieniła ją Lena, nowa pani. Pracuje w naszym przedszkolu dopiero dwa miesiące i nie zna mamy zbyt dobrze.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi mama i stawia na podłodze kilka ciężkich siatek z jedzeniem. – Mówiłam rano Cattis, że przyjdę trochę później, i powiedziała, że nie ma problemu.

Lena uśmiecha się do mamy.

– Tak, w porządku, rozumiem, że nie zawsze jest łatwo być samotną matką z dwójką małych dzieci.

Widzę, jak mama milknie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Nie jestem samotna – mówi po chwili – po prostu mój mąż ma teraz dużo pracy.

– Aha – odpowiada Lena, wyglądając na zdziwioną. – Myślałam po prostu... nigdy nie widziałam pani męża, więc założyłam, że jest pani sama...

– Rozumiem – mówi mama i zaczyna nas ubierać.

Później tego samego wieczoru, kiedy leżymy w łóżkach i mama myśli, że śpimy, słyszę, jak kłócą się w kuchni.

– Myślisz, że jakie to uczucie? – mówi mama do taty. – Najpierw koleżanka, którą w niedzielę spotkałam w parku, a dzisiaj Lena w przedszkolu. Wszyscy myślą, że jestem samotna, bo ciebie nigdy nie ma!

Nie słyszę, co odpowiada tata, bo przykrywam głowę poduszką i wyobrażam sobie fajnego starszego brata. Nazywa się Fredrik i przytula mnie często i długo, tylko dlatego, że tak bardzo mnie lubi. Mówi, że jestem najśłodszą młodszą siostrą na całym świecie i że zawsze będzie się mną opiekował. Latem każdego dnia biegniemy z Fredrikiem na plażę i się kąpiemy. Czekają tam na nas koledzy, rówieśnicy Fredrika. Oni też mnie lubią. Zawsze mogę im towarzyszyć i bawić się tyle, ile chcę.

Spędzam dużo czasu, myśląc o Fredriku. W wyobraźni tworzę nam zupełnie nową rodzinę. Z innymi rodzicami i bez młodszego rodzeństwa. W wymyślonej rodzinie jesteśmy tylko ja, Fredrik i nasi mili rodzice, którzy nigdy się nie kłóca.

Leżę w łóżku w moim pokoju i rozmyślam o Fredriku, kiedy nagle słyszę łomotanie do drzwi. Po chwili Kajsa wchodzi i chce pożyczyć moje lalki, a ja znów myślę, że o wiele bardziej chciałabym mieć starszego brata niż młodszą siostrę. Wyrzucam ją i mówię, żeby nigdy, przenigdy nie wchodziła w ten sposób do mojego pokoju! Pieprzony dzieciak! Zamykam za sobą drzwi i idę na plac zabaw.

Przy drabinkach stoi duży Johnny. Mieszka w szeregowcu za naszym i jest kilka lat starszy. Czasem w wyobraźni wymieniam Fredrika na dużego Johnny'ego. Ma ładne brązowe włosy i niebieskie oczy, ale brakuje mi odwagi, żeby się do niego odezwać. W niektóre dni wygląda na złego i smutnego, gdy tak huśta się sam na huśtawce. Jego rodzice są rozwiedzeni, a on mieszka z mamą, która chyba nie zna nikogo w okolicy.

Tego dnia jednak duży Johnny patrzy na mnie, kiedy idę w jego stronę. Jest bardzo fajny, słodki i myślę, że mógłby być moim starszym bratem, gdyby tylko chciał.

– Cześć – mówię i zatrzymuję się pod drabinkami.

– Cześć – odpowiada i spogląda na mnie z góry.

– Pobawimy się?

– Nieee – odpowiada, zeskakuje z drabinki i odchodzi.

Patrzę za nim i widzę, jak jego szara bluza z kapturem i brązowe moka-

syny znikają między domami. Dłuższą chwilę stoję w miejscu, szurając nogą po piasku, ale w końcu i ja idę do domu.

Tata już się obudził, siedzi sam w kuchni i je śniadanie. Usmażył jajko i bekon. Z ciszy wnioskuję, że on i mama nadal się nie pogodzili. Czuję, jak zaczyna mnie piec pod powiekami. Tata rzuca okiem na mnie i moją pokrytą czerwonymi plamami szyję.

– Cześć. Jak tam? – pyta niespotykanie miłym głosem.

Łzy zaczynają spływać mi po twarzy. Płaczę i nie wiem, jak wytłumaczyć wzbierające we mnie uczucia. Cały ten smutek. Może to dlatego nagle z moich ust wydobywa się coś niepojętego.

– Duży Johnny mnie uderzył! – mówię i płaczę jeszcze mocniej, przerażona tym, jak bezwstydnie kłamię.

Nie wiem, dlaczego to mówię, jak w ogóle śmiem, ale cały ten dzień był dziwny i pełen smutku.

– Naprawdę? – pyta wzburzony tata i mnie przytula. – Odechce mu się bić małe dziewczynki!

Ku mojemu przerażeniu tata wstaje i zaczyna szykować się do wyjścia. Słyszę, jak mamrocze, zawiązując buty.

– Już ja przemówię temu dużemu Johnny’emu do rozumu!

Stoję chwilę w kuchni, po czym biegnę do swojego pokoju i chowam się w szafie. Trzęsę się z podekscytowania, cudownego uczucia, że oto tata idzie mnie obronić. Trzęsę się ze wstydu, bo kłamstwo wkrótce się wyda. Płaczę ze strachu przed gniewem taty i pogardą dużego Johnny’ego, kiedy zostanie niesprawiedliwie oskarżony.

Już po chwili słyszę dźwięk otwieranych drzwi i dudniący głos ojca, który wykrzykuje moje imię. Nie wychodzę z szafy i nie odpowiadam. Słyszę kroki na schodach. Tata jest coraz bliżej, po chwili jego ciężkie oddechy słychać już w całym pokoju.

– Sara? Gdzie ty jesteś, do cholery!

Sądząc po głosie, jest tak zły, jak się tego obawiałam, i przez trwającą całą wieczność chwilę siedzę w absolutnym bezruchu i nie oddycham. W końcu tata wychodzi z pokoju i znowu schodzi po schodach. Nadal siedzę w szafie, długi, długi czas, i choć chce mi się siku, tak bardzo, że aż boli mnie brzuch, myślę, że było warto. To niewysoka cena za możliwość

upajania się jego troską i opieką.

W nocy budzę się i próbuję wyczuć, czy bije mi serce. Często mi się to zdarza i wydaje mi się wtedy, że umrę, bo moje serce uderza nieregularnie.

Kiedy jestem małą dziewczynką, tata jest jedynym człowiekiem, który nie śpi w nocy. Często siedzi na dole na skórzanej kanapie, pije grog i słucha muzyki.

– Tata to człowiek nocy – mawiamy z siostrą.

Kiedy się budzę, zawsze do niego schodzę i siedzę mu przez chwilę na kolanach. On słucha bicia mojego serca i mówi, że to nic groźnego. To mnie uspokaja, mogę wrócić do siebie i znowu zasnąć.

Tego wieczoru, kiedy schodzę po schodach, słyszę jego płacz. Widzę, jak siedzi przy stole w kuchni, pochylony nad miską popcornu.

Jego łzy spadają do prażonej kukurydzy.

Tak mnie to przeraża, że zapominam o swoim sercu.





## WKRÓTCE NA MIEJSCU

Dziewczyna, która boi się latać, już się obudziła i zamawia teraz u miłej mamy-stewardesy dwie podwójne whisky.

- Myśli pani, że jestem okropna?
- Skąd! Bardzo dobrze, że pani pije. Też bym piła, gdybym bała się latać
- mówię radośnie.

Jej chłopak patrzy na nas naburmuszony, kiedy wznosimy toast. Ma surowe spojrzenie i czyta „Dagens Industri”. Ekonomia – religia naszych czasów. Nachodzi mnie ochota, żeby się z nim podrażnić, więc wnoszę jeszcze jeden nieco zbyt głośny toast z dziewczyną, którą zaczynam coraz bardziej lubić. Albo jest mi jej coraz bardziej szkoda.

W czarnej marynarce i białej koszuli chłopak naprawdę wygląda jak ksiądz studiujący Biblię. Mama-stewardesa uśmiecha się do nas porozumiewawczo. Jestem przekonana, że chce, żebyśmy piły. Whisky rozgrzewa żołądek i mnie rozwesela. Słucham Niny Simone. Zawsze Nina Simone, mój ratunek w potrzebie. Ona i wanna. No i jeszcze Isadora.

Moja bojąca się latać Isadora wciąż siedzi w samolocie do Wiednia. Rozgląda się wokół i dochodzi do wniosku, że zna niektórych psychoanalityków. U części z nich spędziła przez te wszystkie lata wiele godzin. Isadora i jej

mąż Bennett tak długo chodzili na terapię, że nie potrafią podjąć najprostszej decyzji, jeśli na chmurze ponad ich głowami nie odbędzie się wyimaginowana narada psychoanalityków.

*Było tak, ponieważ osiągnęliśmy krytyczny moment w małżeństwie (minęło pięć lat i prześcieradła, które darowano w prezencie ślubnym, już się prawie wydarły), gdy trzeba zdecydować, czy kupić nową pościel, a może mieć dziecko i mimo to żyć, każdy ze swoim obłędem – albo dać spokój złudzie życia małżeńskiego (wyrzucić prześcieradła) i zacząć znów grać muzykę wszystkich innych łóżek.*

Ich małżeństwo sprawia wrażenie sennego, a świat, jakby w rezultacie tego faktu, wydaje się nagle pełen interesujących, wolnych mężczyzn. Jest jak ciągła, piękna tęsknota za byciem pieprzoną, za wytrawnym szampanem i słodkimi pocałunkami.

Czytam i dochodzę do wniosku, że muszę spróbować pogodzić się z faktem, że moje marzenia dotyczą czego innego. Samotności, czasu i ciszy.

Szampan, mokre pocałunki, słodkie numerki z nieznanymi – jak w *Dallas*. Jak wtedy, kiedy na próbę kupiłam stringi. Johan i ja płakaliśmy ze śmiechu, kiedy zobaczyliśmy w lustrze mój tyłek – i ten mały, biały pasek wcinający się między pośladki. Wyglądałam tak fantastycznie głupkowato. Jak jakaś Sue Ellen albo Lill-Babs.

Prawda jest taka, że równie mocno szczerzę się w szatni na siłowni, gdzie prawie wszystkie dziewczyny noszą stringi. Nie ma znaczenia, jak doskonałe i wyćwiczone mają tyłki, nie mogę nie wyobrazić sobie małych plamek po gównie w miejscu, gdzie materiał wrzyna się najmocniej. Stringi są po prostu brzydkie. Ja zaś najmniej ze wszystkiego przypominam teraz uprawiającą seks stringówę. Przeciwnie, jestem samotną, barchanową, zgorzkniałą pizdą, która wkrótce będzie mogła przespać cały tydzień. Nirwana.

Na lotnisku na Teneryfie czeka autobus, który ma nas zawieźć do hotelu. Przewodniczka opowiada o planowanych wycieczkach, na które możemy się wybrać, jeżeli mamy ochotę. Na następny dzień na przykład jest przewidziane zwiedzanie miasta.

Czuję, jak przepelnia mnie coś w rodzaju szczęścia. Siedzę tu sobie sama i jestem w całkiem dobrym nastroju. Przyglądam się pozostałym pasażerom autobusu. Są to głównie pary w późnym wieku średnim, poza tym jedna ro-

dzina z dzieckiem i ja. Odstaję od reszty. Próbuję nie dać po sobie znać, że widzę ich pytające spojrzenia. Próbuję pamiętać, że to tylko gościnny występ. Dziewczyna bojąca się latać i jej chłopak siedzą kilka rzędów przede mną.

Nie odzywają się, wyglądają przez okno. Widząc, jak brakuje im tematów do rozmów, cieszę się, że jadę sama. Że nie muszę siedzieć koło nikogo (koło Johana) i silić się na konwersację. Czuję, że coraz bardziej stresuje mnie jego milczenie. Dlaczego nie mamy o czym rozmawiać? Czy naprawdę jesteśmy nieszczęśliwi, tylko o tym nie wiemy?

W hotelu znowu jestem szczęśliwa ponad miarę. Z balkonu mam widok na morze i otaczające góry. Tu jest miejsce i czas na długi, niezakończony namysł. A w łazience jest wanna! W tym tygodniu co wieczór będę brała długą, gorącą kąpiel!

Schodzę do restauracji, zamawiam paellę i wodę mineralną. Przy stoliku przede mną siedzi jedna z par. Kobieta ma jasnoróżowy kostium, tlenione włosy i twarz alkoholiczki. Oprócz tego buty na wysokim obcasie, przez które chwieje się jeszcze bardziej. Mężczyzna ma okulary i siwe włosy. Wygląda trochę na intelektualistę. Wydaje się niezadowolony. Czy są tutaj po to, żeby pić, czy żeby wyleczyć ją z uzależnienia? Kobieta bełkocze, a kiedy kelner przychodzi przyjąć zamówienie, niezadowolony mąż wyjmuje jej z rąk menu i zamawia. To agresywny gest, ale ona jak gdyby nigdy nic uśmiecha się do niego i zakłada nogę na nogę. Mężczyzna nie odwzajemnia uśmiechu, więc po chwili kobieta przestaje się uśmiechać i nagle wygląda na nieopisanie smutną. Nie mogę przestać na nich patrzeć i zaczynam się zastanawiać. Jak długo czuła się niekochana? Może to dlatego zaczęła nadużywać alkoholu?

W październiku, kiedy kilka moich koleżanek było akurat wyjątkowo nieszczęśliwych w związkach, zaczęłam pytać wszystkich znajomych mężczyzn, czy czują się kochani, czy też nie. Wszyscy z wyjątkiem dwóch odpowiedzieli, że czują się bardzo kochani. Wśród kobiet odpowiedź nie była równie oczywista. Nawet jeśli deklarowały, że przeważnie czują się kochane, zawsze gdzieś tam czaiła się wątpliwość. Ta mała różnica między „zawsze” a „często” coś jednak znaczy. Dlaczego mężczyźni o wiele bardziej niż kobiety wydawali się pewni tego, że są kochani?

Mnie dotyczy to w szczególności. Bez względu na to, jak bardzo źle było między mną a Johanem, on zawsze trzymał się mocno, przekonany zarówno o mojej miłości do niego, jak i o jego miłości do mnie. Czasami drażniło mnie to niemiłosiernie.

– Nie rozumiesz, że mam zamiar od ciebie odejść? – krzyknęłam raz zeszłej jesieni, kiedy wszystko było koszmarne.

Naprawdę zamierzałam od niego odejść. Marzyłam o tym, żeby żyć sama i dzielić się opieką nad Siggem. Ale do Johana jakoś to nie docierało.

– Wiem, że jesteśmy dla siebie dobrzy – powtarzał tylko raz za razem.

Drażniło mnie to równie mocno, jak uspokajało. To muszę przyznać.

Przy odrobinie dobrej woli (mojej) można uznać tę niewzruszoność za wynik faktu, że rodzina Johana dała mu poczucie bezpieczeństwa, pozwoliła dorastać w przekonaniu, iż jest wystarczająco dobry, kochany za to, kim jest. Gdyby ktoś (ja) był bardziej skłonny wierzyć w teorie spiskowe, mógłby to uznać za wynik patriarchalnego wychowania. Rozdęte samozadowolenie, które tak wielu mężczyznom zostaje najwyraźniej wpojone.

Dochodzę do wniosku, że właśnie te rzeczy muszę ustalić. Czym jest przekłeta struktura, a czym prywatny niepokój? Jak mocne są moje powody do bycia zgorzkniałą pizdą? Dość mocne, jeśli miałabym wierzyć samej sobie. Mówi mi to doświadczenie. Mam nawet listę spiskowych faktów, którą od czasu do czasu czytam, żeby nie zapomnieć. Coś w rodzaju statystyk zgorzkniałej pizdy, złożonych z małych prasowych notatek i artykułów, które przez lata czytałam i które mnie oburzały.

1. Raport Głównego Zarządu Zdrowia i Opieki Społecznej pokazuje, że kiedy kobieta choruje, ryzyko rozpadu małżeństwa jest o wiele większe, niż kiedy choruje mężczyzna. Kobietom z rakiem macicy rozwód przytrafia się dwukrotnie częściej niż kobietom zdrowym. W przypadku mężczyzn z rakiem prostaty jest odwrotnie – ryzyko rozwodu jest u nich mniejsze niż u mężczyzn zdrowych.

2. Dawcami organów są częściej kobiety niż mężczyźni, ale to mężczyźni częściej są biorcami. Fakt ten był tak przygnębiający, że jeden z badaczy medycyny społecznej postanowił przeanalizować, czy jest to ten sam rodzaj dyskryminacji, który sprawia, że mężczyźni często dostają droższe leki niż kobiety.

3. Badania socjologiczne wykazały, że mężatki częściej mają problemy ze zdrowiem psychicznym niż kobiety niezamężne. U mężczyzn za to jest odwrotnie – problemy psychiczne mają najczęściej kawalerowie, a żonaci mają się świetnie. Małżeństwo sprzyja mężczyznom, szkodzi zaś kobietom.

4. Cała niesprawiedliwość. Przemoc, gwałty, prostytutka, dyskryminacja płacowa. Tak powszechna, że da się ją porównać do globalnego apartheidu.

Lista nie ma końca i właśnie przez to tak trudno nie być zgorzkniałą pizdą. Nawet gdybym chciała. Dużo o tym myślę: jak mogłabym przestać być zgorzkniałą pizdą, kiedy światowy patriarchyat jest tak cholernie i na wskroś samowładny.

Niezadowolony mężczyzna i jego różowa alkoholiczka dostali już jedzenie. On bierze do ust duże kęsy mięsa, ona zaś dłubie w sałatce z krewetkami, ale za to pije więcej białego wina. Najwyraźniej za bardzo się przyglądam, bo nagle, patrząc na mnie, wznosi toast. Uśmiecham się i odpowiadam tym samym. Mężczyzna mamrocze coś niezrozumiale po niemiecku, nie przestając jeść.

Nie mogę się nie gapić na ich małżeńskie nieszczęście. Zapamiętuję je sobie i pozwalam mu zostać na zawsze. Pewnych obrazów i zdarzeń, pewnej wiedzy nie chcę nigdy utracić. Jest też wiedza, która nie znika bez względu na to, jak bardzo bym tego chciała.

Jak te badania, które wykazały, że mężatki są bardziej nieszczęśliwe niż wolne kobiety. Już to wiemy, a jednak nadzieja milionów tęsknych mężatek nie chce umrzeć. Maleńka mrzonka, że akurat ich miłość jest większa i silniejsza niż ta przeklęta statystyka i przeklęta kultura. Podejrzliwość jest jednak wciąż żywa i nie chce zostawić nas w spokoju. Dręczące uczucie bycia powoli, lecz stanowczo drenowaną z sił życiowych, czasu i energii.

Jak w swoim przemówieniu (nazwanym przez media talibskim) stwierdziła Gudrun Schyman: kobiety dają, a mężczyźni biorą. Dokładnie wiedziałam, co ma na myśli, i było mi smutno, że ktoś wyraża to, co sama przeczuwałam – że istnieją struktury, swego rodzaju ideologia czy też religia, jak możemy nazwać patriarchyat, które wpływają na nasze całkiem prywatne relacje miłosne. Które sprawiają, że oczekujemy tego czy tamtego od miłości i od siebie nawzajem. Które legitymizują władzę mężczyzn i bezbronność kobiet. Które powodują, że wierzymy w prastare, zmurszałe role

płciowe, które tak naprawdę głęboko nas unieszczęśliwiają, i że zgodnie z nimi żyjemy.

Odwaga, by stanąć twarzą w twarz z brakiem miłości, sprawia jednak ból – grupka czerwonych na twarzach mężczyzn w typie dziennikarza Erika Fichteliusa dowodziła, jak skandaliczna jest sytuacja kobiet w Afganistanie w porównaniu z sytuacją (rozpieszczonych) Szwedek.

Późniejsze wyjaśnienia Gudrun, że nie miała zamiaru umniejszać ucisku Afganek i chciała tylko powiedzieć, że patriarchyat prześladowuje kobiety zarówno w Szwecji, jak i w Afganistanie, choć ucisk ten przybiera różne formy (w Szwecji kobiety nie noszą na przykład burek), nie miały już żadnego znaczenia. Dowodziła, że podstawa, sedno ucisku bierze się ze stosunku władzy między płciami. Ale nikt jej już wtedy nie słuchał, wszystko bowiem zagłuszały krzyki czerwonych na twarzach dziennikarzy i dyskutantów, tak bardzo urażonych tym, że ktoś nazwał ich talibami.

Próbuję w tym dostrzec akcent humorystyczny. Czerwoni faceci w telewizji są do pewnego stopnia zabawni, jednak nonszalancja w ich słowach drażni trochę za bardzo.

To niesamowicie sprytna strategia – odmawiać przyznania, że ma się swój udział w tym ucisku. Sprawić, że przez jego umniejszenie ucisk stanie się niemal niewidzialny.

Jeszcze wyraźniej widać to przy pytaniu o klasę. Przypominam sobie wszystkie przypadki, kiedy przeprowadzałam wywiad z przedstawicielami klasy wyższej, którzy zapytani o to, z jakiej klasy się wywodzą, odwarkiwali z irytacją, że nie rozumieją pytania. Odpowiadali, że pojęcie klasy jest przestarzałe, że istnieją tylko „indywidualne różnice”. Czasami bywało, że osoba, z którą rozmawiałam, wręcz odmawiała zrozumienia pytania. Tak było w przypadku młodej ekspertki od stylu i redaktorki pisma, której portret przygotowywałam do radiowej audycji.

– Ale w jakiej dzielnicy pani dorastała?

– Örgryte – odparła ekspertka.

To jedna z najbardziej prestiżowych dzielnic Göteborga.

– Jak by pani ją określiła? – próbowałam delikatnie.

– No nie wiem, proszę zadzwonić do wydziału urbanistyki w Göteborgu i zapytać – odpowiedziała zdenerwowana ekspertka.

– Ale jest tam dużo wieżowców, domów czynszowych czy willi...? – kontynuowałam.

– Chyba wszystkiego po trochu – powiedziała, patrząc na mnie szeroko otwartymi niebieskimi oczyma.

Potrząsnęła długimi, zadbanymi blond włosami i chociaż wyglądała jak lalka Barbie, wiedziałam, że nie jest głupia. Przeciwnie. I denerwowało mnie, że ta kompetentna lalka udaje, że nie wie, o co chodzi. No więc dalej pytałam o klasę. Aż do chwili, kiedy się zmęczyła i z irytacją oznajmiła, że jeżeli należy do jakiejś klasy, to jest to klasa robotnicza, ponieważ jej rodzice – mama lekarka i tata makler okrętowy – zawsze pracowali ponad sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Kiedy powiedziałam, że lekarka i makler okrętowy to zawody, których raczej nie łączy się z klasą robotniczą, odparła, że każdemu wolno definiować pojęcie klasy według własnego uznania. I było to w pewnym sensie wspaniałe. I zarazem okropne.

Na świecie są najwyraźniej dwa rodzaje ludzi: ci, którzy myślą, że świat jest sprawiedliwy, i ci, którzy uważają coś zupełnie przeciwnego. Traf zaś chce, że to najczęściej ludzie z uprzywilejowanych rodzin przeczą istnieniu różnic klasowych.

Myślę, że to przede wszystkim zaprzeczenie zamienia mnie w zgorzkniałą pizdę. Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z nonszalancją. Wrażenie bezsilności i bycia niewidzialnym, jak wtedy, kiedy głośno się krzyknie, a nikt nie słucha, choć wiadomo, że każdy musiał usłyszeć.

Drażni mnie, że jest to tak efektywne, że to być może najsprytniejszy sposób na utrzymanie ucisku.

Kiedy trzeba cofnąć taśmę i zacząć od początku, cały dialog ucicha.

Jasne, że pojęcie klasy jest dziś inne niż sto lat temu. Jasne, że niewykształcony glazurnik może zarabiać więcej niż wykształcony bibliotekarz. Jasne, że tworzące czworokąt ściany, które na początku dwudziestego wieku definiowały klasę, dziś się przesunęły. Pojęcie klasy robotniczej ma inne znaczenie dzisiaj niż w roku 1920. Niemniej jednak żyjemy w społeczeństwie, w którym niewykształcony opiekun osób starszych ma inną sytuację ekonomiczną i społeczną niż blondwłosa ekspertka od stylu i redaktor naczelna, której matka jest lekarką, a ojciec maklerem okrętowym.

Jeżeli chodzi o zaprzeczenie niesprawiedliwości w związkach, istnieje

nigdy niewysychające źródło ważnych argumentów na usprawiedliwienie krzywdzącego, nierównego podziału. Poza tym zaprzeczaniu i czynieniu niewidzialnym pomaga również fakt, że trudno jest tak naprawdę zdefiniować miłość. Sama często myślę, że miłość jest tym, co sama robi. Że jeżeli zaczęlibyśmy traktować ją bardziej jako działanie niż uczucie, automatycznie poszłaby za tym odpowiedzialność i zobowiązania. Gdybyśmy przestali patrzeć na miłość jak na zwykłe uczucie, przestalibyśmy też pieprzyć, że miłość przybiera różne formy u różnych ludzi. Gdybyśmy mieli wspólną definicję miłości, łatwiej uniknęlibyśmy wszystkich romantycznych obrazków rodem z Hollywood, które przykrywają niedostatki w związku. Wszystkich opowieści o tym, jak nudna staje się miłość bez romantyzmu, bez róż i szampana. Opowieści, których czytałam i oglądałam tysiące i przez które wierzyłam, że moja tęsknota odnosi się do przepięknych ciętych kwiatów.

Mogę żyć bez róż czy szampana i nie mam z tym problemu, ale nie jestem w stanie znieść nierówności. Nierówność nie powinna mieć racji bytu w związku dwojga ludzi, którzy twierdzą, że się kochają.

Czy to możliwe, że wielu z nas tak dobrze się czuje z przeświadczeniem, że miłość dla każdego może być czym innym, ponieważ gdybyśmy ją dokładnie zdefiniowali, zobaczylibyśmy własną tęsknotę?

W byciu zgorzkniałą pizdą najbardziej nienawidzę nieżyczliwości, która powoli mnie ogarnia. Czuję się jak w błędnym kole, z którego trudno się wydostać. Nie podoba mi się, że pozwalam drobnym szczegółom urastać do rangi wielkich spraw. Nie chcę być nieżyczliwą, małostkową osobą. Szczęśliwość to jednak luksusowa cecha, która istnieje tylko wówczas, gdy jest ci dobrze, zaznajasz miłości i jesteś traktowana sprawiedliwie.

Im dłużej o tym myślę, tym wyraźniej to widzę: miłość, największa z nich wszystkich, została zawłaszczona przez patriariat, kapitalizm, Hollywood i zamieniona w coś o wiele mniejszego i bardziej fałszywego, niż jest w istocie. W ten sam sposób zostało zawłaszczone małżeństwo. Zamiast być czystą manifestacją miłości, stało się czymś, co częściej łączy się z rodzinami królewskimi, Carlem Bildtem oraz innymi burżujstwami i konwencjami, dzięki którym ekspertka od savoir-vivre'u Magdalena Ribbing skacze z radości w swoim mieszkaniu na „phestizowym góhnym Östehmalmie”. Cały zinstytucjonalizowany ucisk stał się tak normalny, że nawet nie widzi-



my już, jak przykrywa czystą miłość. Tę, która jest największa.

Nic dziwnego, że już po miesiącu musiałam zacząć żartować z własnego ślubu. Nic dziwnego, że ja i moje równouprawnieniowe ideały nie chcieliśmy się w ten sposób pobierać. Chciałam tylko święta miłości.

I nic dziwnego, że siedzę tu na Teneryfie, nie mogąc powstrzymać myśli zgorzkniałej pizdy. Czarnych jak noc obserwacji. Po prostu nie mogę już dłużej zamykać oczu – chyba właśnie to sprawia, że zmieniam się w zgorzkniałą pizdę. Wiem zbyt dużo. Wiem, że kiedy ustaje pierwszy ból po rozwodzie, kobiety najczęściej rozkwitają, zaś mężczyźni nagle zdają sobie sprawę, jak bardzo są samotni. Jak kiepska jest ich relacja z dziećmi i jak niewiele mają przyjaciół, ponieważ to żona zajmowała się dziećmi, przyjaciółmi i krewnymi, podczas gdy mąż pracował i robił karierę.

Cenę za nadrzędną pozycję mężczyzn płacą również oni sami.

Za każdym odnoszącym sukcesy mężczyzną stoi kobieta ze zmęczonymi nogami i migreną. A za każdą odnoszącą sukcesy kobietą jest rozwód.

Kobieta alkoholiczka i jej niezadowolony mąż wstają i ruszają do wyjścia. On na nią nie patrzy, zdecydowanym krokiem idzie w kierunku drzwi, ona zaś podąża za nim, chwiejąc się na wysokich obcasach. Próbuje za nim nadążyć, udając, że nie widzi, jak ją ze złością ignoruje. Możliwe, że czasami, kiedy nie mogą zasnąć, zachodzą w głowę, dlaczego właściwie się pobrali. Myślą o wszystkim tym, na co się zwykle liczy, zawierając małżeństwo, i co później nie następuje. Nagle kobieta orientuje się, że ma już trzydziestkę na karku, coraz więcej popija, jest nieszczęśliwa, a jej mąż wstydzi się za nią i zawsze idzie kilka metrów z przodu. Jedzie na tygodniowy urlop na Teneryfę, wkłada różowy jak kutas kostium i czółenka na obcasie, ale fakt, że dobiera do tego różową szminkę i spryskuje się perfumami, nic a nic nie pomaga. Kobieta zatacza się i tak.

Ja również wstaję i idę się położyć na jednym z leżaków ustawionych wokół basenu. Myślę sobie, że to na pewno jakaś chora pomyłka – człowiek nie może być aż tak zmęczony.

Zasypiam twardym snem i śni mi się, że jestem w Nowym Jorku, w podróży. Czuję się szczęśliwa i wszystko jest super, ale z dalszej części uliczki dobiegają mnie kobiece głosy. Najpierw wydaje mi się, że to śpiew, lecz

kiedy podchodzę bliżej, zdaję sobie sprawę, że kobiety krzyczą. Są na coś złe, ale nie potrafię rozróżnić słów. Na jednej z ławek stoi mężczyzna podobny do Arnolda Schwarzeneggera i próbuje je uspokoić.

Kiedy podchodzę jeszcze bliżej, widzę, że to naprawdę Arnold Schwarzenegger, i robi mi się go trochę żal, chociaż przypuszczam, że kobiety mają prawo być rozzłoszczone.

Ma siwe włosy, a jego oczy wydają się smutne i zmęczone. Nagle ściąga koszulkę, obnażając swój muskularny, naoliwiony tors. Krzyczące kobiety milkną na chwilę, zdziwione, Arnold zaś skwapliwie korzysta z okazji i zaczyna pozować. Ustawia się z profilu, napina bicepsy i jednocześnie wciąga brzuch. Prawdziwy kulturysta. Kiedy kobiety orientują się, że zaczął pozować, zamiast odpowiadać na ich krzyki, ogarnia je jeszcze większy szal.

Po policzku zranionego Arnolda spływają wielkie łzy. Nadal nie rozumie, co zrobił nie tak. Biedaczysko, trzeba mu jakoś pomóc, ale krzyki wszystko zagłuszają, muszę więc stanąć tuż obok niego, żeby mnie usłyszał.

– Cenę za nadrzędną pozycję mężczyzn płacą również oni sami! Będzie cię kosztowała ta twoja władza. Rozumiesz?

Patrzy na mnie niepewnie i próbuje coś odpowiedzieć, ale kobiety krzyczą tak głośno, że nie słyszę, co mówi.

Budzą mnie dzieci w basenie kłócące się z mamą, która krzyczy, że mają wyjść z wody, i to JUŻ. Taty brak. Nigdy żaden zmęczony tata nie krzyczy histerycznie na swoje dzieci. Tatusiowie siedzą raczej w barze, piją piwo i rozmawiają.

Myślę o swoim śnie. Fakt, że cenę za nadrzędną pozycję mężczyzn płacą również oni sami, to marne pocieszenie. Podrzędna pozycja kobiet i tak kosztuje o wiele więcej.

Moja przemiana w zgorzkniałą pizdę ma wiele przyczyn i przebiega powoli, odkąd pamiętam. Nic jednak nie było tak bolesne i nie przyczyniło się do tego tak mocno jak fakt zostania mamą. Ze wszystkich mitów ten o świętym macierzyństwie jest chyba najbardziej fałszywy. I sprawia największy ból.



## *NOWA RACHUBA CZASU (2002)*

Jestem w ciąży i cały czas martwię się, że poronię. Śnią mi się krwawe masy wypływające z mojego ciała. Budzę się spocona i przygnębiona. Tak bardzo chcę mieć to dziecko!

Johan próbuje mnie uspokoić i dotyka moich piersi.

– Zmieniły się. Przedtem nie były takie duże.

To mnie jednak nie uspokaja. Czytam o rozmaitych oznakach ciąży i stwierdzam, że nie wykazuję ani jednej. Nie mam mdłości, nie jestem zmęczona, nie przeszła mi ochota na seks. Czuję się dokładnie tak jak zwykle – kurewsko nienormalnie normalna.

I wcale nie czekam z utęsknieniem na poród. Koleżanki, które już rodziły, opowiadają o nim jak o najcudowniejszym przeżyciu. Słucham tego ze zmarszczonym czołem, przyglądając im się podejrzliwie.

– To daje fantastycznego kopa. Coś jak przebiegnięcie maratonu! – entuzjazmuje się Charlotte.

A ja myślę sobie, że nigdy, ale to nigdy nie przebiegłabym maratonu z własnej woli. Nie mam najmniejszej potrzeby realizowania się w ten sposób.

Latem razem z grupką przyjaciół wynajmujemy domek na Gotlandii. Codziennie pokonujemy na rowerach wiele dziesiątek kilometrów, odwiedza-

jąc rozmaite plaże. Jestem silna i opalona. W lustrze w naszej sypialni badam wnikliwie swoje ciało. Może mimo wszystko brzuch robi się trochę wystający?

Przestają mi się śnić śluzowate krwawe masy i kiedy wracamy do Sztokholmu, zaczynam wierzyć, że może jednak ze środka wyjdzie dziecko.

Na usg. widzimy, jak nasze dziecko zaciska pięść. Na znak zwycięstwa, na znak walki. Pozwalamy sobie na żarty na temat imienia i zaczynamy nazywać je Sue Ellen.

Pewnego poranka, kiedy wstaję z łóżka i idę się wysikać, widzę, że wszystko jest czerwone. W pierwszej chwili nie rozumiem, podcieram się i widzę, że papier także zabarwił się na czerwono. Siki zmieszane z krwią – kolor przechodzi w pomarańczowy.

Sue Ellen tkwi w moim brzuchu już dwadzieścia dwa tygodnie, za późno na pieprzone poronienie! Nie mogę poronić teraz, kiedy dopiero co się odprężyłam!

Dzwonimy do szpitala, oni zaś proszą, żebyśmy przyjechali na oddział położniczy na badanie. Ja płaczę, a Johan zacięcie milczy. Kierowca taksówki chyba nie widzi mojego płaczu, bo kiedy wysadza nas pod oddziałem, mówi wesoło:

– Powodzenia!

– Dziękuję – mamrocze Johan i płaci.

Badają nas, a kiedy słyszę bicie serca dziecka, przestaję płakać. Sue Ellen jednak ma się dobrze! Lekarz wodzi po brzuchu głowicą ultrasonografu i zauważa, że łożysko jest zbyt nisko, tuż przed ujściem macicy.

– Prawdopodobnie to właśnie wywołało niewielkie krwawienie – tłumaczy, myjąc ręce.

Mamy zostać kilka dni na obserwację. Inny lekarz oznajmia nam, że właściwie już teraz możemy się nastawić na cesarskie cięcie. Mówi to tonem ubolewania i patrzy na nas pytająco, kiedy szeroko się do siebie uśmiechamy. Przepęlnia nas radość, że nie będziemy musieli obawiać się porodu.

Po kilku dobach w szpitalu jedziemy do domu. Ostrzeżono nas, że mogą wystąpić kolejne krwawienia, a wtedy musimy natychmiast jechać na oddział na obserwację. Słyszę, że od tej pory muszę bezwzględnie przystopować. Żadnych ciężkich siatek, żadnej jazdy na rowerze i tyle odpoczynku,

ile to tylko możliwe.

– Tak, tak – odpowiadam, uspokojona, że moje dziecko ma się dobrze. Tylko to jedno cokolwiek znaczy.

Zaledwie kilka godzin po powrocie do domu rozlega się dzwonek do drzwi. Posłaniec z cukierni przynosi marcepanowy tort. Pośrodku widnieje napis z czekolady: Sue Ellen. Zamówili go siostra Johana i jej chłopak. Stojemy naprzeciwko siebie przy stole w kuchni i patrzymy na ozdobne litery. Czekoladowe imię, nasze dziecko!

Po raz pierwszy w oczach Johana pojawiają się łzy. Przez resztę wieczoru płaczemy i wsuwamy tort. Siedzimy tuż-tuż obok siebie.

Moja położna chce mi wypisać zwolnienie, ale odmawiam. Boję się ciszy, spokoju, myśli. Boję się zastoju, braku pracy, braku tożsamości. Boję się zostać kimś takim – ciężarną na zwolnieniu. Matką kwoką.

Mówię, że w pracy wszystko w porządku, i nie wspominam o ciężkim radiomagnetofonie, który taszcze na wszystkie wywiady. Nie wspominam ani słowem o pośpiechu, stresie, o wymaganiach, jakie sobie stawiam. Skąd ona może wiedzieć, że moja siła jest moim ideałem, że gardzę każdym przejawem słabości?

Pracuję więcej niż kiedykolwiek. Mam zastępstwo w pełnym wymiarze godzin, a oprócz tego robię dokument. Ludzie dookoła mnie wzdychają, nie wiedząc, że traktuję te westchnienia jako dowód na to, że jestem zdolna.

Dobrze mi, kiedy gram silną. Do krwawień, które mam raz na jakiś czas, właściwie się przyzwyczajam. Przyzwyczajam się do tego, że wtedy jadę na oddział położniczy, spędzam noc na twardym łóżku porodowym, a rano wracam do pracy. Prosto ze szpitala.

Czuję się silna i mądra, a poza tym, co dziwne, tym mniej przestraszona, im bardziej wyzywam los.

I tak to się kręci do czasu, kiedy do planowanego cesarskiego cięcia zostają trzy dni. Poprzedzającego wieczoru boję się już na całego. To zakrada się zniecka – podejrzenie wewnętrznego chaosu, który panuje pod tym wszystkim, co staram się wypierać. Ostateczne bankructwo. Kompletna katastrofa.

Ja.

Sigge wyjmowany jest z rozciętego brzucha w takt *I Shall Be Released* Niny Simone.

Przy zszywaniu mnie na sali operacyjnej pracuje dziesięć fantastycznych kobiet. Leżę na łóżku, płaczę i czuję, że kocham je wszystkie. Wykończone, nisko opłacane, a mimo to przyjazne, pełne cierpliwości, ciepła i gotowe, by pocieszyć. Jestem taka wdzięczna!

Johan idzie z położną do pokoju obok, gdzie myją Siggego, po czym wracają i kładą go przy mojej piersi. Urodził nam się najcudowniejszy mały szcurek, jakiego można sobie wyobrazić! Nie chce otworzyć oczu, leży, nie wydając żadnego dźwięku, a ja gładzę go po policzku, dłoniach, stopach i plecach. Kocham go z całego serca.

Oddział położniczy jest wspaniały. Nie chcę jechać do domu. Mamy tu własny pokój i czujemy się w nim bezpieczni jak w kokonie – dostajemy wszystko, czego nam potrzeba. O stałych porach przynoszą nam posiłki, a na śniadanie jest świeży chleb. Nocami w ogóle nie śpię, całkowicie pochłonięta wpatrywaniem się w Siggego. Nie muszę myśleć o niczym praktycznym. Całą naszą energię, wszystkie uczucia możemy bez przeszkód poświęcić Siggemu i sobie nawzajem.

Jedyną, co się niespecjalnie udaje, to karmienie. Moje piersi rozsadza od mleka, które leje się i leje, ale Sigge ma trudności ze ssaniem. W końcu położna zakłada na pierś gumowy smoczek i wtedy Siggemu udaje się trochę possać.

Po czterech dniach musimy opuścić kokon i pojechać do domu. Jesteśmy otumanieni, a ja nie przestaję płakać. Chyba ze szczęścia, a może to wyczerpanie?

Po dwóch dniach spędzonych w domu przychodzi do nas scenograf, z którym Johan ma pracować nad zbliżającym się spektaklem. To jego pierwsza praca, odkąd ukończył wydział reżyserski Dramatiska institutet – jest zderwowany i wiąże z nią duże nadzieje. Ta praca wiele dla niego znaczy. Scenograf i Johan zamykają się w gabinecie i odbywają służbowe spotkanie. Ja siedzę w dużym pokoju i próbuję nakarmić Siggego. Nie bardzo się to udaje. Moje piersi są twarde, napięte i ciekną z nich małe, złośliwe strużki mleka, które plamią mi bluzkę. Piersi swędzą, pieką i chcą zostać opróżnione, ale Sigge wyje z wściekłości za każdym razem, kiedy kładę go przy

piersi. Próbuję się uodpornić, próbuję sprawić, żeby jego płacz nie zostawił mi w środku głębokich blizn. Próbuję mówić spokojnym głosem. Przemawiam miękko:

– No, maleństwo... proszę... możesz... No już... spróbuj, kochanie...

Głaszczę Siggego po głowie, po plecach, pieścę jego stopy. Pozwalam jego rączce gniewnie zaciskać się na moim wskazującym palcu. Jest napięty jak struna i trzęsie się z wściekłości. Jego krzyk sprawia, że zaczyna lać się ze mnie pot: spływa mi z czoła do oczu, pocę się pod pachami, na brzuchu i udach. Zaczynam panikować. Dlatego, że nie potrafię uodpornić się na jego płacz. Dlatego, że Johan i scenograf nie będą mogli spokojnie pracować i zaczną się zastanawiać, dlaczego on tak krzyczy. Dlatego, że to ja przejmuję się nimi, podczas gdy powinno być odwrotnie. Co ten cholerny scenograf tu właściwie robi? Potrzebuję Johana tu i teraz, chcę, żeby siedział koło mnie na kanapie. Zdaję sobie sprawę, że jestem sama. I to ja mam rozwiązać tę sytuację? Nie mogę skłonić Siggego, żeby ssał pierś, mimo że jest taki głodny. Zaczynam panikować, bo ten bobas wziął mnie we władanie.

Biorę Siggego na ramię i chodzę z nim po pokoju. Cichnie. Czuję, że się rozluźnia. Włączam Ninę Simone, tańczę z nim i pozwalam sobie na płacz. Popłakuję cicho, żeby nie słyszeli mnie Johan i scenograf. Tęsknię za oddziałem położniczym. Za czerwonym przyciskiem, który można było naciśnąć, jak tylko potrzebowało się pomocy – pstryk i już zjawiały się przyjazne położne, uspokajające słowami i dotykiem. Na oddziale nie byłam sama.

Następnego dnia przychodzi scenarzysta, z którym Johan pracuje nad projektem. Zamykają się w gabinecie. Jesteśmy w domu od czterech dni, a ja zaczęłam marznąć. Chodzę w grubych skarpetach i wełnianym swetrze i podkręcam kaloryfer. Na zewnątrz dachy srebrzą się od listopadowego mrozu, a ja nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę miała odwagę wyjść z domu. Co zrobić, jeśli dziecko zaczyna krzyczeć, kiedy jest się daleko?

Moje życie całkiem się zmieniło. Ciało przeżyło wojnę, a teraz okupuje je obca siła. Ten, kogo uważałam za sprzymierzeńca, okazał się zdrajcą. Kimś, kto mnie zawiódł, całkowicie poświęcając się innym sprawom i spotkaniom. A ja próbuję zrozumieć.

Patrzę Siggemu głęboko w oczy i staram się poznać mojego osobistego okupanta. Oblaskawiam go, zakładając smoczek na brodawkę sutkową. Dzięki temu udaje mi się sprawić, żeby zjadł. Zasypia najedzony. Ja w ramach lunchu robię sobie kilka kanapek z serem, a następnie z Siggem na kolanach oglądam telewizję. Trochę się martwię, bo następnego dnia Johan ma pojechać do Skellefteå zrobić ostatnie poprawki. To w tamtejszym teatrze kilka miesięcy później ma wystawić swój spektakl, ja zaś niepokoję się, że cały dzień będę musiała być sam na sam z Siggem. Od powrotu ze szpitala minęły dopiero cztery dni, wszystko jest nowe i przytłaczające. Martwię się, że karmienie nie wychodzi. Martwię się, że nie zmrużyłam oka przez sześć nocy. Martwię się, że boli mnie blizna po operacji.

Martwię się, bo zauważam, że Johan myślami jest gdzie indziej.

O szóstej rano budzi mnie ból piersi – jest twarda jak kamień. Zator. Chwiejąc się na nogach, idę do łazienki w panującym dookoła mroku listopadowego poranka. Czytałam, że w takich przypadkach należy rozmasować i ogrzać pierś, kieruję więc na nią strumień powietrza z suszarki do włosów. Hałas budzi Johana, który wchodzi do łazienki, a wtedy wszystko pęka. Zalewam się łzami.

– Johan, kochanie, nie jedź! Boli mnie i nie chcę być dzisiaj sama!

Johan wygląda na oszołomionego.

– Muszę jechać. Cały teatr na mnie czeka.

Cieknie mleko, cieknie wydzielina z nosa, ciekną łzy. Cała jestem kupą śluzu, która zaraz spłynie do ścieku. Chcąc przekrzyczeć suszarkę, wrzeszczę do Johana:

– W dupie mam twój pieprzony teatr!

Ale jego samolot odlatuje o siódmej, więc Johan wkrótce wychodzi. Ja nadal siedzę na sedesie z suszarką w ręku i płaczę. W końcu się uspokajam, biorę dwa przeciwbólowe alvedony i wsuwam się do łóżka obok rozgrzanego malutkiego Siggego. Dwie godziny później budzę się mokra od potu, z gorączką i obolałą piersią, która przypomina piłkę tenisową. Staram się nakarmić Siggego zdrową piersią, a potem kładę go na kocu na kuchennej podłodze i próbuję zjeść coś na śniadanie.

Nie mam odwagi myśleć o tym, że Johan zwiął. Że zniknął za drzwiami, chociaż prosiłam go, żeby został. Muskam to, co niepojęte, ale w końcu zo-



stawiam w spokoju, jak dobrze zasklepiony ropień.

Nastawiam piekarnik na najwyższą temperaturę i siadam przy nim naga w nadziei, że ciepło mi pomoże. Tak się jednak nie staje. Gorączka tylko się wzmacnia i wstrząsają mną dreszcze. Biorę więcej alvedonu, kładę się z Siggem pod górę koców i wychodzę dopiero wtedy, kiedy trzeba zmienić mu pieluchę.

Późnym wieczorem Johan wreszcie wraca do domu. Pełen niepokoju i poczucia winy.

– Cały dzień o was myślałem – mówi ze łzami w oczach.

Gównu mi to da, że myślałeś o nas cały dzień – odpowiadam w myślach.

Nie mówię jednak tego na głos. Jestem tak osłabiona i obolała, że nie jestem w stanie być zła.

Kiedy po trzech dobach zator nie ustępuje, a termometr pokazuje czterdzieści jeden stopni, jadę na pogotowie. Tam dają mi antybiotyki i wysyłają do domu z kilkoma przyjacielskimi poradami na temat karmienia. To, że miałabym przestać karmić piersią, wydaje się nie wchodzić w rachubę. Już następnego dnia czuję się o wiele lepiej, jakbym nie miała gorączki. Termometr jednak wskazuje trzydzieści dziewięć stopni, więc to tylko kontrast między wcześniejszymi czterdziestoma jeden sprawia, że czuję się zdrowa. Dzień później temperatura rośnie i znowu jadę na pogotowie. Tym razem zostaję w szpitalu.

Dostajemy własną salę, więc Johan i Sigge mogą być ze mną. Moja gorączka sięga czterdziestu stopni, na przemian pocę się i trzęsę z zimna. Po południu przychodzą dwie panie z kliniki karmienia piersią. Chcą zobaczyć, czy nie mogłabym spróbować nakarmić Siggego bez smoczka. Siedzę na obskurnym fotelu, leje się ze mnie pot, a Sigge krzyczy, ponieważ nie potrafi ssać bez gumowego smoczka. Jedna z kobiet szczypie i ciągnie moją brodawkę sutkową, próbując włożyć ją Siggemu do ust. To boli, ale moje piersi nie należą już do mnie. Tak się tylko przypadkiem składa, że są częścią mojego ciała i produkują mleko. Po dziesięciu długich minutach, kiedy to próbowałam skłonić histerycznie krzyczącego Siggego do ssania, podczas gdy panie przyglądały się temu z boku, proszę, żeby już to skończyć.

– No dobrze, chyba możemy skończyć na dzisiaj – mówi jedna z kobiet.

Nosi mały złoty krzyżyk na szyi i białe perełki w uszach. Nagle przypo-

minam sobie wyczytaną gdzieś informację, że w służbie zdrowia jest wielu członków Ludowej Partii Liberałów. Oni nigdy nie robią rewolucji, wierzą w Boga i żeby wywalczyć lepsze warunki pracy, często modlą się do niego, zamiast strajkować. Może winna jest temu wysoka gorączka, fakt, że się na mnie gapią albo że cała spływam potem, ale nagle wzbiera we mnie złość na kobietę z krzyżykiem.

– Tak naprawdę zastanawiam się, czy nie przestać karmić, bo to nie zda je egzaminu. Słyszałam, że są tabletki, od których produkcja mleka ustaje. Może one pomogłyby mi pozbyć się zatoru? – pytam.

Kobiety są oburzone.

– Takie tabletki są bardzo niebezpieczne, można się od nich nabawić psychozy – mówi jedna.

– Musi się pani liczyć z tym, że przez pierwsze miesiące karmienie może być trochę trudne – dodaje druga.

Ta z krzyżykiem i kolczykami.

– Nie ma mowy, żebym wytrzymała miesiąc, a psychozy pewnie i tak dostanę od ciągłego bólu i czterdziestostopniowej gorączki. Dociera to do was? – wykrzykuje.

Kobiety spoglądają na siebie znacząco, po czym przenoszą wzrok na mnie. Myślą pewnie, że jestem szalona i rozhisteryzowana. I mają rację.

– Zobaczysz pani, że wszystko się ułoży – mówi kobieta ze złotym krzyżykiem.

– Musimy już niestety iść, ale proszę się z nami znowu skontaktować, jeżeli będzie pani potrzebowała pomocy w karmieniu.

Odchodzą, a ja płaczę i się pocę, zaś z piersi cieknie mleko, którego Sigge nie pije. Znowu zakładam smoczek i próbuję go nakarmić.

Dwa dni później wracamy do domu. Wspólnie z Johanem postanowiliśmy, że zaczniemy uzupełniać karmienie mlekiem zastępczym z butelki.

To się udaje i przestajemy się martwić, że Sigge nie dostaje wystarczająco dużo pokarmu, bo przez butelkę widzimy dokładnie, ile mleka zjada. Po raz pierwszy idziemy na spacer, wioząc w wózku Siggego. Johan robi mi zdjęcie, kiedy stoję koło jeziora. Opieram się o wózek i wyglądam na zmęczoną.

Jest to jednak pod każdym względem zły czas. Następnego dnia boleć za-

czyna zdrowa pierś. Powoli zamienia się w twardą piłkę tenisową, powraca gorączka. Dzwonimy do szpitala, a tam mówią, że natychmiast musimy przyjechać. Płaczę. Nie chcę znowu jechać do szpitala! Leżę w naszym łóżku pod kilkoma warstwami grubych koców. Wstrząsają mną dreszcze. Johan siada na skraju łóżka.

– Czy nie byłoby lepiej dla Siggego, gdybym został z nim w domu, żebyś mogła porządnie odpocząć i wyzdrowieć? – pyta, głaszcząc mnie po głowie.

Mija trochę czasu, zanim dociera do mnie, że Johan nie chce jechać do szpitala. Ja też nie chcę tam jechać, ale nie mam wyboru. Na myśl, że miałabym całą noc być z dala od Siggego, dostaję ataku paniki. Wydaje się to fizycznie niemożliwe. Nie mogę uwierzyć, że Johan mówi poważnie. Niemożliwe, żeby mówił poważnie!

Johan zmienia zdanie i mówi, że oczywiście może pojechać, ale nie chce zostawać na noc. Mogą przyjeżdżać do mnie z Siggem za dnia i wracać wieczorami. Usiłuję wytłumaczyć, że nie mogę znieść nieobecności Siggego. Muszę mieć przy sobie jego rozgrzane ciało, słyszeć jego delikatne, dyszące oddechy, które mnie uspokajają. Ale Johan mnie nie rozumie i mówi, że gdyby to on był chory, nie chciałby, żebyśmy z nim zostawali. Co to za argument, przecież to ja jestem chora i chcę, żeby był przy mnie razem z Siggem! Nagle ogarnia mnie nienawiść. Robię się zimna jak lód.

– Zdajesz sobie sprawę, że nigdy, ale to nigdy ci tego nie wybaczę?

Johan patrzy z rezygnacją i idzie zadzwonić po taksówkę.

Szpital jest zatłoczony i zostajemy wysłani do wieloosobowej sali. Patrę na Johana i nienawidzę go za to, że wygląda na tak zadowolonego.

– Rozumiesz, że nie mogę zostać? – mówi tonem ubolewania.

Patrę na stojącą obok kobietę w białym fartuchu. Nie patrzy mi w oczy, opuszcza wzrok na pager i przebiera nerwowo palcami.

– Niestety, brakuje nam teraz pojedynczych sal. Obawiam się, że mąż i dziecko nie będą mogli zostać na noc – mówi cicho.

Czy domyśla się, w jakiej jestem rozpacz? Czuje zapach mojego potu? Wie, że osoba z wysoką gorączką wyzbywa się zahamowań i zachowuje jak szalona?

Łzy znów zaczynają płynąć mi z oczu. Powoli się do tego przyzwyczajam. Przyzwyczajam się do mojej czerwonej, nabrzmiałej twarzy, wciąż mokrej

od łez i smarków. Z brzucha dobywa się jęk, który wychodzi gardłem. Płacę tak, jak nigdy wcześniej nie płakałam. Głośno i gardłowo. Brzmie jak ranne zwierzę i rozumiem, że to wstyd w zwyczajnym świecie, do którego przestałam już należeć. Słyszę, że pielęgniarka wychodzi z sali, a Johan próbuje usiąść obok mnie na wąskim łóżku. Spycham go, biorę Siggego i wchodzę pod kołdrę, trzymając go blisko siebie. Głaszczę go po głowie, patrzę na jego piękną twarz, kiedy śpi. Moje kochane dziecko, najcudowniejsze maleństwo, które sprawia, że z miłości cała klatka piersiowa aż boli w ten zupełnie szczególny sposób.

Nie wiem, jak długo tak leżymy. Johan siedzi w jasnoróżowym fotelu i milcząco patrzy przez okno. Na ścianie nad jego głową wisi obraz. Akwarela przedstawiająca łąkę pełną niewinnych kwiatów. W tle zachód słońca, który barwi wszystko na różowo. Dobry humor już dawno mnie opuścił i myślę o tym, jak bardzo nienawidzę różowego. To najbrzydszy kolor ze wszystkich, ohydny pod każdym względem, a mimo to tak chętnie używany.

Po chwili widzę, że Johan zaczyna pakować swoje rzeczy. Wkłada płaszcz i szykuje się do wyjścia. Stoi przy moim łóżku i próbuje spojrzeć mi w oczy, ale ja unikam jego spojrzenia.

Nagle otwierają się drzwi i do środka wchodzi kobieta w białym fartuchu. Trzymając się prosto, podchodzi do mojego łóżka. Wygląda na zadowoloną.

– Znaleźliśmy salę dla państwa! – oznajmia z dumą. – Cała wasza mała rodzina może u nas zostać!

Johan marszczy brwi i nadal trzyma mocno walizkę. Kobieta radośnie kontynuuje.

– Kiedy się pan zasmucił, zrobiło się nam pana szkoda, no a teraz okazuje się, że możecie zostać – mówi, patrząc na Johana.

Johan, sztywny, odwzajemnia jej spojrzenie, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Ale... naprawdę myślę, że najlepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli pojedę z Siggem do domu.

Teraz to Johan nie chce spojrzeć mi w oczy. Widzę, że jest zawstydzony i zły. Słyszę, jak się stara, żeby jego głos brzmiał wesoło.

– Robi się późno, Saro, więc lepiej już się położyć, a my przyjdziemy do ciebie jutro.

Widzę, jak odwraca twarz, i wiem, że nie mam już siły się kłócić. Alvedon przestał działać i czuję, że gorączka się wzmacnia. Przeszywa mnie znajomy dreszcz i znów zaczynam dygotać. Nic nie mówię i wiem, że moje milczenie działa mu na nerwy.

– No dobrze, to już zależy od państwa – mówi z konsternacją kobieta w białym fartuchu i wychodzi, zostawiając nas samych.

Johan bierze Siggego na ręce i zaczyna wkładać mu ciepły kombinezon, a ja nadal nie reaguję.

Może tak to się zaczyna, zanim człowiek pogrąży się w apatii? – myślę.

Kiedy jednak widzę, jak Sigge znika za drzwiami w samochodowym foteliku niesionym przez Johana, budzę się do życia. Coś przeskakuje mi w głowie i zrywam się z łóżka, żeby za nimi pobiec. W moim na wpół psychotycznym, gorączkowym świecie widzę potwora porywającego moje dziecko i wiem, że muszę je ratować. Ale blizna po operacji sprawia, że zginam się wzdłuż i upadam na podłogę. Leżąc tak, widzę huśtające się ściany. Myślę. Tak, teraz naprawdę oszalałam. Zanoszę się od płaczu, bo moje dziecko jest stracone, bo ja jestem stracona.

Wchodzi kobieta w białym fartuchu. Z pewnością stała tuż za drzwiami w pełnej gotowości. Pomaga mi wejść do łóżka i otula kołdrą.

– No już, no już – mówi miłym głosem, głaszcząc mnie po głowie, ale ja nie mogę przestać płakać.

– Urodził mi się chłopczyk – chlapię. – Jest taki piękny. Najpiękniejszy mały szczurek!

– Oczywiście, że tak – odpowiada miła siostra.

– Ale ja nie chcę umierać, chcę, żeby on tu przy mnie był!

– No już, nie umrzesz. Dopilnujemy tego.

Długo przy mnie siedzi i gładzi mnie po głowie. To mnie uspokaja i po pewnym czasie przestaję płakać.

Szpitalne łóżko jest wąskie i twarde. Całą noc nie śpię i wpatruję się w sufit. Do głowy przychodzą mi paskudne myśli o tym, że już nigdy więcej nie zobaczę Siggego. On dziś w nocy umrze. Nagła śmierć łóżeczkowa. Wypadek taksówki. Nie mogę przestać. Obrazy następują po sobie, jeden

gorszy od drugiego.

Przez kolejnych pięć dób lekarze próbują sześciu różnych antybiotyków, które przyjmuję dożylnie, jednak nic nie pomaga – temperatura ani na chwilę nie spada poniżej trzydziestu dziewięciu stopni.

Z tego okresu pamiętam tylko urywki. Johana i Siggego, którzy przychodzą do mnie przed południem. To, jak płaczę, kiedy Sigge leży obok mnie w szpitalnym łóżku. Jak płaczę, kiedy po południu wychodzą. Pamiętam bezsenne noce. Strach przed śmiercią, kiedy zauważam, że nawet lekarze zaczynają się niepokoić. Nikt nie potrafi udzielić żadnej informacji. A ta ciągła gorączka doprowadza mnie do szału. Mówię Johanowi, że to typowe – kiedy wreszcie doczekałam się Siggego, umrę. Próbuje mnie pocieszyć, ale widzę, że on też się niepokoi.

Po jakimś czasie kończą mi się tabletki na zatrzymanie laktacji, o które prosiłam. Mleko też powoli się kończy, ale piersi w dalszym ciągu są twarde i obolałe. Okazuje się, że poza zapaleniem piersi wystąpiło u mnie zakażenie szpitalne bakterią odporną na antybiotyki. To dlatego nie pomagały. Nie mogę odeprzeć myśli, że nabawiłam się go, kiedy szorstkie dłonie ekspertki od karmienia szczypały mnie w brodawki sutkowe. Nawet się z tego trochę z Johanem śmiejemy.

Nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości rozmiaru jego zdrady. Chowałam to głęboko w sobie i dopiero dziesięć miesięcy później pozwalałam sobie na użycie tego słowa: „zdrada”. Teraz nie mówię nikomu, co przeżywam, a jedynie że Johan i Sigge nie mogą zostać w szpitalu, bo pobyt tu jest dla nich zbyt kłopotliwy. Że lepiej dla Siggego i dla mnie, żeby spali w domu.

Po tygodniu wracamy. To wielka ulga w końcu pozbyć się gorączki. Sigge pije mleko zastępcze z butelki, Johan i ja karmimy go na zmianę. Nie jestem już pod okupacją, a moja miłość do szurka może wzrastać wolna od choroby, potu i ciekącego mleka. Mogę nawet nadrobić trochę zaległości w spaniu, bo zmieniamy się w nocy. Butelka ze smoczkiem i mleko zastępcze są moim wybawieniem i przepełniona szczęściem zaczynam na nowo zdobywać życie. Za to Johan jest w stresie. Kiedy byłam chora, musiał odwołać wszystkie służbowe spotkania i teraz musi to wszystko nadrobić.

Mam niewypowiedziane poczucie winy dlatego, że Johan nie mógł pra-

cować zgodnie z planem. Może tylko to sobie wmawiam, ale naprawdę tak czuję i nie wyrażam sprzeciwu, kiedy zaraz po powrocie zabiera się do pracy.

Dopiero po czasie zauważam, jakie to dziwne, że nawet wtedy nie zrobiliśmy sobie chwili przerwy. Nie daliśmy czasu na zregenerowanie sił.

Dni mijają, a moja choroba zamienia się w opowieść, która w nas obojgu wywołuje dreszcz. Nawet przyjemny. Płaczymy ze śmiechu na wieść, że Cattis, moja dawna przedszkolanka, poprosiła w kościele w naszym rodzinnym Västerås o wstawiennictwo za nas. Modlili się o to, żeby chora mama na nowo połączyła się ze swoim nowo narodzonym dzieckiem. Żeby ta mała rodzina mogła znów wrócić do domu.

Czuję się tak, jakby chodziło o kogoś innego. O znajomą, której tak naprawdę nie znam. Nie chcę się nad tym zastanawiać. Jestem zmęczona strachem i niepokojem. Chcę się znowu cieszyć, czuć, jak to jest być szczęśliwą, świeżo upieczoną mamą. Na smutek nie ma zresztą czasu – Johan pracuje, a ja spędzam całe dni z Siggem. Pośpieszam te dni, pilnuję, żeby godziny mijały szybko.

W tym czasie słyszę, że promienieję. I to jak.

Bezsensowność może z początku wprawiać w dobry nastrój, mnie nawet kręci się lekko w głowie. To przyjemne. Czuję się trochę jak odurzona alkoholem. Dopiero po jakimś czasie brak snu powoduje zmęczenie i sprawia, że człowiek zaczyna wariować. Jestem naprawdę zmęczona, kiedy Johan zostawia mnie i jedzie do Skellefteå zacząć próby przed swoim przedstawieniem. Przez dziesięć tygodni nie ma go od poniedziałku do piątku.

Pierwszy tydzień jest w porządku. W piątek wieczorem czekam z czerwonym winem, pizzą i mnóstwem tęsknoty. Odrobinę się ścieramy, kiedy zauważam, że Johan jest nieobecny i zmęczony. Nie chce o tym mówić, siedzi w milczeniu na kanapie, zajęty myślami o sztuce. Zasypiamy kamienym snem, ale Sigge wkrótce mnie budzi. Johan śpi nadal. Jak wielu mężczyzn, ma fantastyczną zdolność spania bez zakłóceń, nawet jeśli na morzu szaleje sztorm. Albo kiedy, tak jak teraz, nasze dziecko popłakuje, śpi niespokojnie, budzi się i żeby mogło zasnąć znowu, trzeba je trochę ponosić.

Drugi tydzień jest już gorszy. Udaje mi się przeżyć, ale cały czas czuję w ustach kwaśny posmak. Powoli rośnie we mnie złość, zyskując w końcu

takie rozmiary, że nie da się jej już zdusić.

W piątek wieczorem kłócimy się o to, że potrzebuję weekendów, a zwłaszcza nocy, żeby móc odpocząć. Johan nie uważa tego za oczywiste, mówi, że on także jest zmęczony po całym tygodniu pracy.

Trudno mi to zrozumieć, przecież śpi spokojnie pięć nocy w tygodniu. Po raz kolejny ogarnia mnie okropne przecucie, wrażenie, że tak naprawdę go nie znam, choć jest człowiekiem, z którym przeżyłam siedem lat.

Wszystko jest nierzeczywiste, a podłoga faluje. Nie wiem, jak sprawić, aby zrozumiał, co to znaczy spędzić całą dobę w towarzystwie trzymiesięcznego dziecka. Nie pojmie tego nikt, kto sam tego nie przeżył. W końcu moja histeria bierze górę i krzyczę głośniej od Johana. On daje za wygraną – może domyśla się, jak blisko jestem granicy? Dostaję weekendy. To mała szansa na przeżycie, której kurczowo się chwytam.

Dni wypełniają spacer, zakupy w sklepach spożywczych, kilkugodzinne wypadki na kawę z koleżankami, basen dla dzieci, kino dla dzieci, wizyty w muzeach, kupowanie ubrań. Codziennie mnóstwo rzeczy do zrobienia, napięty harmonogram, który pielęgnuję. Panicznie się boję tych cichych, samotnych wieczorów, kiedy myśli mnie przytłaczają. Sigge śpi spokojnie w wózku i budzi się zadowolony. Z zaciekawieniem obserwuje świat i krzyczy tylko wtedy, kiedy jest głodny. Moje kochane maleństwo, najlepszy przyjaciel, nieprzejednany okupant.

W przychodni dziecięcej dostaję do wypełnienia kwestionariusz. Kobieta w okienku, Monika, wyjaśnia, że chcą w ten sposób wyłowić osoby, które czują się źle, i zaproponować pomoc w formie rozmowy. Pytania dotyczą tego, jak przeżywam poszczególne dni. Czy mam w sobie dużo lęku? Czy trudno mi wyjść z domu i znaleźć sobie zajęcie? Przeraza mnie, że kobieta w mig zrozumie, jak bardzo jestem nieszczęśliwa. Boję się, że coś pęknie raz na zawsze. Zaznaczam pola, które świadczą o tym, że czuję się wspólnie. Że śpię, że codziennie znajduję sobie coś do roboty, że w moim nowym życiu matki nie ma absolutnie żadnych problemów...

Monika patrzy ze zdziwieniem na to, co zaznaczyłam.

– Aha... dobrze to wygląda... większość uważa, że na początku jest trudno, zanim nabierze się wprawy...

Wyjaśniam, że w tym trudnym okresie na początku byłam chora. W po-



równaniu z tym, co działo się wtedy, teraz jest znakomicie. Monika dłuższą chwilę milczy, może domyśla się, że sama siebie oszukuję. Nie może wiedzieć, że moim problemem nie jest brak zajęć, lecz coś przeciwnego: fakt, że nigdy nie mam czasu na odpoczynek.

– Wiadomo, noce są trudne... – mówię, chcąc wypaść bardziej wiarygodnie.

– Tak, zawsze tak jest – odpowiada Monika, godząc się z moją przesadną hardością. – Proszę spróbować spać za dnia, w tym samym czasie co Sigge – ciągnie, a ja myślę, że nigdy bym tak nie mogła, biorąc pod uwagę, jak bardzo wypełnione są moje dni.

Wieczorami płaczę ze zmęczenia. Sigge leży obok mnie w łóżku i wydaje mi się pełen powagi. Wygląda też na smutnego i zmęczonego całą tą bieganią, naszym historycznym tempem, które utrzymuję każdego dnia. Głaszczę go po głowie i po kilku godzinach zasypiamy.

Dzwoni Johan. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Jest w trakcie prób, zdenerwowany, że aktorzy nie traktują go poważnie, że się nie uda, że nie jest dość dobry. Nie odzywam się i zastanawiam, jak kiedykolwiek mielibyśmy się jeszcze spotkać.

Z każdym dniem nienawidzę go bowiem coraz bardziej. Nienawidzę tego, że przez jego nieobecność czuję się taka samotna i opuszczona. Te uczucia cofają mnie aż do wczesnego dzieciństwa, z którego nie mam żadnych świadomych wspomnień. Kurczę się.

Wczesnym rankiem w sobotę, kiedy Johan idzie na górę zmienić Sigge-mu pieluchę, rozlega się niespodziewany, głuchy odgłos. Zapada kilkusekundowa cisza, a następnie słyszę historyczny krzyk Siggego. Biegnę na górę i widzę, jak Johan kołysze go w ramionach.

– Spadł ze stołu do przewijania – mówi zszokowany. – Właśnie miałem zmoczyć myjkę i na sekundę odwróciłem się plecami.

Johan wygląda na bezbronnego i zawstydzonego, ale to nie przebija się przez mój lodowaty chłód.

– Daj mi Siggego! – mówię surowym tonem.

– Chcę go uspokoić – odpowiada Johan ze łzami w oczach.

– Nie możesz go uspokoić. Daj mi Siggego! – powtarzam i zabieram dziecko Johanowi.

Sigge momentalnie przestaje płakać. Siedzę, trzymam go w ramionach i patrzę, jak znów staje się sobą. Siedzę i nienawidzę. Nienawidzę. Przeklinam poranne zmęczenie Johana, przeklinam fakt, że nie było go w domu, przez co nie wiedział, że Sigge potrafi już się turlać, przeklinam całe jego istnienie.

Milczymy przez całą drogę na pogotowie. Tam czeka na nas osobny pokój i lekarz zadający tysiące podejrzliwych pytań, co wzbudza w Johanie jeszcze większe poczucie winy. Johan wyjaśnia, że długo nie było go w domu i nie zdawał sobie sprawy, że Sigge zaczął się obracać. Ja nie mówię nic, co mogłoby mu pomóc, tylko siedzę, nienawidzę i mierzę go złośliwym wzrokiem. Mamy zostać kilka godzin na obserwacji.

Kiedy lekarz wychodzi z pokoju, Johan zaczyna płakać. Cichym, spazmatycznym płaczem, od którego trzęsą mu się ramiona. Nachodzi mnie nagła ochota, żeby rzucić wszystko i po prostu go przytulić. Popłakać razem z nim, pogodzić się i spotkać w naszym wspólnym nieszczęściu. Jednak bezsenność, samotność i niepokój, których ostatnimi miesiącami nie brakowało, zawiązały mi w środku supeł, zbyt trudny do rozplątania. Tak jakby cała odczuwana w dzieciństwie tęsknota, poczucie beznadziei, wszystkie rozczarowania, jakich kiedykolwiek doznałam, nagle się ze mnie wylały, zamrażając całą miłość do Johana.

W wirówce, jaką jest nasze życie, obracamy się jeszcze przez kolejne osiem tygodni.

Dzwonię do poradni rodzinnej i rezerwuję termin. Kobieta, z którą rozmawiam, w pierwszej chwili nie rozumie.

– Ale dlaczego pani męża nie było dziesięć tygodni?

Po raz kolejny przemawiam głosem Johana, tłumacząc, że chodziło o pracę, umowa była już podpisana wcześniej. Na to kobieta pyta niepewnie, czy dobrze zrozumiała, że nasz syn ma dopiero trzy miesiące. Kiedy odpowiadam, że tak jest, kobieta długo milczy. Może notuje, ale nadal mam wrażenie, że wyczuwam delikatną niepewność. Może to moja nadininterpretacja, ale potrzebuję potwierdzenia, że wolno mi czuć to, co czuję. Cały czas myślę o tym, że na świecie są miliony kobiet, których mężowie zawiedli o wiele bardziej, zostawiając je same z dziećmi i domem bez najmniejszego pretekstu.

Nie należy nie doceniać ciężaru historii. Wiem, że wiele osób skwitowałoby moje problemy prychnięciem. W dalszym ciągu zastanawiam się czasem nad proporcjami. Czy wolno mi używać słowa „zdrada”? Johan tak nie uważa. Twierdzi, że padliśmy ofiarą nieszczęśliwych okoliczności, wymuszonej sytuacji, nad którą nie mieliśmy kontroli. Ja jednak nie mogę powstrzymać myśli, że wszystko mogło wyglądać inaczej, mimo nieszczęśliwych okoliczności i wymuszonej sytuacji.

W poradni mamy się zjawić w czwartek rano. Nasi przyjaciele, Patrik i Jens, są opiekunami do dzieci i będą spacerować z Siggem przez godzinę w parku tuż obok. Terapeuci to para w średnim wieku, tworzą team. Nazywają się Maggan i Mats. Johan i ja chichoczymy nerwowo, widząc ich zawodową serdeczność. Na ścianach wisi tkany obraz, przedstawiający grubo ciosaną twarz o wytrzeszczonych oczach. Maggan opowiada długą historię jego powstania – został utkany przez jej przyjaciela i przedstawia chaos, bez którego życie nie może się obejść. Słuchamy, kiwając uprzejmię głowami.

– No dobrze – mówi Mats. – A więc, Saro, czy mogłabyś opowiedzieć, dlaczego chcieliście tu do nas przyjść?

– Tak – odpowiadam. – Mamy kryzys, ponieważ Johan bardzo dużo pracował poza domem w czasie, kiedy urodziło się nam pierwsze dziecko. To było o wiele trudniejsze, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać. Czułam się opuszczona, niekochana. Mam wrażenie, że Johan nie rozumie, jak bardzo było mi ciężko.

Maggan i Mats kiwają głowami i patrzą na Johana. Teraz to on mówi.

– Też sędzę, że źle się złożyło, że tak dużo pracowałem i nie było mnie w domu tuż po narodzinach Siggego, ale nie wydaje mi się, abym miał wybór. Umowa była już podpisana i musiałem.

Maggan i Mats znowu notują.

Na początku mówimy ostrożnie i z namysłem. Przypomina to spokojny mecz tenisa, tuż po rozpoczęciu, kiedy rywale chcą wyczuć się nawzajem. Jednak stopniowo zmieniamy tempo, zachęteni milczeniem Maggan i Matsa i ich rozumiejącymi spojrzeniami. Nagle znajdujemy się w środku szalejącej burzy, słowa buchają nam z ust, robimy się czerwoni na twarzach od uczuć przetaczających się przez pokój z tkany obrazem. W końcu milk-

niemy. Maggan i Mats patrzą tylko na nas, a ich twarze są bez wyrazu. Zastanawiam się, czy terapeuci się tego uczą – żeby nie okazywać uczuć. Mats głaszcze się po prawej nodze otwartą dłonią, jakby ją uspokajał. Maggan zwilża językiem usta i patrząc na mnie, zaczyna mówić.

– Słuchając was, zwróciłam uwagę, że ciągle powtarzaliście słowo „sprawiedliwość”. Wygląda na to, że jest dla was ważne. Może to swego rodzaju słowo klucz? – Chcąc wzmocnić pytanie, unosi wypięłgnowane brwi.

– Tak – odpowiadam.

– Tak – mówi Johan.

Maggan się uśmiecha i spogląda na Matsa, który przestaje głaskać się po nodze i odwzajemnia uśmiech. Sekretne porozumienie.

– Często słyszymy to od par, które do nas przychodzą. Nie jesteście jedynymi, którzy mają problem z tą tak zwaną sprawiedliwością – mówi Mats.

– Maggan i ja zawsze mówimy to samo: o próbach osiągnięcia sprawiedliwości w związku możecie zapomnieć. Nie da się osiągnąć sprawiedliwości!

Johan patrzy na mnie, ja patrzę na Matsa, a później na Maggan, próbując zrozumieć słowa, które właśnie usłyszałam. Nie wiem, co powiedzieć, i zanim jakakolwiek inna myśl przychodzi mi do głowy, Maggan znów zaczyna mówić.

– Johan dużo pracuje, ale tak to wyglądało od czasu epoki kamienia łupanego. Mężczyźni od początku świata odpowiadali za polowanie i dostarczanie do domu pożywienia – tłumaczy, uśmiechając się szeroko do nas obojga.

Odpowiadam uśmiechem, który rośnie i zamienia się w histeryczny chichot. Nie mam odwagi spojrzeć na Johana, ponieważ wiem, że gdybyśmy spojrzeli sobie w oczy, wybuchnęlibyśmy śmiechem. Widzę kątem oka, że Johan za wszelką cenę stara się patrzeć przed siebie na obraz, siedzi nienaturalnie wyprostowany, trzymając głowę nieruchomo, ale ramiona trzęsą mu się niekontrolowanie od powstrzymywanego śmiechu.

– Tak, a kobiety od początku świata siedziały w jaskini i pilnowały dzieci, podczas gdy mężczyźni polowali, więc jeśli zrezygnuję z kariery, zostanę gospodynią domową i zapomnę o wszystkich głupich wymaganiach dotyczących sprawiedliwości, nie będziemy się już więcej kłócić! To cudownie! Dziękuję, właśnie zażegnaliście cały nasz kryzys. Nie wiem, dlaczego sami

na to nie wpadliśmy! – mówię i uśmiecham się szeroko do Maggan i Matsa, którzy ze zdziwieniem patrzą na Johana, usilnie wpatrującego się w jeden punkt na podłodze.

– To nie jest tylko takie gadanie. Wielu wykładowców wspomina o tym na kursach – mówi Mats, a zawodowa serdeczność w jego głosie nieco przygasa.

– Proszę wybaczyć – odpowiada Johan – ale właśnie tłumaczyliśmy, że nasz konflikt dotyczy tego, jak żyć w równouprawnieniu, więc jeśli mówicie, że nie ma sensu walczyć o sprawiedliwość, to tak, jakbyście kazali nam się poddać.

– Chodzi nam tylko o to, że sprawiedliwość może mieć bardzo różne oblicza. Jeżeli Sara lepiej gotuje, to chyba byłoby dobrze, żeby to ona się tym zajmowała. Johan może jest lepszy w zmienianiu opon w samochodzie? – próbuje Maggan.

– Nie mamy samochodu – mówi Johan.

– Aha. Ale może to ty wieszasz półki? Chodzi mi o to, że być może nie zawsze da się sprawiedliwie podzielić wszystkimi obowiązkami bez wyjątku. Pewne rzeczy mogą się wydawać naturalniejsze dla ciebie, zaś inne mogą być bardziej naturalne dla Johana – mówi Maggan ze złością.

Przestaję się uśmiechać i patrzę na Maggan zimnymi oczyma.

– A mnie chodzi o to, że nigdy nie przeżyłam bardziej nienaturalnej sytuacji niż ta, kiedy na dziesięć tygodni zostałam z dzieckiem, które miało trzy miesiące. Nic bardziej wynaturzonego nie może się chyba przytrafić świeżo upieczonej matce – mówię ostrym głosem. – Jak śmiecie siedzieć tu i doradzać nieszczęśliwym parom, żeby nie walczyły o sprawiedliwość? – gromię Matsa i Maggan, którzy wpatrują się we mnie, marszcząc czoła.

Wstaję i zaczynam zbierać ubrania. Johan robi to samo, a Maggan odzywa się cierpkim głosem.

– Domyślam się, że nie chcecie umówić się na kolejny termin?

– Nie, dziękujemy – mówimy oboje chórem, po czym tak szybko, jak tylko się da, wychodzimy z pokoju z tkanym obrazem.

Byle jak najdalej od Maggan, Matsa, epoki kamienia łupanego i jaskiniowców. Schodzimy po schodach do parku, gdzie Patrik i Jens czekają z Siggem w wózku. Ku teraźniejszości i przeszłości. Johan chwyta moją

dłoń, spoglądamy na siebie w świętym porozumieniu i zaczynamy się śmiać. Piękne uczucie. Całuję jego dłoń, on zaś przystaje i przyciąga mnie do siebie.

- Dzięki, że jesteś tak cholernie dobra! – mówi, patrząc mi w oczy.
- Dzięki, że jesteś tak cholernie dobry! – odpowiadam i go całuję.

Nasza świętość – śmiech, który nagle znów się pojawił – ogrzewa nas przez mniej więcej trzy doby. A potem jest poniedziałek i Johan znika, zostawiając nas samych na kolejny tydzień. Pustka, jaka teraz powstaje, jest nie do wytrzymania. Krótka chwila bliskości, która nam się przydarzyła, sprawia, że pali mnie z tęsknoty. Przypomina, jak było kiedyś, bo zdążyłam już zapomnieć.

W ciągu tygodnia bezsenność i samotność zamieniają moją tęsknotę we wściekłość, od której oczy nabiegają krwią. Kiedy w piątek wieczorem Johan wraca, nie ma nic, co mogłabym mu dać, on zaś jest zmęczony i nieobecny myślami. Wcześniej kładę się spać, a on siedzi do późna i ogląda mecz. Milczenie jest chyba gorsze od kłótni, ale najgorsza ze wszystkiego jest kompletna nieobecność humoru. Ten uparty, irytujący, przenikliwy brak, który unosi się jak chmura węglowego pyłu i zatruwa powietrze, którym oddychamy.

Są wieczory, kiedy chłód trzyma się z dala. Patrzymy na siebie zaspani i ogarnia nas silne pożądanie. Całuję Johana w ucho, a on mocno trzyma między dłońmi moją głowę. Wypijamy zbyt wiele wina i uprawiamy dziki seks, w którym jest cała nasza tęsknota. Wszystkie te kłótnie sprawiają, że szukając się po omacku, desperacko próbujemy znowu do siebie dotrzeć. Później, kiedy leżymy nadzy na łóżku i tylko oddychamy, zdarza się czasem, że zaczynamy płakać.

Znaleźliśmy nowego terapeute, kobietę, która nie mówi o jaskiniowcach i rozumie, dlaczego sprawiedliwość jest ważna w związku. Prowadzi nas ostrożnie krętymi ścieżkami zadawnionych uraz i zawitych argumentów.

Śnieg topnieje i nastaje wiosna. Podczas spacerów widzimy, jak ludzie sprzątajają wokół swoich willi. Rozpalają małe ogniska i palą sterty liści, rozwieszają dywany, żeby je wywietrzyć. Wracamy do domu i również bierzemy się za wielkie porządki. Szorujemy podłogę szarym mydłem, tak że

w całym mieszkaniu panuje przyjemny zapach.

Nie wiemy, jak to się stało, ale życie nie wydaje się już takie przykre. Najgorsza wściekłość już minęła, a lód nie ścina nas już tak często. Jednak głęboko w piersi czuję twardą kulę, która nigdy mnie nie opuszcza. Która sprawia, że wciąż roztrząsam własne zgorzknienie.

Tak, jestem zgorzkniała. Zgorzkniała, ponieważ pierwsze chwile spędzone z Siggem były tak nieszczęśliwe i niespokojne. Zgorzkniała, bo nie mogliśmy być razem i sobie pomagać, kiedy to było najbardziej potrzebne. Jestem zgorzkniała, ponieważ Johan mnie zdradził, kiedy najbardziej go potrzebowałam. I ja zdradziłam jego, kiedy najbardziej potrzebował mnie.

Jestem zgorzkniała dlatego, że ledwie potrafię używać słowa „zdrada”, kiedy mówię o tym wszystkim, co się wydarzyło. Dlatego, że staliśmy się jak wszystkie inne pary, którym rodzi się dziecko, te, o których czytałam, jak wszyscy, którzy opowiadali i doświadczyli tego, jak z chwilą pojawienia się dziecka znika równouprawnienie. Zgorzkniała, ponieważ widzę, że nie jesteśmy już równi – a może nigdy nie byliśmy?

Jestem zgorzkniała przez własne zgorzknienie.

Nie chcę być zgorzkniała.



## *MAŁA BRITTIS SIĘ ROZKOSZUJE*

La Quinta Park to hotel spa i jest tu więcej emerytów niż w innych hotelach. O siedemnastej trzydzieści wszyscy nowo przybyli proszeni są o zejście do baru na powitalny koktajl połączony ze spotkaniem informacyjnym. Niemiecka przewodniczka wita mnie długim zdaniem w swoim języku. Kiwam głową w jej stronę, uśmiecham się szeroko i udaję, że rozumiem. Jadalnia jest pełna nowo przybyłych, którzy sączą z zadowoleniem darmowy koktajl i gapią się na mnie, kiedy próbuję znaleźć miejsce.

Siadam w ostatnim rzędzie, żeby móc się wymknąć. Czuję się jak na cenzurowanym. Po krótkiej chwili dochodzę do wniosku, że przyjscie tutaj było pomyłką. Żeby podtrzymać wrażenie, że jestem sama z własnej woli, muszę unikać towarzystwa. Nie brać udziału w całej masie grupowych spotkań i zajęć. Wypijam darmowy koktajl trzema szybkimi łykami i wracam na swój balkon. Tu mogę siedzieć w dobrowolnej samotności, rozkoszować się ciszą i słońcem, które zachodzi po mojej prawej stronie, za górami.

Przed sobą widzę brzydkie baseny, ale w dole jest bezkresne morze. W basenach pływają w kółko starszy mężczyzna i starsza kobieta w kostiumie w panterkę. Chichoczą. Widzę, że się gonią. Mężczyzna łapie kobietę i zaczynają się całować. Po chwili pływają dalej.

Są piękni i wyglądają na świeżo zakochanych. Tak naprawdę. Czy i my



tacy będziemy na starość? A może zamienimy się w Niezadowolonego i jego żonę alkoholickę.

Nalewam sobie kieliszek czerwonego wina i wznoszę toast sama ze sobą i z parą starszych ludzi w basenie.

– Mała Brittis się rozkoszuje – mówię na głos do siebie.

To powiedzonko mojej mamy Brittis, które wiąże się z winem i balkonami. Latem zeszłego roku, kiedy wieczorem siedziałyśmy z mamą u niej na balkonie i piłyśmy wino, powiedziała nagle: „Brittis się rozkoszuje”, i wzięła łyk. Często mówi o sobie w trzeciej osobie. Jakby to uczucie stawało się rzeczywistością dopiero po wypowiedzeniu go na głos. Moja wspaniała, szalona, kochana, denerwująca mama, która wygląda na coraz bardziej zmęczoną życiem. Zaczynam to dostrzegać.

Czterdzieści lat palenia czerwonych prince'ów, pracy na pełny etat w szpitalu, trójka dzieci i długie nieszczęśliwe małżeństwo – to wszystko zostawia ślady. Więc, jako swoisty hołd dla mamy, siostra i ja także zaczęłyśmy tak mówić, kiedy upijamy pierwszy łyk wina.

– Mała Brittis się rozkoszuje!

Inną rzeczą, która często ma miejsce, kiedy mama pije wino, jest to, że zaczyna mówić o swojej mamie. O babci, która była wyjątkowo miła, „o wiele za miła”, jak mówi mama drżącym głosem. Wiem, że zaraz zacznie płakać – zawsze to robi, kiedy o niej opowiada.

– Cały czas chciała służyć innym, ale nigdy nie myślała o sobie. Jadła na stojąco przy zlewozmywaku, kiedy my wszyscy siedzieliśmy przy stole.

Delikatnie się uśmiecham, bo jeżeli moja mama ma z czymś problem, to właśnie z tym, żeby spokojnie usiąść przy stole i zjeść obiad. W ogóle nie potrafi usiąść i po prostu być. Cały czas ma w sobie nastawienie na pożytek, niepokój, który sprawia, że jednocześnie przygotowuje kolację, sprząta po śniadaniu, biega z praniem, przejeżdża odkurzaczem po podłodze w przedpokoju i dwa razy zaciąga się papierosem, zgięta w pół pod kuchennym okapem.

Czasami, kiedy przychodzę w odwiedziny, denerwuję się i warczę na nią, żeby usiadła, bo nie da się porozmawiać. Nie sposób sensownie pogadać z kimś, kto co minutę znika w drugim pokoju i coś tam robi.

Wtedy zdarza się, że wzdycha, mówi: „tak, tak”, siada z do połowy pełną

filizanką przestygłej kawy, wypija dwa łyki, po czym znowu wstaje i leci do kuchenki, gdzie właśnie kipią ziemniaki.

Ten niepokój jest także we mnie, ale nie przyjmuje formy poświęcenia. Raczej strachu przed tym, by się zatrzymać i zastanowić, jak to naprawdę jest.

Mama Isadory, ekscentryczna rudowłosa kobieta, powtarza ciągle, że zostałyby słynną artystką, gdyby nie jej dzieci, czyli Isadora i siostry (o imionach takich jak Gundra Miranda, Lalah Justine i Chloe Camille!).

Dorastają w wielkim czternastopokojowym mieszkaniu w Central Park West. Są tam dwie pracownie z oknami wychodzącymi na północ, biblioteka i sufit pokryty złotym liściem.

Mama Isadory podkreśla, że kobieta nie może jednocześnie być artystką i rodzicem dzieci. Należy dokonać wyboru. A ponieważ Isadora została ochrzczona jako Isadora Zelda, szybko zdaje sobie sprawę, że powinna wybrać wszystko to, co nie dostało się matce.

Myślę sobie, że mało które dzieciństwo czy dorastanie może bardziej różnić się od mojego. Moja mama wprawdzie potrafi być czasem ekscentryczna, ale jest całkowicie pozbawiona artystycznych pretensji. Jakiś czas temu uderzyło mnie, że nie mogę sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czymś się interesowała. Kiedy o niej myślę, w głowie widzę jedynie obrazy słodkich bułeczek, obwarzanków z cukrem, paluszków rybnych, obieranych ziemniaków, kawy i papierosów, które paliła pod okapem w kuchni.

Moim problemem był raczej brak oczekiwań ze strony rodziców. Nie wynikało to ze złej woli, ale nigdy nie interesowało ich, czy będę sprzątaczką, maszynistką lokomotywy, listonoszką, lekarką czy świetną adwokatką. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek pytali, kim chciałabym być, kiedy dorosnę. Ów brak zainteresowania wzbudził zarówno wielką potrzebę potwierdzenia, jak i poczucie wolności pozbawionej wszelkich żądań.

W wieku dwudziestu jeden lat zdobyłam na uniwersytecie tytuł licencjata w dziedzinie nauk humanistycznych, ale nie sądzę, żeby wiedzieli, co to takiego. Boże kochany, nawet ja sama właściwie tego nie wiem. Dla mnie to tylko termin, na który można zasłużyć, zdobywając określoną liczbę punktów na uczelni. Ten świat i język są daleko, daleko od mojego. Wszystko, co zrozumieli, to to, że ukończyłam mnóstwo dziwnych kursów

w Sztokholmie.

Różnica pojawiła się dopiero wtedy, kiedy po raz pierwszy zostałam zatrudniona na dłuższy czas. To potrafili ogarnąć. Mama wysłała wówczas Johanowi pięćdziesiąt koron wraz z odręcznie napisaną kartką, gdzie prosiła go, żeby kupił butelkę szampana i uczcił to, że „Sara dostała pierwszą posadę”. Posada była czymś, do czego potrafiła się odnieść. Zatrudnienie. Praca. Pracować.

W przeciwieństwie do Isadory czułam raczej, że to po urodzeniu dziecka zostałam włączona w trudną do zdefiniowania, tajemniczą wspólnotę kobiet. To właśnie wtedy mama odetchnęła z ulgą, jakby uspokojona, że jestem normalna. W jej oczach licencjat był mniej ważny niż zostanie matką.

Kiedy mama miała dwadzieścia sześć lat i była w ciąży, babcia zachorowała na raka. Zmarła, kiedy miałam sześć miesięcy, ale dopiero gdy sama zostałam matką, zrozumiałam, co to znaczy obserwować śmierć mamy, kiedy samemu czeka się na narodziny swojego pierwszego dziecka. Jak nieprawdopodobnie straszne musi być słuchanie matki wymiotującej po chemioterapii w czasie, gdy nowo narodzonej córeczce ulewa się na twoje ramię.

Tak naprawdę zaczęłam to rozumieć, kiedy poprosiłam ją, żeby opowiedziała, jak ja się rodziłam. Byłam w ciąży, w żadnym wypadku nie cieszyłam się na poród i oczekiwałam jakiejś uspokajającej opowieści mamy. Potrafiła jednak powiedzieć tylko to, że wcale nie czuła zbyt wielkiego bólu, bo cały czas myślała o tym, jak cierpi babcia, i zdawała sobie sprawę, że ból, który sama odczuwa, niedługo minie. Nie pamiętała żadnych innych szczegółów mimo moich niezliczonych pytań: „Bałaś się? Czy tata z tobą był? Czy położne były sympatyczne?”.

Nigdy nie spotkałam kobiety, która pamiętałaby równie mało ze swoich porodów.

Pewnego weekendu, kiedy Sigge miał zaledwie parę miesięcy, mama przyjechała w odwiedziny. Piłyśmy kawę, Sigge leżał zadowolony w wózku, a mama dziwiła się, że jest taki spokojny i radosny. Wcześniej wiele razy opowiadała, że ja często krzyczałam i nie chciałam spać, więc w końcu poszła ze mną do pediatry.

Kiedy tego dnia opowiedziała tę samą historię po raz setny, rozgniewa-

łam się na nią.

– Pewnie krzyczałam, bo czułam lęk – powiedziałam ostrym tonem.

Mama spojrzała na Siggego, a później na mnie.

– Chyba nie mogłam zbudować z tobą więzi, ponieważ miałam w sobie tyle smutku.

W tym momencie byłam gotowa wybaczyć wszystko. To takie typowe, że akurat ją zawsze uważałam za coś pewnego. Takie typowe, że właśnie na nią najbardziej się gniewałam, na kobietę, która zawsze przy mnie była. Zawsze.

Czas na ostrzeżenie zgorzkniałej pizdy: „Bycie mamą w tym przeklętym patriarchacie jest niezwykle trudne. Nikt nie powinien w pojedynkę dźwigać cholernie ciężkiego bagażu, jaki wiąże się z rolą matki”.

Mimo to jednak, pokolenie za pokoleniem, kobiety po urodzeniu dziecka są tak samo opuszczone. Obok stoi w najlepszym razie zdezorientowany mężczyzna, któremu zostaje wmówione, że przez przecięcie pępowiny bierze na siebie ojcowską odpowiedzialność.

Na dobrą sprawę nie wydaje mi się, żeby istniała szczególnie duża różnica między byciem matką w latach siedemdziesiątych a bycie nią na początku dwudziestego wieku. W pierwszym okresie kobieta jest tak samo samotna ze swoim dzieckiem jak większość mam przez wszystkie wieki – i to mimo urlopu tacierzyńskiego i żłobków.

To smutne, ale bycie matką wydaje się jednym z najtrudniejszych projektów, jakie wiążą się z równouprawnieniem. Wydaje się po prostu, jakby walka z nierównością biologiczną oraz z jeszcze poważniejszą nierównością społeczną i kulturalną była zbyt trudnym zadaniem. Wszystko jest zawinięte w tęsknotę i miłość do własnego dziecka, która jest większa i silniejsza niż wszystko, co do tej pory się przeżyło.

Jeżeli do tego patrzy się na świat przez feministyczne okulary, ból jest jeszcze większy. To jak w filmie *Matrix* – kiedy się wybrało pigułkę prawdy i po obudzeniu z kokonu zostaje się świat, który jest o wiele brzydszy od tego ze snu, nie ma już odwrotu.

Kiedy budzimy się ze snu i widzimy rzeczywistość taką, jaka jest, wielu zrzuca winę na feminizm. Odwracają wszystko do góry nogami, twierdząc, że to feministyczne wizje stwarzają zbyt wysokie, sprzeczne wymagania,

przez które kobiety pracujące na etacie i w domu są wykończone ze stresu. Że wszystko było o wiele prostsze, kiedy kobiety zajmowały się domem i nikt nie wymagał od nich, żeby robiły karierę. Kiedy małżeństwo i dobrze wysprzątany dom traktowały jako samorealizację. Dzisiaj większość kobiet pracuje w domu i poza nim. Gdybyśmy jednak żyli w równouprawnieniu i mężczyźni w równym stopniu odpowiedzialiby za dzieci i dom, kobiety nie byłyby tak zniszczone stresem. Gdyby zaś spojrzeć na feminizm jak na ruch oporu i jedyną drogę do ewentualnego uwolnienia, może trzeba by było pogodzić się z trudnościami?

Stawianie oporu prawie zawsze sprawia ból.

Uczucia, które wypełniały mnie, kiedy zostałam mamą, powodowały – delikatnie rzecz biorąc – zamęt w głowie. Chyba nigdy nie poczułam większego szczęścia, większego strachu, większej wdzięczności i większej goryczy. Wszystko w jednej i tej samej chwili.

Później, kiedy przyszła kolej na urlop tacierzyński Johana, sprawy uległy powolnej, ale stanowczej zmianie. Nagle to Johan kontrolował wszystko, poczynając od brakujących produktów w lodówce czy nowej zimowej kurtki dla Siggego, a kończąc na jego ulubionej bajce. Nagle to ja wracałam do domu szczęśliwa i wypełniona opowieściami ze świata, a w domu czekał Johan, zmęczony i spragniony odciążenia.

A jednak już wiele tysięcy lat temu wyraźnie ustalono, że to matki powinny mieć i najczęściej mają najważniejszą relację z dziećmi. Ewentualna obecność ojców w dalszym ciągu jest czymś w rodzaju bonusu, za który powinniśmy być wdzięczne. A większość ojców z dumą spija tę wdzięczność – wiedzą, że wkrótce znowu zaczną pracę na pełny etat. Są przekonani i pewni, że średnio dwumiesięczny urlop jest jedynie pikantnym gościnnym występem.

Może właśnie to spojrzenie na urlop tacierzyński jak na jakiś szczególny wyczyn najbardziej podsyca moje zgorzknienie? Ponieważ mój urlop macierzyński jest traktowany jak coś najzupełniej normalnego.

Pewnego dnia w parku koło naszego domu spotkałam tatusia w granatowej koszulce z napisem „Na tacierzyńskim”. Pchał wózek i uśmiechał się, dumny z siebie, akurat kiedy ja byłam najbardziej umęczona urlopem macie-

rzyńskim i usychałam z tęsknoty za pracą. Chodził ze swoim dzieckiem od huśtawki do huśtawki i popychał ją tak mocno, że maluch wył z uciechy, wznosząc się niebezpiecznie wysoko. Może jakiegoś innego dnia uznałabym to za czarujące.

Fakt – mężczyzna był jednym z tych rzadko spotykanych ojców, którzy biorą trochę urlopu rodzicielskiego. Po mojej wielkoduszności nie było jednak ani śladu, więc stanęłam obok, zaczęłam huśtać Siggego umiarkowanie mocno i zapytałam, gdzie kupił tę koszulkę. Chyba nie wychwycił gorczy, bo odpowiedział radośnie, że dostał ją z zakładu ubezpieczeń.

Okazało się, że ubezpieczalnia, wspólnie z organizatorami kursów dla przyszłych rodziców, rozdała koszulki kursantom w ramach małej zachęty do tego, aby „wzięli swoją część urlopu rodzicielskiego”. Ta dobra myśl i dobra wola kłują mnie w moje zgorzkniałe oczy, ponieważ aż za dobrze pokazują, że nasze społeczeństwo traktuje odpowiedzialność ojców jako coś niesłychanie wyjątkowego. Jednak mimo wytrwałych kampanii i koszulek od rozmaitych urzędów skłonienie tatusiów do poczucia i wzięcia na siebie równie dużej odpowiedzialności za dzieci co mamy wydaje się niestety niemożliwe. Tatusiowie w Szwecji biorą średnio niecałe dwadzieścia procent urlopu rodzicielskiego, a zaledwie kilka procent wszystkich par dzieli się nim po równo.

Najgorszy jest fakt, że się na to godzimy – zarówno przyszli ojcowie, jak i przyszłe matki. Tuż po tym, jak się dowiedziałam, że jestem w ciąży, trafiłam na wieczorny program w telewizji. Opowiadał o tym, dlaczego na południu Europy, ale także w Skandynawii, przyrost naturalny jest tak niski.

Na ekranie kobieta około trzydziestki biegała w biurowej scenerii z dzieckiem na biodrze. Głos z offu wyjaśniał, że Maya, szefowa IT, zabiera swego synka Alberta do pracy, odkąd ten się urodził. Mały Albert krzyczał, a mama próbowała nakarmić go piersią, jednocześnie prowadząc zebranie pracowników. Następnie pokazano demografa – człowieka koło sześćdziesiątki, który z powagą obwieścił, że w Europie nigdy nie rodziło się tak mało dzieci jak teraz. To zaś, jak twierdził Pan Demograf, jest jednym z największych „ataków”, jakie mogą spotkać społeczeństwo. Naprawdę użył słowa „atak” i dodał, że to całe „wyzwolenie kobiet” nigdy nie było prostą sprawą, miało zaś szereg negatywnych konsekwencji. Ale, niestety,

ciągnął Pan Demograf, nie można tego powiedzieć głośno, bo od razu zostanie się nazwanym reakcjonistą.

– Sednem problemu jest fakt, że nie można mówić głośno o tym, że dobrze byłoby ograniczyć edukację kobiet.

Poza Mayą i Panem Demografem rozmawiano też z Włoszką Rafaellą. Jej ambicja zostania szefową wyprzedzała marzenie o byciu matką. Migawki z jej życia pokazywały, jak robi zakupy, maluje się, idzie na rozmowę o pracę, a później z koleżankami do restauracji. Do tego dołączono podpisy, na przykład ten mówiący, że „Włoszka chce mieć dwójkę dzieci, ale ma tylko jedno...”.

Ile dzieci chce mieć Włoch, nie zostało wyjaśnione, bo przecież wiadomo, że mężczyźni nie mają nic wspólnego z rodzeniem dzieci.

W miarę jak my, kobiety, stajemy się coraz bardziej egoistyczne, społeczeństwo leci na łeb na szyję. Pan Demograf odmalowywał przerażające widze ulic szarych od zapełniających je emerytów i dodawał, że brakuje podatników, by ich wszystkich utrzymać.

Maya, szefowa IT, która czasem pracuje w domu, została pokazana, jak wyciera Albertowi gile rękawem koszuli, a drugą ręką trzyma telefon i próbuje prowadzić ważną rozmowę służbową. Mały Albert cały czas krzyczał i był ewidentnie niezadowolony, że jego mama poza byciem matką ma jeszcze inne ambicje. Miejsce pobytu taty Alberta nie było interesujące i nikt o nie nawet nie pytał.

Pojawiające się od czasu do czasu napisy wtrącały różne fakty. I tak na przykład okazało się, że kobiety w Szwecji wykonują siedemdziesiąt procent niepłatnych prac domowych i nikt tego nie dostrzega. Z kolei kobiety we Włoszech wykonują dziewięćdziesiąt procent takich prac, a w tamtejszych przedszkolach jest miejsce tylko dla sześciu procent dzieci. Fakty te można by przedstawić zarówno jako wyjaśnienie, jak i jako część zasadniczego problemu.

Podsumowanie programu zostało odczytane przez poważny męski głos, który obwieścił, że „spora grupa kobiet urodzonych w latach siedemdziesiątych nie zdąży zrealizować marzenia o dwójce dzieci. Cenę za to płacimy wszyscy”.

Siedziałam przed telewizorem z rozdziawionymi ustami i myślałam, że

sama należę do tej wielkiej grupy „egoistycznych” kobiet urodzonych w latach siedemdziesiątych. Co prawda bardzo rozsądnie jestem w ciąży, ale zapłacę za to, że zdecydowałam się na dziecko, nie chcąc jednocześnie rezygnować z tego powodu z pracy. Urlop macierzyński – tak, kilka miesięcy, ale co potem? Ja, która nie mam nawet stałej pracy, jak miałabym być freelancerką, kiedy wykańczałby mnie brak snu i nie mogłabym wyrabiać nadgodzin, gdyby zaszła taka potrzeba?

Odkryłam, że tak jak męska odpowiedzialność była nieobecna w telewizyjnym programie, tak Johan jako uczestnik jest w równie dziwny sposób nieobecny w moich myślach.

Wniosek z tego poruszył we mnie głęboką strunę: dzieci są sprawą kobiet. Dzieci i kariera to niedobre połączenie. Jeżeli nie chcesz mieć dzieci, jesteś egoistką.

Kilka miesięcy później nadszedł czas na zdobycie wykształcenia rodzicielskiego pod przewodnictwem ośrodka opieki nad matką. Kurs karmienia piersią prowadziła kobieta o nazwisku Tiits, a kurs dla ojców – mężczyzna o imieniu Dick. Tiits i Dick. Cycek i Siurek. Czysty zbieg okoliczności.

Wykład kobiety traktował o tym, jak ważne jest karmienie piersią. Roztaczała straszne wizje alergii, chorób i problemów ze zbudowaniem więzi, które występują, jeśli się nie karmi, i przedstawiała karmienie piersią jako coś decydującego dla całej przyszłej relacji z dzieckiem. O tym, że mogą istnieć inne możliwości, Tiits nie wspomniała ani słowem.

O tym, że można po prostu kupić mleko zastępcze w Konsumie, nie potrzebując do tego nawet recepty, jak mi się wcześniej wydawało, nikt nas nie poinformował. O tym, że mleko zastępcze ma tak naprawdę wiele zalet – można karmić na zmianę z mężem co drugą noc, dzięki czemu mama może czasem pospać, a tata już od początku ma okazję poczuć bliskość z dzieckiem, że mleko zastępcze jest bardziej pożywne od mleka z piersi, co sprawia, że dziecko lepiej śpi – nikt, nawet Tiits, również się nie zająknął.

Pan Dick rozpoczął swój wykład od stwierdzenia, że siedemdziesiąt procent mężczyzn w głębi serca marzy o synu, choć przyznają się do tego tylko w anonimowych badaniach ankietowych. Nie wspomniał nic o podobnych marzeniach u kobiet ani o tym, z czego może to wynikać, ale dodał, że urlop ojca nie jest tak naprawdę ważny. Liczy się „obecność jakościowa”.



Dick powiedział, że zna kilku facetów, którzy mają własne firmy i nie wzięli nawet dnia urlopu tacierzyńskiego, a mimo to udaje im się spędzać z dzieckiem tyle czasu, ile potrzeba.

Wyszliśmy na przerwę. Miałam podejrzenie, że może nie wszystko się ułoży, ale nie chciałam zamieniać go w fakt. I tak było to już na tyle oczywiste, że cokolwiek bym wybrała, wybrałabym źle.

Dziś mogę się śmiać do woli z wykładu Siurka. Nie ma się co dziwić, że tak wiele par rozstaje się, zanim dziecko zdąży skończyć rok. Nas uratował urlop tacierzyński Johana. Dopiero wtedy Johan zrozumiał, co to znaczy wziąć na siebie pełnię obowiązków. Tak naprawdę mężczyźni powinni mieć dłuższy urlop rodzicielski niż kobiety, ponieważ my mamy przewagę biologiczną przez to, że nosiłyśmy i urodziłyśmy dziecko. Mężczyźni potrzebują więcej czasu, żeby to weszło im w krew.

Mimo to muszę dzielnie walczyć z tym podstępny i brzydkim uczuciem egoizmu, które pojawia się, gdy tylko wybieram coś, co ma pierwszeństwo przed Siggem. Gdy tylko chcę pracować, zamiast wcześniej odebrać Siggego z przedszkola. Gdy tylko wieczorem chcę gdzieś wyjść i napić się czerwonego wina, zamiast go usypiać. Gdy tylko chcę sama pojechać na Teneryfę, zamiast spędzić tydzień z Siggem.

Gdyby tylko Pan Demograf wiedział, jak wiele „egoistycznych” uczuć jest w stanie się we mnie pomieścić. Jednak zawsze mogę się pocieszyć mądrymi słowami Isadory.

*Wiedziałam, że te kobiety, które korzystają ile się da z życia (i z mężczyzn) – żądają najwięcej. Wiedziałam, że jeśli będę się zachowywać jak kobieta, którą się ceni i której się pożąda, mężczyźni będą mnie cenić i pożądać. Wiedziałam, że jeśli nie zgodzę się zostać ich podnóżkiem, nikt nie będzie śmiał postawić mi buta na karku. Wiedziałam, że kobieta uległa jest deptana, a kobieta o królewskiej dumie sama bierze pod obcas. Jednak nim jeszcze zdążył minąć bojowy nastrój, już zaczynało dławić mnie poczucie osamotnienia i rozpaczy.*

Ten, kto najwięcej żąda, najwięcej dostaje – odbija się echem w mojej głowie. Tak na dobrą sprawę to paskudna ideologia, oparta na czystym egoizmie i kompletnym braku wspólnoty.

Czasem myślę jednak, że kobiety powinny być większymi egoistkami. Może w ich przypadku egoizm posłużyłby jako sposób na osiągnięcie rów-

nowagi? Szkoda tylko, że to takie trudne – mój prywatny egoizm od razu zderza się z wychowaniem na grzeczną dziewczynkę, które wpoilo mi, że lepiej zrobić krok do tyłu niż do przodu.

Weźmy na przykład imprezy, na których kobiety, moje koleżanki, biegają w tę i we w tę, donosząc jedzenie, wino, deser, kawę i wódkę, podczas gdy mężczyźni spokojnie siedzą za stołem, dyskutują i popijają coraz więcej wina. Komu mam okazać lojalność? Też chcę siedzieć, rozmawiać i mieć gdzieś to pieprzone zmywanie. Chcę, żeby mężczyźni wstali i zrobili, co do nich należy, żeby moje inteligentne i wesołe koleżanki również mogły się przy stole. Trudno bowiem prowadzić interesującą dyskusję i jednocześnie biegać z naczyniami, bez względu na to, jak bardzo jest się inteligentnym. Dlatego rozmowa, jaką prowadzą mężczyźni przy stole, jest najczęściej ciekawsza od przerywanych rozmów w kuchni. No więc trochę siedzę, trochę biegam i, tak czy inaczej, czuję się jak zdrajczynie własnej płci.

Może to podejrzenie, że macierzyństwo mnie poźre, zamieni w matkę kwokę pozbawioną własnych myśli i czasu, sprawiło, że pojechałam do Paryża, kiedy Sigge miał zaledwie pięć miesięcy? Skołowana bolesną przemianą, a tym jak na razie wydawało się macierzyństwo, postanowiłam, że wyjadę na tydzień z najlepszą przyjaciółką Sanną.

W wyobraźni widziałam spokojne, przespane noce, długie spacery, rozmowy i nieograniczone ilości upragnionego czasu dla siebie. Paryż miał się stać symbolem tego, że macierzyństwo mnie nie zmieniło. Potwierdzeniem, że wciąż jestem wolną kobietą, która ma swoje potrzeby.

Nie spodziewałam się jednak, że już po kilku minutach w samolocie dopadnie mnie ogromne poczucie winy i tęsknota. Tęsknota czysto fizyczna – bolało mnie serce i nie mogłam się skupić na ani jednej myśli. Mogłam myśleć tylko o Siggem, o jego zapachu, wyobrażać sobie jego rozgrzane ciało tuż obok mojego. Czułam się skołowana i nie miałam pojęcia, jak wytrzymam sześć dni w Paryżu.

Fakt, że nie mogłam wypocząć tak, jak to sobie wyobrażałam i jak na to liczyłam, był przygnębiający. Przez ostatni dzień chodziłam niczym po rozżarzonych węglach. Akurat trwał strajk pracowników transportu publicznego, więc cały dzień byłyśmy na nogach, pokonując kilometr za kilometrem z Dzielnicy Łacińskiej na Montmartre i z powrotem.

Nasz samolot miał odlecieć o ósmej wieczorem. O piątej wróciłyśmy do hotelu, żeby zabrać bagaże i zadzwonić po taksówkę.

Recepcjonista tylko się roześmiał. Taksówka? Przecież jest strajk, z tak krótkim wyprzedzeniem nie ma co liczyć na taksówkę. Ewentualnie możemy spróbować złapać jakąś na ulicy, ale musiałybyśmy mieć naprawdę dużo szczęścia i on nie sądzi, żeby nam się udało, a poza tym w całym Paryżu z powodu strajku są ogromne korki.

– Nie zdążą panie na samolot – podsumował.

Wypełniający lobby papierosowy dym gryzł w oczy i powodował ucisk w piersi. Nagle poczułam, że ciężko mi się oddycha, a pole widzenia zwięża się w tunel.

Recepcjonista stwierdził, że na wszelki wypadek zarezerwuje pokój na kolejną noc.

– Chodź, Sanna, wyjdziemy na ulicę i spróbujemy złapać taksówkę – powiedziała, chwyciłyśmy nasze torby na kółkach i ruszyłyśmy do wyjścia.

Bulwary pełne były posuwających się w żółtym tempie samochodów, a moje pole widzenia zwiężało się coraz bardziej. Wreszcie, w oddali, gdzieś na końcu tunelu, dostrzegłam małą zatokę.

Wiedziałam, że nie przeżyję kolejnej nocy bez Siggego. Spóźnienie się na ten samolot było wręcz fizycznie niemożliwe. Tak się po prostu nie mogło stać.

Nagle tuż przy chodniku, na którym stałyśmy, pojawiła się sunąca z wolna taksówka. Podbiegłam i szarpnęłam za drzwi. Z tyłu siedziało trzech mężczyzn, palili i roześmiali się, widząc moją zdziwioną minę. To widzenie jakby w tunelu sprawiło, że nie byłam w stanie stwierdzić, które taksówki są wolne.

Po kolejnych kilku minutach udało mi się w każdym razie zatrzymać taksówkę, co do której nie miałam wątpliwości. Jak tylko samochód skręcił i znalazł się koło nas, podbiegły dwie młode Francuzki i otworzyły drzwi, zanim my zdążyłyśmy to zrobić. Nie mogły przecież wiedzieć, że dwa metry od nich stoi świeżo upieczona mama, która odchodzi od zmysłów. Z wytrzeszczonymi oczyma i zaciśniętymi pięściami podeszłam do kobiet i taksówki, gotowa w każdej chwili zaatakować.

Koślawą szkolną francuszczyzną zaczęłam wyjaśniać, że spieszymy się na

samolot, na który w żadnym wypadku nie wolno nam się spóźnić. Kobiety udawały, że nie rozumieją, co mówię, ściągnęły tylko pogardliwie usta i przewracały oczyma. Kierowca taksówki siedział w milczeniu, zastanawiając się najwyraźniej, kogo wybrać. Wszystko wskazywało na to, że nie ma co się bawić w niuanse i uprzejmości, postanowiłam więc, że uderzę z grubej rury.

– *C'est un situation du cris!* – wyrzuciłam z siebie, a łzy zaczęły spływać mi po policzkach. Chciałam chyba powiedzieć, że to kryzysowa sytuacja, ale zapomniałam, jak jest po francusku kryzys, a *cris* znaczy krzyk. Choć w zasadzie krzyk również pasował do tej sytuacji. I widocznie zrobiło to wrażenie na kierowcy, zaczął bowiem odprawiać kobiety, mówiąc coś do nich szybko po francusku. Te w rewanżu zaczęły kląć i pokazywać brzydkie gesty naszemu cudownemu taksówkarzowi, w którym z miejsca się zakochałam. Uratował mi życie!

Na tylnym siedzeniu czekało nas jeszcze kolejne trzydzieści roztrzęsionych minut, podczas których w ślimaczym tempie posuwaliśmy się naprzód. Cały czas trzymałam Sannę mocno za rękę. Próbowała mnie uspokoić, raz po raz powtarzając, że teraz na pewno zdążymy. Jednak dopiero kiedy wyjechaliśmy na autostradę i korki zniknęły, zaczęłam naprawdę wierzyć, że się uda.

Kiedy późnym wieczorem wróciłam do domu, położyłam się w łóżku koło Siggego i patrzyłam na niego. Widziałam uśmiechające się przez sen usta, słyszałam delikatne oddechy przez nos. Po chwili Sigge się obudził, spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się. Pogładziłam go po włosach i policzku i pocałowałam w ucho. Kochane, kochane maleństwo. Zasnął od razu pomiędzy mną a Johanem.

Ja jednak długo nie mogłam zasnąć. Płakałam nad tym, że jestem taka skołowana. Że wszystko robię źle, że nic nie jest takie, jak bym chciała, że wszystko przez cały czas tak cholernie boli.

Teraz, z perspektywy, potrafię zrozumieć, dlaczego musiałam wtedy pojechać do Paryża. Choć wiem, że to smutne, że sama sobie próbowałam coś udowodnić. Że nie miałam w sobie dość spokoju, by po prostu być.

Ale kiedy pomyślę, że przez dwa miesiące Johana nie było w domu pięć dni w tygodniu, a Sigge miał wtedy tylko trzy miesiące, wtedy zaraz zmie-

niam się w zgorzkniałą pizdę, która wszędzie wietrzy spisek. I oczywiście Johan tęsknił, choć nie w ten sam desperacki sposób, co ja w Paryżu.

Między mną a Johanem są bez wątpienia różnice i często zastanawiam się, z czego to wynika. Wiem, że Johan kocha Siggego ponad wszystko, ale nie towarzyszy temu takie poczucie winy jak u mnie. Macierzyństwo jest tak strasznie obciążone powinnością i koniecznością wyrzeczenia się wszystkich swoich potrzeb, że nieustannie koliduje z najdrobniejszym pragnieniem wolności.

Robię się zazdrosna. Ja też chcę kochać bez poczucia winy, tak jak mężczyźni!

Tak, chcę zjeść ciastko i mieć ciastko. Chcę jednocześnie pracować, imprezować, podróżować, od czasu do czasu mieć czas tylko dla siebie i być mamą kochanego dziecka.

Poświęcająca się matka w dalszym ciągu żyje w wielu z nas jako sprzeczny i zniechęcający ideał. Konkuruje z nim mnóstwo innych. I całe szczęście. Ta wewnętrzna matka musi nawet czasem walczyć o przeżycie. Ruch kobiecy powoli, lecz definitywnie pokazał bowiem mojemu pokoleniu kobiet, że można chcieć czegoś więcej poza samym byciem matką. Że niektóre z nas w ogóle nie muszą chcieć nią zostać.



## *MODLĘ SIĘ DO BOGA (1983)*

Na tyłach hotelu stoi stół do ping-ponga. Biegamy dookoła niego, zatrzymując się tylko wtedy, kiedy chcemy napić się fanty albo poczęstować koperkowymi chipsami, które postawiła przed nami mama. Dorośli siedzą przy stole kawałek dalej i popijają drinki. Słyszę, że tata zaczyna być głośny, a mama cicha. Ich przyjaciele – Lars i Ann-Marie – śmieją się z czegoś i wtedy mama również wybucha krótkim śmiechem. Ja biegam dalej, trafiając twardą piłeczkę za każdym razem, kiedy zmierza w moim kierunku. Jestem dobra w bieranego ping-ponga – graliśmy w to w świetlicy na każdej przerwie przez cały letni semestr.

Kąpiemy się od rana do wieczora. Wypływamy daleko w płytkie morze, mając pod sobą głębokie rozpadliny i pojawiające się zniecka płycizny, przez które dotykamy dna. Tata mówi, że w morzu mogą się tworzyć prądy, które ściągają człowieka na głęboką wodę, dlatego boję się, kiedy wracając, mijamy głębszy odcinek. Żadnych prądów jednak nie ma i już po chwili wygrzewamy się w słońcu.

Mieszkamy w domku koło hotelu – są tam wiklinowe krzesła i tapety w niebieskie paski. Na ścianach wiszą obrazy przedstawiające morze i mewy. W pokoju obok naszego mieszka wysoki i szczupły pan.

Siedzieliśmy właśnie we wspólnej sali niedaleko drzwi do naszego pokoju, kiedy pan wyszedł od siebie i zszedł po schodach. Następnie zapalał

i gasił światło w korytarzu co najmniej dziesięć razy, aż w końcu sobie poszedł.

– To tak zwane natręctwa – mówi tata i wyjaśnia, że niektórzy chorzy psychicznie ludzie mogą sobie na przykład wmawiać, że umrą, jeżeli przed wyjściem z domu nie zgaszą i nie zapalą światła określoną liczbę razy.

Przypominam sobie, że często zmuszam się do pokonania czterech schodków, zanim zamkną się szkolne drzwi. Jeżeli mi się to udaje, wiem, że tej nocy moje serce nie przestanie bić. Teraz myślę, że z tym skończę. Nie chcę być chora psychicznie jak ten pan. Wysoki, chudy i samotny.

Nagle koło stołu pingpongowego staje mama z wózkiem, w którym śpi mój braciszek.

– Chodźcie, czas do pokoju! – mówi swoim surowym tonem.

Widzę, że tata nadal siedzi przy stole i rozmawia z przyjaciółmi.

– Tata z nami nie idzie? – pytam.

– Nie, przyjdzie później – odpowiada mama i mówi, żebyśmy się pospieszyły.

Kiedy odchodzimy, tata na nas nie patrzy, i wtedy dociera do mnie, że rodzice są pokłóceni. Po powrocie okazuje się, że światła w całym domu są pogaszone, a ja mam nadzieję, że szalony mężczyzna nie stoi gdzieś w mroku przed drzwiami naszego pokoju. W całym domu jesteśmy tylko my i on. Boję się, ale w końcu zasypiam, kiedy mama pokazuje mi, że dobrze zamknęła drzwi.

Budzi mnie trzeszczenie łóżka, na którym leżą mama i tata. Rytmiczny stukot. Po kilku sekundach rozlega się głos mamy:

– Przestań albo zacznę wzywać pomocy.

Leżę na polowym łóżku i myślę, że jedyną osobą w domu jest ten szalony mężczyzna. Leżę bez ruchu i nie wiem, co robić. Teraz moje serce naprawdę przestanie bić. Czuję to całą sobą, ale jak tylko kładę dłoń na piersi i próbuję wyczuć jego uderzenia, moja siostra zrywa się z łóżka i zapala światło.

– Co ty robisz? – pyta głośnym i gniewnym głosem.

Widzę, jak tata stacza się z mamy, wstaje i wkłada gacie. Ma kłopot z utrzymaniem równowagi, ale udaje mu się ubrać. Nie odzywa się, tak samo jak mama. Bierze kluczyki i portfel i wkłada je do kieszeni.

Kiedy już ma wyjść, wpada mu w oko różowa portmonetka mojej siostry – wyciąga z niej pieniądze i wkłada do swojej kieszeni.

– To moje! – krzyczy Kajsa i zaczyna płakać. – Mamo, on zabiera moje pieniądze! – woła, a kiedy tata wychodzi z pokoju, mama mówi, że jutro dostanie kolejne.

– A teraz spróbujcie zasnąć – dodaje.

Następnej nocy słyszę, jak mama usiłuje wytłumaczyć Ann-Marie, że tata zniknął w środku nocy.

– Zachował się wobec mnie po chamsku, wyobraź sobie. Po prostu wsiadł w samochód i odjechał.

Ann-Marie o coś pyta, a mama odpowiada:

– Nie wiem. Ale zachował się po chamsku!

Nic więcej nie mówi, a Ann-Marie nie pyta. Jemy śniadanie, a ja widzę wysokiego chudego mężczyznę siedzącego samotnie przy stoliku kawalek dalej. Może wszystko słyszał?

Pakujemy nasze rzeczy i idziemy na dworzec. Lars, Ann-Marie i ich dzieci są już na plaży, więc nie mogą iść z nami i się pożegnać. Myślę, że wszystkim nam jest wstyd. Ale może Ann-Marie nie zrozumiała, co to znaczy, że tata zachował się po chamsku wobec mamy?

To tata zawsze za wszystko płaci, a mama prosi go o pieniądze, kiedy czegoś potrzebuje. Wtedy tata wyciąga swój wielki plik banknotów i jej daje. Ale dziś w nocy widziałam, jak zabiera swój gruby, czarny portfel. Wziął nawet pieniądze Kajsy.

– Mamy pieniądze na bilet? – pytam mamę, kiedy już jesteśmy na dworcu.

– Tak, nie musisz się o to martwić! – odpowiada mama i kupuje mnie i Kajsie słodycze.

W milczeniu jedziemy wiele godzin przez letnią Szwecję. Widzimy żółte pola i gęsty las. Pocę się, ale nie jest mi niedobrze, jak to się zdarza w samochodzie.

– Teraz się rozwiedziecie? – pytam mamę.

– Nie rozwiedziemy – odpowiada mama.

Ale ja jej nie wierzę.

Kiedy wracamy, tata siedzi na tyłach domu i pali. Czuję ulgę, że w nocy



nie miał wypadku samochodowego i nie umarł. Ale nie witam się z nim i nie patrzę mu w oczy.

Idę do parku zobaczyć, czy nie ma tam jakichś kolegów. W letnie wieczory wszyscy, którzy są w domu, bawią się w policjantów i złodziei, moją ulubioną zabawę, ale dzisiaj nie ma nikogo. Pewnie wszyscy są na wakacjach. Tak jak my jeszcze niedawno.

Po jakimś czasie wracam do domu. Widzę po mamie i tacie, że już są weseli. Mama miesza krem rabarbarowy i stawia na stole kanapki na kolację. Jak gdyby nigdy nic. Widzę jej plecy w kuchni i myślę sobie, że jej nie rozumiem. Nie znam.

Nadal nie odezwałam się do taty ani słowem i teraz też tego nie robię. Próbuje spojrzeć mi w oczy, ale odwracam się do niego plecami i idę na górę do swojego pokoju, gdzie kładę się na łóżku.

Pierwszy raz w życiu chcę, żeby rozwiedli się naprawdę.

Ale oni tego nie robią.

Wieczorami modlę się do Boga o najróżniejsze rzeczy. O to, co chciałabym dostać i co chciałabym, żeby się wydarzyło. Dobrze jest myśleć, że On jest tam w górze i mnie słucha.

– Najlepszym sposobem na głoszenie chwały Pana jest śpiewanie dla Niego – oznajmia nasza nauczycielka chrześcijanka.

Od razu dołączam do chóru, działającego przy kościele koło naszego domu. Należy do niego kilka osób z mojej klasy i w każdą środę wieczorem śpiewamy na Bożą chwałę.

– Nazywam się Äva, przez eeeee, długie e, i tak macie do mnie mówić – tłumaczy kierowniczka chóru.

Jest duża, gruba i mówi w värmlandzkim dialekcie. Kocham śpiewać te wszystkie religijne pieśni i śpiewam je czystym, donośnym głosem. Lubię swój głos. Tylko czasem Äva mówi, żebym nie śpiewała tak głośno.

– Zagłuszasz innych, Saro!

I wtedy śpiewam trochę ciszej.

*Oto jest dzień*

*Oto jest dzień*

*Który dał nam Pan*

*Który dał nam Pan*

*Weselmy się*

*Weselmy się*

*I radujmy się nim i radujmy się nim*

Tak bardzo chcę być chrześcijanką. W kościele jest wspólnota, za którą tęsknię i którą niemal czuję. Pozostali członkowie chóru mają rodziców należących do zgromadzenia – wszyscy oprócz mnie. Ale mam nadzieję, i modłę się o to do Boga, że mama i tata zostaną chrześcijanami i dołączą do Kościoła. Że przestaną się kłócić i będą mili.

Dobry, kochany Boże – modłę się – zrób tak, żeby mama i tata przyszli i zobaczyli, jak śpiewam w chórze.

Ale nie przychodzą. A w każdą niedzielę na mszy Äva pozwala wszystkim śpiewać solo – wszystkim poza mną. W końcu pytam, czy będę mogła kiedyś i ja zaśpiewać.

– Tak, może kiedyś. Nie ma nic złego w twoim głosie, Saro. Ale inni mają w kościele rodziców, którzy chcą zobaczyć, jak ich dzieci śpiewają. Rozumiesz chyba, że ważniejsze jest, by zaśpiewali ci, których rodzice są na miejscu i słuchają?

Rozumiem. Ale to wszystko zaczęło sprawiać ból. Pali mnie pod powiekami, a rajstopy cały czas gryzą.

Kończę ze śpiewaniem w chórze i zamiast tego zaczynam rysować. Duże, grube Ävy, które zmieniają się w anioły i lecą prosto do Boga. Czasem tracą skrzydła, spadają na ziemię i giną.

Na moich rysunkach jestem księżniczką, której tatą jest miły król, a mamą piękna królowa. Kochają mnie ponad wszystko. Każdego dnia spacerujemy po naszym wielkim ogrodzie i rozmawiamy. Król wykazuje duże zainteresowanie. Pyta mnie, co bardziej lubię: rysować czy śpiewać.

– Rysować – odpowiadam.

Mama królowa jest zrozpaczona.

– Moje kochanie, przecież tak cudnie śpiewasz! Nie wolno ci skończyć ze śpiewem!

Tata król mówi jednak, że mogę i rysować, i śpiewać.

Godzinami siedzę przy biurku i rysuję. Tworzę długie baśnie, które spra-

wiają mi radość. Szczególnie ładny rysunek, na którym cała nasza trójka stoi w przyzamkowym ogrodzie, zanoszę mamie i tacie. „Dla mamy i taty” – dopisuję na samej górze.

– Proszę. Ja to narysowałam.

– Aha, no proszę, jakie piękne! – mówi mama, zmywając naczynia.

– Przecież nawet nie popatrzyłaś.

– Popatrzyłam, popatrzyłam – odpowiada i odwraca się jeszcze kawałek. Nie może wziąć ode mnie rysunku, bo ma mokre ręce.

Kładę rysunek przy telefonie z nadzieją, że przyczepią go na lodówkę.

On jednak ciągle tam leży, więc pewnego dnia stoję przed rodzicami, zgniatam kartkę i demonstracyjnie wrzucam do kosza na śmieci.

– Dlaczego wy nigdy nic nie widzicie? – krzyczę i biegnę na górę do pokoju, czując, jak po twarzy spływają mi łzy.

Słyszę, jak tata mówi do mamy:

– Jezu, co to było?

Myślę o wszystkich chrześcijanach, jakich znam. O mojej najlepszej przyjaciółce Marielli i jej rodzinie – oni wydają się szczęśliwi. Nigdy nie widziałam, żeby jej rodzice się kłócili albo mówili do siebie brzydkie rzeczy. Mama Marielli jest moją opiekunką, więc codziennie po szkole razem z Mariellą idziemy do niej do domu. Czasami dostajemy na podwieczorek słodką zupę z owoców dzikiej róży i lody, a mama Marielli nigdy nie wygląda na zestresowaną. Siedzi z nami przy stole i pyta, co tam u nas.

Pewnego razu przyciąga mnie do siebie i przytula, mocno i długo.

– Mmm... – mówi i wacha moje włosy, jakby się tym rozkoszowała.

– Dlaczego pani to zrobiła? – pytam speszona.

– Bo pomyślałam, że wyglądasz, jakbyś potrzebowała przytulenia – odpowiada i się do mnie uśmiecha.

Nie odpowiadam uśmiechem. Nie chcę pokazać łez, które pieką i w każdej chwili mogą zacząć płynąć z oczu. Mówię więc tylko „Aha” i idę na górę do pokoju Marielli.

Czasami wyobrażam sobie, że mama i tata giną w wypadku samochodowym, a ja zostaję zaadoptowana przez rodziców Marielli. Albo przez naszą panią. Ona też jest chrześcijanką i najwspanialszą osobą, jaką znam. Dużo wie i opowiada długie historie z Pisma Świętego. Niektóre z nich znam, bo

pod choinkę dostałam od babci Biblię dla dzieci. Czytałam w niej o dobroci Jezusa i o całej masie szurniętych, złych ludzi, którzy nic nie rozumieli. Pani prowadzi w kościele grupę najmłodszych, a każdego środowego wieczoru jest tam prawie cała klasa. Ci, których rodzice są członkami Kościoła, mają najwyższy status, marzę więc o tym, żeby mama i tata też do niego dołączyli. Zastanawiam się, jak to jest móc spotykać się z panią w każdą niedzielę po mszy.

Wszyscy chrześcijanie wydają się być cały czas weseli i jestem pewna, że moi rodzice również byliby szczęśliwi, gdyby tylko zostali chrześcijanami.

W moim jasnoniebieskim pamiętniku zapisuję najpiękniejszym charakterem pisma, na jaki mnie stać: „Dobry, kochany Boże, spraw, żeby mama i tata zostali chrześcijanami. Poza tym dziękuję Ci, że sprawiłeś, żeby padał śnieg. Jest bardzo ładnie”.

Bóg chyba jednak nie czyta jasnoniebieskich pamiętników, bo mama i tata nigdy nie zostają chrześcijanami. Kłócą się i wiem, że są nieszczęśliwi. Taty nie ma kilka tygodni z rządu, a mama jest tak zajęta gotowaniem, zmywaniem i odkurzaniem, że nie ma czasu ani siły na nic innego.

Któregoś razu mama chce, żebyśmy całą rodziną poszli do prawdziwego fotografa. Zrobić „studyjne zdjęcie”. Ja też chcę, bo przypomina mi się rodzina Cosbych z telewizji. Oni są zawsze szczęśliwi. Są szczęśliwymi chrześcijanami. Tak bardzo chcę, żeby nasza rodzina na zdjęciu wyglądała na szczęśliwą. Mama promienieje, chce, żebyśmy z siostrą ładnie wyglądały, i każdej z nas szyje falbankową bluzkę ze starego prześcieradła. Falbanki sztywno wystają i widzę, że szwy są nierówne, bo mama się spieszyła, ale nie chcę się z nią kłócić, teraz, kiedy wygląda na taką szczęśliwą. Wieczorem w przededniu wizyty u fotografa wpada na pomysł, żeby przyciąć nam grzywki, które o wiele za bardzo opadają na oczy. Bierze do ręki nożyczki i tnie zygzakami. Wychodzi nierówno, bo mama nie umie strzyc, a już zwłaszcza grzywki. Nadal nic nie mówimy, nawet nie kłócimy się ze sobą, tylko miło uśmiechamy. Mama rzadko kiedy jest tak wesoła i beztroska. Staje przed lustrem i zaczyna malować usta niedawno kupioną różową szminką.

Rano tata nie chce iść z nami. Siedzimy przy stole, jemy tosty z marmoladą pomarańczową, a mama dolewa tacie kawy.

– Kochanie – prosi go z rezygnacją – już się umówiliśmy na konkretny termin i w ogóle.

Tata nie daje się jednak przekonać, mówi, że jest zbyt zmęczony. Mama staje przy zlewie, odwrócona do nas plecami. Tata zapala papierosa i odchyła się do tyłu, a ja nie mogę już tu dłużej siedzieć. Wychodzę do przedpokoju, tam widzę się w lustrze i zaczynam płakać, kiedy dostrzegam, jak nierówną mam grzywkę, jaka jestem brzydka. Przychodzi moja siostra i pyta, dlaczego płaczę, a ja odkrzykuję jej, że płaczę, bo wszyscy jesteśmy tak strasznie brzydki.

– Mamo! – krzyczy Kajsia. – Mamo! Sara mówi, że jestem brzydka!

Po czym staje koło mnie przed lustrem i też zaczyna płakać na widok swojego odbicia.

– Uspokójcie się, ale już! – krzyczy z kuchni mama, jednocześnie biorąc na ręce mojego braciszka. – Możesz tu siedzieć i się boczyć – mówi do taty – ale my idziemy do fotografa. I zamierzam wziąć samochód!

Zapada cisza. Obie z Kajsą przestajemy płakać. Samochód należy do taty i mamie prawie nigdy nie wolno go pożyczać. Tata mówił to wiele razy. Baby nie powinny siadać za kierownicą, a poza tym to on za niego zapłacił. Mamy z jej niską pensją nigdy nie byłoby na to stać. Wiem, bo tata często powtarzał, że jej pensja niczego nie zmienia.

Czekamy w napięciu na wybuch, ale w kuchni nadal panuje cisza. W końcu mama przychodzi i mówi, żebyśmy wkładały buty, bo zaraz jedziemy. No i siedzimy w samochodzie, tylko my, bez taty, i nagle wraca odświętny nastrój. Mama włącza radio, Carola akurat śpiewa swój przebój *Främling* i wtórujemy jej przez całą drogę.

U fotografa ustawiamy się na granatowym tle – nasz mały braciszek jest pośrodku. Mama nie chce być na zdjęciu, bo nie ma z nami taty, więc robimy zdjęcie rodzeństwa. Potem każde z nas dostaje gotowaną kiełbasę z chlebem ze stojącego na placu grilla. Jest ciepły letni dzień, a my jesteśmy weseli i zgodni przez resztę popołudnia i wieczór, mimo że po powrocie do domu nie zastajemy w nim taty.

Po kilku dniach przychodzi zdjęcie – wszyscy troje naprawdę jesteśmy brzydki. My potargane, z krzywo obciętymi grzywkami i smutnymi oczyma. Uśmiejemy się sztywno. Nawet nasz braciszek, który ma dopiero dwa

lata, wygląda sztucznie. Mama jest jednak w pełni zadowolona i bierze się do oprawiania i wieszania fotografii. Kilka odbitek pakuje w ozdobny papier – to przyszłe prezenty gwiazdkowe dla babci i pozostałych krewnych.

Jest sierpień, do końca wakacji zostało kilka tygodni. Wieczory są ciepłe. Mama i sąsiadka Gunilla często siedzą w maleńkiej altance na przedzie naszego szeregowca, palą i piją rositę z napojem *sockerdricka*. Siedzą na brzydkich, białych ogrodowych krzesłach, a my, przebiegając obok, bierzemy sobie garść chipsów koperkowych z miski na stoliku. Bawimy się w policjantów i złodziei – nie biegam zbyt szybko, ale jestem dobra w rzucaniu się w krzaki i chowaniu tak, że ci, którzy mnie gonią, przebiegają obok, nie wiedząc, że tam jestem.

Tego lata odkrywam, że już nie mogę tak po prostu biegać na golasa. Jesteśmy na kąpielisku, mam na sobie majtki do pływania, ale brakuje góry, która zakrywałaby moje podobne do czereśni piersi. Mam dziewięć lat, nikt niczego nie mówi, ale nagle po prostu wiem, że tak jest. Może wyczuwam to w spojrzeniach?

Często staję przed lustrem w przedpokoju i na siebie patrzę. Próbuję zrozumieć, jak ktokolwiek może być tak potwornie brzydki. Moje włosy mają mysi kolor i zwisają zmęczonymi pasmami, które ledwo sięgają ramion. Wydymam wargi, otwieram szeroko oczy, żeby wydawały się większe, próbuję różnych min, ale nic nie pomaga. Już to wiem, ale nie mogę się powstrzymać przed próbami, bo mam nadzieję, że akurat tego dnia coś się zmieni.

Pewnego ranka, kiedy stoję przed lustrem, próbując spiąć włosy w koński ogon, zjawia się tata i staje obok mnie. Zawstydzona mnie to, ale czuję, że on mnie widzi, że widzi mnie tak naprawdę. Jego oczy mają ciepłą, brązowo-żółtą barwę, tak jak moje – odziedziczyłam po nim kolor oczu.

- Ładnie wyglądasz ze spiętymi włosami – mówi i nadal na mnie patrzy.
- Eee... – mówię niepewnie.

To wszystko wydaje mi się dziwne, nie przywykłam do czegoś takiego.

– Tak, bo teraz widać twoją ładną twarz – dodaje i wychodzi do kuchni, gdzie zapala pierwszego porannego papierosa.

Stoję z otwartymi ustami, zszokowana tym, co się właśnie stało.

Mój tata powiedział, że jestem ładna! Patrząc na swoje odbicie w lustrze i upinam włosy w koński ogon. Próbuję zobaczyć, czy to, co powiedział, jest prawdą – czy rzeczywiście mam ładną twarz. Może mimo wszystko jest w tym trochę prawdy? Może ze związanymi włosami jestem chociaż trochę mniej brzydka?

Czasami zdarzają się małe cuda. Jak pewnej niedzieli, kiedy tata jedzie z nami na basen. Normalnie zawsze jeździ z nami mama. Ona pływa, a my bawimy się w płytkim basenie dla dzieci, który jest obok. Kocham pływanie i kocham siedzieć później w gorącej saunie z tymi wszystkimi nagimi kobietami, które plotkują i się poca.

Tej niedzieli, kiedy jedzie tata, bawi się z nami w basenie dla dzieci. Jest krokodylem – pływa pod wodą i na nas poluje. Krzyczymy z uciechy i zachwytu. To cudowne, że się z nami bawi, że w końcu to się dzieje. Teraz. Jeden jedyny raz.

Ciągła tęsknota, ciągła frustracja, które przenoszą się na innych i rozprzestrzeniają. Przez które ja i moja siostra dużo się kłócimy. U góry na ramionach mam ślady po paznokciach, jedna z nauczycielek wskazuje te zadrapania i pyta, czy sprawiliśmy sobie kota. Innym razem, podczas kłótni, chwytam palce Kajsy tak mocno, że łamią się do tyłu i Kajsza musi jechać do szpitala, żeby włożyli je w gips. Wtedy jest mi rzeczywiście wstyd, ale nie potrafię się zmusić, by przeprosić.

Ta wieczna pogarda, która leci spiralą w dół, zaczyna się od tego, że tata szydzi z mamy.

– Mówi się akceptować, a nie aceptować! Naucz się w końcu wymawiać porządnie! – odzywa się ze złośliwym uśmiechem, a mama, która nigdy się nie broni, milknie jak zawsze.

Pogarda jest zaraźliwa i przez długi, długi czas wierzę mu, kiedy mówi, że mama jest głupia. Nawet ona sama wydaje się w to wierzyć. Tata co jakiś czas prześwituje przez chmurę dymu, która ciągle go otacza.

– Tatusiu, nie pal, kiedy oglądamy telewizję – prosimy z Kajsą, trzymając nosy pod bluzkami, żeby nie czuć ostrego, gryzącego zapachu.

– Słuchajcie no! To ja tu za wszystko płacę. To jest mój dom i w moim cholernym pokoju będę palił tyle, ile mi się podoba! – odpowiada ze zło-

ścią i dalej zaciąga się mocno swoim białym prince'em.

Jest naszym wszechmocnym ojcem, wzbudzającym strach i podziw. Kimś, za kim całe życie się tęskni.

Zawsze ta niewłaściwa postawa, zawsze coś swędzi i dopiero po ukończeniu jedenastego roku życia zaczynam się zmieniać. Chodzę do piątej klasy. To wtedy dołącza do nas Cecilia, Cissi, która ma długie rude włosy i nos, którego skrzydełka poruszają się, kiedy się śmieje. Cissi, która z jakiegoś niepojętego powodu zostaje moją przyjaciółką. Którą bawią wszystkie moje żarty i która uważa, że jestem najzabawniejsza w klasie. Która czeka na mnie po szkole, żebyśmy mogły pójść razem. To wtedy zostaje moją przyjaciółką na całe życie.

Z Cissi u boku nagle nabieram odwagi, żeby wyjść z cienia. Siedzimy w moim pokoju i marzymy o Donie Johnsonie i Sylwestrze Stallone. O życiu w Hollywood, gdzie jesteśmy kochane i podziwiane. Czasami zamiast nich fantazjujemy o Jesperze i Adamie z naszej klasy, w których się kochamy, i cała reszta dziewczyn też. Z Cissi wszystko się może zdarzyć i rzeczywiście się zdarza. Pewnego razu, kiedy marzymy o tym, żeby Jesper i Adam zadzwonili do drzwi, nagle słyszymy dzwonek. Następnie szybkie kroki na schodach i drzwi mojego pokoju otwierają właśnie oni.

Szczęśliwie wychodzimy na dwór tego magicznego wieczoru i na drabinkach na placu zabaw każda z nas całuje swojego księcia.

Tego lata odkrywamy fabrykę papieru położoną blisko miejsca, gdzie mieszkamy. Wokół jest wysokie ogrodzenie z drutem kolczastym, ale kilku chłopaków pokazuje nam dziurę, przez którą możemy przejść. Są tam wielkie stosy gazet, na które można się wspinać, i mnóstwo starszych chłopaków, którzy patrzą na nas szeroko otwartymi oczyma. W tych stosach znajdujemy komiksy *Okej*, *Fridy* i *Damernas Värld*. Można brać wszystko, co się chce. Jest też mnóstwo pisemek pornograficznych, które chłopaki pakują do swoich reklamówek.

Nie wolno tam przebywać i co jakiś czas ktoś krzyczy, że idą strażnicy. Wszyscy biegną, a chłopaki pokazują nam tajne kryjówki między belami papieru, gdzie można poczekać, aż strażnicy sobie pójdą. Siedzimy tak blisko siebie, blisko chłopaków i słyszymy, jak pod nami szczekają psy. Jesteśmy prawie dorośli, wszystko jest niebezpieczne i ekscytujące – prawie jak



w Hollywood.

Późnym wieczorem chłopaki chcą, żebyśmy pooglądały ich pisemka pornograficzne. Pierwszy raz widzę wtedy żeńskie organy płciowe pokazane od dołu. Na jednym ze zdjęć widać kobietę z rozkraczonymi nogami i węzłem od odkurzacza wetkniętym w ciało. Próbuję spojrzeć jej w oczy, żeby sprawdzić, czy to boli, ale są przymknięte, jakby zasypiała. Na kolejnym zdjęciu kobieta z długimi paznokciami rozszerza wargi sromowe, ukazując małe złote kolczyki. Po trzy w każdej z wilgotnych warg.

Cissi i ja siedzimy w milczeniu i oglądamy. Chłopaki też się nie odzywają. Jest ciemno i chcę iść do domu.

Dlaczego wszystko musi być takie obrzydliwe?

Bez słowa idziemy wzdłuż szeregowców na naszym osiedlu. W gardle czuję gęstą wydzielinę – nie mogę oddychać i po każdym metrze muszę się zatrzymać i splunąć. Cissi charka i pluje dla towarzystwa, ale nadal nie jesteśmy w stanie ze sobą rozmawiać.

W domu tata siedzi przed telewizorem i ogląda *Jak zdobywano Dziki Zachód*. Mama jak zwykle krząta się nerwowo w kuchni.

Siadam na kanapie koło taty i patrzę, jak Zeb Macahan strzela z pistoletu do rannego konia. Koń wygląda na przerażonego – nie rozumie, dlaczego Zeb robi mu taką krzywdę. Ma przymknięte oczy. Zeb głaszcze go po czole i przemawia uspokajająco. W końcu zwierzę przestaje się ruszać, daje za wygraną.

Patrzę na martwego konia i nagle zaczynam głośno szlochać. Cała się trzęsę i nie mogę powstrzymać łez, które cieką po policzkach i szyi. Tata patrzy na mnie zaskoczony i obejmuje mnie ramieniem. Dziwnie się czuję, tak dawno już mnie nie dotykał. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mnie przytulał.

– No już, moja mała. Koń był ranny, i tak by niedługo umarł – mówi, a ja słyszę, że w jego głosie też pobrzmiwa płaczliwy ton, i zaczynam płakać jeszcze mocniej.

Nigdy nie chcę przestać płakać. Chcę, żeby tata mnie obejmował i pocieszał przez całą wieczność.



## RODZINNE SZCZĘŚCIE

Kobieta w kostiumie koloru kutasowego rózu znów jadła dziś sama śniadanie. Sprawiała wrażenie smutnej – w pozostałe dni wyglądała raczej na urzędną i nieobecną. Po jakimś czasie zjawił się jej mąż i usiadł obok. Wtedy kobieta się rozjaśniła, pospiesznie wstała i poszła po filiżankę niemieckiej ziołowej herbaty dla męża. Widziałam, jak bardzo się stara wybrać odpowiedni gatunek. Mąż podziękował krótkim *Danke*, a następnie jedli w milczeniu.

Nie mogę przestać. Moje obserwacje są coraz bardziej mroczne. Próbuje odwrócić wzrok, poczytać książkę, zdjąć okulary i myśleć o czymś innym, ale to nic nie daje. Zresztą po kilku dniach spędzonych tutaj zaczyna mi się wydawać, że znam niektóre pary. Przez to uczucie jeszcze trudniej jest mi się powstrzymać przed obserwowaniem.

Przy stoliku obok usiadła grupa Niemców. Jedna z kobiet przyszła trochę wcześniej od męża, postawiła na stole filiżankę kawy i przywitała się ze znajomą parą – oboje już zaczęli jeść. Następnie poszła po resztę śniadania. Kiedy jej nie było, zjawił się mąż niosący talerz pełen kanapek. Bez chwili wahania usadowił się tam, gdzie stała filiżanka, zrobił krótkie „Mmm...” i wypił łyk. Tak jakby kawa została podana jemu. Dlaczego by nie? To oczywiste, że ta kawa była dla niego.

Kiedy żona wróciła z talerzami, najdrobniejszym grymasem twarzy nie

dała mu do zrozumienia, że się pomylił. Ani się pobłażliwie nie uśmiechnęła, ani nie zwróciła mu uwagi. Po prostu odwróciła się bez słowa i ruszyła po kawę dla siebie.

Niektóre pary wyglądają na całkiem szczęśliwe. Jakby rzeczywiście upajały się równoległą samotnością. Jakby zaakceptowały brak kontaktu i swoje życie obok siebie. Pamiętam, że kiedy przeprowadzałam wywiad z jedną z moich wielkich idolek, Suzanne Brøgger, byłam ogromnie rozczerowana jej mową o wdzięczności, którą ponoć odczuwała na starość.

– Czyli wtedy pozostaje nam zadowolić się tym, co mamy? – zapytałam sfrustrowana.

– Tak, dlaczego nie – brzmiała odpowiedź.

Odpowiedź jej – kobiety, która wydała kilka fantastycznie odważnych, osobistych książek właśnie o tym, żeby nie zadowalać się tym, co jest. Która wciąż dociekała, jak przeżyć życie w najbardziej interesujący i najmniej nieszczęśliwy sposób. Która o trudnościach bycia we dwoje napisała najpiękniejsze i jednocześnie najsmutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek czytałam: „Bycie we dwoje jest zorganizowaną formą nieprzeżytego życia. Ciągami nie-spotkań”.

Tutaj, w hotelu na Teneryfie, jestem jednak gotowa uwierzyć, że poprzestawanie na małym albo wdzięczność to rzeczywiście coś, co przychodzi z wiekiem. Człowiekowi po prostu do szczęścia mniej potrzeba.

Mogę się zgodzić na „wdzięczność” w znaczeniu spokoju, który pozwala na to, żeby się zatrzymać, odpocząć i zobaczyć, co się ma. Zrozumieć, że bogactwo jest w zasięgu ręki. W tych przypadkach, kiedy wmawiamy sobie, że trawa jest bardziej zielona po drugiej stronie, najczęściej okazuje się, że to nieprawda. Zdanie sobie sprawy z tego, co się ma, również wymaga pewnego talentu.

Nie jestem jednak do końca pewna, czy o to właśnie chodziło Suzanne Brøgger.

Spotkania oko w oko z idolami bywają trudne, zwłaszcza jeżeli idolką jest Suzanne Brøgger, która tak wczuła się w opisywanie piekła rodziny nuklearnej, że skłoniło to być może setki kobiet do podjęcia decyzji o rozwodzie.

Jeżeli mam być szczerą, zależało mi również na tym, żeby ta mądra ko-

bieta udzieliła mi wielu prywatnych odpowiedzi. Pytania zaś dotyczyły tego małego małżeńskiego piekła, w którym sama żyłam.

Kiedy pierwszy raz przeczytałam jej książkę *Zbaw nas od miłości*, od razu stała się moją uniwersalną wymarzoną mamą. Mamą, która w przeciwieństwie do biologicznej nigdy nie upiecze nawet jednej bułki, ale z którą za to da się porozmawiać. W moim egzemplarzu roi się od podkreśleń i wykrzykników, a niektóre fragmenty znam na pamięć.

Gdy więc pojawiła się możliwość przeprowadzenia wywiadu z Suzanne Brøgger, skorzystałam. Chciałam wiedzieć, co myśli jakieś trzydzieści lat po *Zbaw nas od miłości*. Co myślała o tym, że my, kobiety z pokolenia lat siedemdziesiątych, wychodziłyśmy za mąż, kiedy ona i inne kobiety z jej pokolenia wytyczały drogę zupełnie innym możliwościom. Dlaczego w gronie moich rówieśników tradycyjny ślub kościelny był bardziej popularny niż cokolwiek innego.

Wiedziałam, że Brøgger też wyszła za mąż, a nawet urodziła dzieci. Dzwoniąc do jej drzwi, spodziewałam się więc dwoistości, która przypomina moją własną. Tego, że jej myśli nie są już takie same jak wtedy, nawet jeśli skrycie na to liczyłam.

Kiedy otworzyła, pomyślałam, że prawdą jest wszystko, co mówiono o jej urodzie. O zamięłowaniu do czerwonych warg i ubrań w panterkę. I przyszło mi do głowy, że najlepiej byłoby mieć kilka różnych mam. Piekącą bułki i pachnącą paluszkami rybnymi, a oprócz niej jeszcze ekscentryczną, intelektualną, seksualną. O kombinacji jednego z drugim nie ma bowiem co marzyć.

Uśmiechnęła się i wręczyła mi złote balerinki. Z pełną powagą. Ja odpowiedziałam głupkowatym uśmiechem i zaczęłam żałować, że nie jestem równie wspaniała.

Podawała herbatę w pięknej filiżance ze złotymi rantami, a ja włączyłam dyktafon i zaczęłam.

– Jak pani myśli, dlaczego przez trzydzieści lat, od czasu powstania *Zbaw nas od miłości*, tak niewiele się wydarzyło? Dlaczego uważa pani, że moje pokolenie znów to zrobiło, znów powychodziło za mąż?

Suzanne wypła łyk herbaty i zastanawiała się przez chwilę.

– Może dlatego, że to przebiega falami, góra–dół, tam i z powrotem, a re-

akcją każdego pokolenia jest robienie na przekór poprzedniemu – odparła.

– Czy tak należy na to patrzeć? Że nasze zamążpójścia były tylko reakcją skierowaną przeciwko wam? – zapytałam, wpatrzona w jej usta, jakby odpowiedź, która zaraz miała nadejść, była kwestią życia i śmierci. Zresztą w pewnym sensie tak właśnie było.

– Problem cały czas tkwi w tym, że jeżeli chcesz mieć dzieci, łądujesz w trójkącie ojciec–matka–dziecko. Myślę, że zmiany muszą się dokonać w poszczególnych ludziach, a ramy zewnętrzne nie są aż tak ważne. Młodeму człowiekowi może się wydawać, że określona forma życia decyduje o tym, z czego będzie się ono składać. Ale z drugiej strony nie jest już tak bezpiecznie jak kiedyś w społeczeństwie przemysłowym czy rolniczym. Można na to spojrzeć jak na wyraz strachu: w niebezpiecznym świecie, w którym jest terroryzm i całe mnóstwo rzeczy, których nie da się kontrolować, ludzie stawiają na małą nuklearną rodzinę.

Spróbowałam wyłożyć moje teorie – o sile miłości eksploatowanej tak, że kobieta daje, a mężczyzna bierze, o mężatkach, które są w gorszej kondycji psychicznej niż ich niezamężne siostry, i tak dalej. Suzanne kiwała lekko głową, ale nic nie mówiła. Zapytałam, dlaczego tak niewiele opowieści (a właściwie ani jedna) mówi o szczęśliwych kobietach, które wybrały samotność zamiast małżeństwa. Suzanne westchnęła, ale spojrzała na mnie życzliwie i powiedziała, że wolna miłość niesie ze sobą równie dużo problemów, co stały związek.

Nie była to odpowiedź, jaką chciałam usłyszeć. Poruszałam trochę nogami w złotych balerinkach, spojrzałam na złote ranty na filizance i pomyślałam, że całe to złoto w jakiś sposób stoi na przeszkodzie.

Sama Suzanne Brøgger była chyba przyzwyczajona do tego, że ludzie są nią rozczarowani. Czuję lekki wstyd na myśl, jak zapewne uśmiecha się w duchu na widok mojej zrozpaczonej osoby.

– Jak pani chce w takim razie żyć? – skontrowała Suzanne i zrozumiałam, że zaczyna mieć dość tego wywiadu, a zwłaszcza osoby, która go przeprowadza.

– Jak? – odpowiedziałam pytaniem, żeby zyskać na czasie.

– Tak jest... – odparła Suzanne.

– Nie wiem, właśnie o tym myślę – zdobyłam się na żalną odpowiedź.

– Proszę, nikt pani tego nie zabroni – rzekła Suzanne z uśmiechem.

W tej właśnie chwili miała w sobie coś z mądrej mamy, którą spodziewałam się w niej zobaczyć. Teraz jednak było mi tak niezręcznie, tak się odśloniłam, że czułam, jak łzy palą mnie pod powiekami. Nie chciałam rozplakać się przy stole w jej kuchni, więc szybko wróciłam do bezpiecznej roli dziennikarki przeprowadzającej wywiad.

– Czy pani zdaniem patriarchyta potrzebuje małżeństwa?

To była jedna z moich wielkich teorii i jednocześnie mój konik. Twierdziłam, że patriarchyta można porównać z nadideologią, swego rodzaju religią, która wpływa na każdy najdrobniejszy element naszego życia. W ideologii patriarchyty wpisana zaś jest próba skłonienia nas do wejścia w związek małżeński, aby w ten sposób stłumić walkę i skłonność do buntu. W rezultacie większość opowieści – film, telewizja, książki – traktuje o tęsknocie za romantyczną miłością. Tą, która dokonuje się przez małżeństwo mężczyzny i kobiety. Zakłamany obraz, w którym nigdy nie ma takich ciemnych stron jak przemoc, gwałty czy niepłatne, obrzydliwie nudne prace domowe.

Ale Suzanne się z tym nie zgodziła.

– Nie sądzę, żeby taki pradawny patriarchyta wciąż był obecny w naszej kulturze. Oczywiście, w każdej z nas są jego ślady, jednak proszę to porównać z rodzinami muzułmanów i ich władzą nad kobietami. To dopiero jest patriarchyta! – odpowiedziała.

Zawsze nabieram podejrzeń, kiedy ktoś zaczyna mówić, o ile straszniej jest w innych kulturach. Zdecydowanie zbyt często słyszałam ludzi, którzy w ten sposób chcieli złagodzić niesprawiedliwości w Szwecji. Dla których był to argument za tym, żeby się zadowolić postępem osiągniętym do tej pory. Teraz z kolei zaczęłam się zastanawiać, czy rasistowskie poglądy Pii Kjærsgaard nie odcisnęły swojego piętna nawet na kimś takim jak Suzanne Brøgger.

– Mimo to wydaje mi się, że my też żyjemy w patriarchycie – odezwałam się.

– No tak, wszystko jest względne, ale może pani żyć, jak chce, i nikt pani za to nie zabije. Z nimi jest inaczej. Chodzi mi tylko o to, że jeżeli patriarchyta nadal istnieje, to wewnątrz nas samych, jako mechanizm autorepresji – odparła Suzanne.

– Sądzę jednak, że w Szwecji i Danii jest to również bardzo wyraźne. Chodzi mi o te wszystkie kobiety bite na śmierć przez własnych mężów, o gwałty. Większość kobiet jest w stanie zobaczyć i poczuć bardzo konkretne przejawy patriarchalnego ucisku – stwierdziłam.

Jak już mówiłam, jest to bowiem mój konik. Ucisk może przybierać różne formy w różnych krajach, ale źródło jest jedno: patriarchy. Albo wynikający z płci układ sił. Albo władza mężczyzn nad kobietami – można to nazywać, jak się chce.

– Tak, to prawda – rzekła Suzanne. – A mężczyźni odgrywają się na feminizmie za to, co udało mu się wypracować. Przemoc wobec kobiet jest teraz większa niż wcześniej – ciągnęła, a mnie przepełniała dziecięca radość, że w czymś się zgadzamy.

Potem jednak zniszczyłam wszystko pytaniem, czy zna jakieś szczęśliwe pary. W *Zbaw nas od miłości* jednym z powodów, dla których nie wierzyła w życie we dwoje, był fakt, że po prostu nie znała żadnej szczęśliwej pary.

Suzanne odpowiedziała, że ona sama jest przykładem, że szczęśliwe życie we dwoje może się całkiem dobrze sprawdzać, ponieważ nie zamierza z niego zrezygnować, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

– Choć – powiedziała – w życiu we dwoje człowiek staje się chyba lepszy z biegiem lat. Takie pojęcie jak wdzięczność przychodzi dopiero później, kiedy jest się starszym.

– Pani czuje wdzięczność? – zapytałam.

– Tak – odpowiedziała tak po prostu Suzanne.

– Za co? – chciałam wiedzieć.

– Jestem wdzięczna za to, że żyję, że istnieje czułość i że nikt z ludzi, których kocham, nie jest chory albo umierający. Za to jestem wdzięczna – odparła Suzanne i wyglądała na szczęśliwą.

Opuściłam wzrok na filizankę, ponieważ było mi wstyd, że nie potrafię dłużej ukrywać rozczarowania. Wiele się spodziewałam po naszym spotkaniu, ale nie tego, że będzie wdzięczna.

Być może nie dostrzegła mojego rozczarowania, źle je zinterpretowała albo po prostu miała moje ewentualne oczekiwania w głębokim poważaniu, nagle bowiem zaczęła radośnie mówić o piosence, nad którą obecnie pracuje i która opowiada o mężczyźnie potrafiącym czterdzieści osiem rze-

czy.

– Jakie to rzeczy? – spytałam.

– Naprawić faks, przyciąć drzewa, pomóc z komputerem, zatankować samochód, znaleźć wyjście w różnych sytuacjach... Już teraz nie pamiętam, ale było ich czterdzieści osiem... i myślę, że tyle wystarczy, czterdzieści osiem rzeczy. Tak jest dobrze – powiedziała Suzanne.

Herbata zdążyła już ostygnąć, ja zaś poczułam, że nie bardzo wiem, o czym my właściwie bredzimy. Zaczęłam się zastanawiać, czy zrozumiałam choć jedno z jej duńskich słów. Może tak naprawdę we wszystkim się zgadzamy, tylko nie mogliśmy się dogadać. Zwyczajny bałagan językowy? Cokolwiek to było, zbyt mocno kręciło mi się w głowie i nadszedł czas, żeby to zakończyć.

– Tak, czterdzieści osiem rzeczy chyba wystarczy – powiedziałam lekko naburmuszona, choć wcale tak nie myślałam.

Uważałam, że to wszystko brzmi jak kompletne bzdury. Może tych czterdzieści osiem rzeczy miało jakieś symboliczne znaczenie, którego nie rozumiałam?

– Chodzi mi o to, że chyba się niecierpliwie, że przez te trzydzieści lat, jakie upłynęły od wydania *Zbaw nas od miłości*, powinnymy były zajść dalej – spróbowałam po raz ostatni.

– Może problem polega na tym, że niewiele się zmieniło w mężczyznach – podsunęła Suzanne.

– Tak, im należałoby się przyjrzeć – odparłam.

– To prawda. Albo może oni powinni przyjrzeć się sobie, bo przecież u kobiet zmieniło się całkiem sporo, a u mężczyzn nie tak wiele. Myśleli chyba, że nie muszą nic robić. Chociaż podjęcie takiej walki jest pewnie za trudne, kiedy jest się w związku małżeńskim. Wychowanie dzieci to jedno, ale jeżeli oprócz tego trzeba wychowywać jeszcze męża, robi się to zbyt uciążliwe – zakończyła Suzanne.

I wtedy nagle pomyślałam, że chyba rozumiem, jak to wszystko wygląda w jej oczach. W grę wchodził stary, poczciwy rozdźwięk między prywatną praktyką a uniwersalną teorią. Między strukturą a jednostką. A to wszystko przyprawione szczyptą rezygnacji.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju w hotelu na Nyhavn, znów miałam



dobry humor. Pomijając fakt, że nie potrafiłam się uwolnić od zawstydzenia sobą i własnymi oczekiwaniami, czułam się wspaniałomyślna. Kim jestem, żeby myśleć, a właściwie wymagać, by podała mi na tacy wszystkie odpowiedzi? Suzanne Brøgger ma pełne prawo się wycofać i żyć swoim życiem pełnym wszystkich tych sprzecznych uczuć, które wiążą się z byciem razem. Co za potworny wstyd, że będąc u niej, miałam czelność czuć się wręcz pokrzywdzona tym, że odczuwała wdzięczność!

Wracam do swojego pokoju w hotelu, siadam na chwilę na balkonie i oddycham czystym, porannym powietrzem. Dziś jest pochmurno, więc postanawiam, że pojedę autobusem do miasta, gdzie biuro podróży zorganizowało zwiedzanie z przewodnikiem.

Jedna z par siedzi przede mną w autobusie. Nie rozmawiają ze sobą. Ona czyta ulotkę, a on patrzy prosto przed siebie. Nagle mężczyzna odwraca głowę i przygląda się swojemu odbiciu w szybie.

– *Ah meine friseur ist kaputt!* – mówi i śmiejąc się, przeczesuje palcami ową fryzurę, te cienkie, starcze włosy.

Żona jest tak wniebowzięta tym prawdopodobnym otwarciem, że wybuchą histerycznym śmiechem. Słysząc w nim uznanie, ale jednak jest to rechot. Zaczyna się rozglądać po autobusie, żeby zobaczyć, czy ktoś jeszcze zwrócił uwagę na ten wielki humorystyczny wyczyn, ale najwyraźniej nikt inny nie dostrzegł w nim nic śmiesznego.

Wtedy kobieta wybucha jeszcze głośniejszym śmiechem, co każe się zastanowić, jak niezwykle w jej świecie musi być fakt, że mąż wyszedł ze swojej naburmuszonej skorupy i dał co nieco z siebie. Można się domyślać, że kiedy już to się zdarza, należy zareagować śmiechem pełnym uznania, by ten pozostał na zewnątrz najdłużej, jak to tylko możliwe.

I rzeczywiście, mężczyzna zdaje się być zadowolony z tego potwierdzenia. Zaczynają rozmawiać o porcie, który da się dostrzec z autobusu.

Czuję lekki ból w sercu. Rozpoznaję ten schemat w wielu znanych mi związkach, a także we własnym. To, jak kobiety chodzą na palcach, empatyczne i wciąż gotowe, żeby albo odparować cios, albo zaśmiać się głośno i z uznaniem.

Czyż nie pochłania to mnóstwa energii?

Psychoanalityczka Joan Riviere w tekście *Kobiecość jako maskarada*

z 1929 roku pisze o tym, jak mądre pracujące kobiety nagle stawały się głupsze, kiedy w ich pobliżu pojawiali się mężczyźni. Wszystko dlatego, żeby nie czuli z ich strony konkurencji i żeby nikt nie zakwestionował ich kobiecości. Do pewnego stopnia jest to zapewne prawda nawet dzisiaj, jednak w autobusie do Puerto de la Cruz myślę sobie, że w dzisiejszych czasach maskarada kobiet polega raczej na tym, że wytrzymują z zamkniętymi w sobie mężczyznami i udają, że wszystko jest dobrze, śmiejąc się w głos z ich żartów.

Autobus staje przed brzydkim centrum handlowym w Puerto de la Cruz, wszyscy się zbierają i czekają na przewodnika. Ruszamy, a ja myślę, że to dobra okazja, by ukrócić mój ewentualny sztokholmski snobizm. Tu towarzyszy mi szesnaścioro świeżo upieczonych emerytów i wszyscy wyglądają tak, jakby przyszli prosto z wakacji na kempingu. Pochodzą z Niemiec, Landvetter i Karlskrony i są wspaniali. Wyglądają na uradowanych myślą, że wezmą udział w raczej nieciekawej przygodzie – wycieczce z przewodnikiem po Puerto de la Cruz. Ja czuję, że serce mi rośnie, cieszę się słońcem i tym, że ludzie dookoła są tak obciachowi. Dzięki temu czuję się wolna i zrelaksowana.

Wśród nas są też dwie duńskie rodziny z dziećmi. Dzieci mają około dwóch lat, a rodzice wyglądają na moich rówieśników. Matki pchają wózki, a duńscy tatusiowie idą powoli, zostając coraz bardziej z tyłu. W końcu są już na samym końcu grupy, obok mnie. Żartują ze sobą i cały czas spoglądają na mnie, żeby się przekonać, czy widzę, jakie z nich wesołe chłopaki. Ale ponieważ nie znam duńskiego, nie wiem, jacy są weseli, tylko denerwuje mnie ich ewidentna, typowa ucieczka od rodziny. Wyobraziłam sobie odwrotny scenariusz: dwie mamy, które zwalniają kroku, aż w końcu znajdują się przy samotnym trzydziestolatku, który został w tyle. Następnie zaczynają flirtować i szukać kontaktu, gdy w tym czasie ich mężowie pchają wózki siedem metrów dalej.

- Jak się nazywasz? – pyta jeden z nich niewyraźnie po duńsku.
- *Sorry, I don't speak Danish*<sup>2</sup> – odpowiadam.
- *Oh. What's your name?*<sup>3</sup> – drąży.
- Sue Ellen – mówię.

– *Oh, nice* – odpowiada. – *My name is Mads*<sup>4</sup>.

– *Oh, nice* – powtarzam po nim.

– *And my name is Henrik* – włącza się drugi z mężczyzn. – *Are you here alone on holiday?*<sup>5</sup>.

– *No. I'm here with my job. I'm an actress and we are here to perform a play called „Dallas” tomorrow at the Casino*<sup>6</sup>.

– *Oh, nice* – odpowiada Mads, a ja zaczynam podejrzewać, że ich angielski nie jest najlepszy.

– *Can we come and watch you?*<sup>7</sup> – pyta Henrik i wygląda na zadowolonego ze swojej śmiałości.

– *Yes, of course. It's open for everyone. Tomorrow at nine o'clock at the Casino*<sup>8</sup> – odpowiadam.

Henrik i Mads zaczynają żywiołowo rozmawiać po duńsku, a ja wychwytyuję dwa żeńskie imiona – Anne i coś, co brzmi jak Rue. Podejrzewam, że to imiona ich żon, i zaczynam się zastanawiać, czy to możliwe, żeby w Danii w latach osiemdziesiątych nigdy nie puszczali *Dallas*.

– *OK, we'll come tomorrow and after maybe we can have a drink with you?*<sup>9</sup> – mówi Henrik.

– *Or two drinks... or three...?*<sup>10</sup> – dodaje Mads i zaczyna się śmiać z własnego przezabawnego żartu.

– *OK* – odpowiadam. – *See you tomorrow!*<sup>11</sup>.

Henrik i Mads zadowoleni z siebie szczerzą zęby, po czym przyspieszają kroku i już wkrótce doganiają swoje żony, Anne i Rue.

Przez chwilę mam wyrzuty sumienia, Henrik i Mads nie mogą przecież wiedzieć, że okłamywanie palantów jest jednym z moich ulubionych zajęć.

Wyrzuty sumienia znikają jednak, kiedy widzę, jak Henrik władczo obejmuje swoją Anne, a Mads czule całuje Rue w policzek. Mogą sobie trochę postać przed kasynem, zastanawiając się, dlaczego nie ma przedstawienia *Dallas*.

Opuszczam wspólny lunch, zaplanowany na zakończenie zwiedzania, odłączam się od grupy i znajduję kawiarnię dla siebie. Zamawiam miecznika z grilla, piwo i espresso i grzejąc twarz w słońcu, dalej czytam o Isadorze.

Ona i Bennett właśnie dotarli na uniwersytet w Wiedniu, gdzie ma się odbyć konferencja. Isadora złości się na Bennetta za to, że nie jest nieznanym z pociągu – seks w stylu „suwaku, otwórz się” – że się nie uśmiecha, że z nią nie rozmawia. Złości się, że zawsze rezerwuje termin u ginekologów i psychoanalityków, a nigdy nie kupuje kwiatów. Że jej nie całuje ani nie łapie za tyłek.

I wtedy właśnie spotyka Adriana. Faceta na długo oczekiwany szybki numer. Jej fantazję o pozbawionym poczucia winy pieprzeniu, które nie ma nic wspólnego z otwieranymi suwakami.

*Seks w stylu „suwaku, otwórz się” jest absolutnie czysty, pozbawiony ukrytych motywacji. Nie ma tu rozgrywek o władzę. Mężczyzna nie bierze, a kobieta nie daje. Nikt nie usiłuje przyprowadzić rogów mężowi, nikt nie upokarza żony. Nikt nie usiłuje niczego udowodnić, nikt niczego nie chce.*

*Seks w stylu „suwaku, otwórz się” jest unikalny, bez skazy. Trudniej się z nim spotkać niż z jednorożcem.*

Ani mnie, ani Isadorze nigdy nie przytrafił się taki numer, co napawa mnie wielkim smutkiem.

Kiedy byłam singielką, miało być może miejsce kilka nieudanych prób. Poczucie winy towarzyszyło mi jednak przez cały czas w formie niewypowiedzianego pytania, czy będzie ich więcej. Poza tym czułam się winna, ponieważ nie chciałam, żeby były kolejne. Było mi wstyd, że podejmowałam takie inicjatywy.

Kobiety wciąż bowiem obowiązuje owa przeklęta, prastara reguła: nie zdobywać, a być zdobywaną.

Ileż to razy popełniałam tu błąd? Począwszy od dwunastego roku życia, kiedy to namiętnie ocierałam się o Fredrika L., aż po czasy chłopaków ze szkoły rzemiosła artystycznego Konstfack. Sanna i ja, niczym dwie kamikadze, podchodziłyśmy często do chłopaków w knajpach i pytałyśmy prosto z mostu, czy mają ciepłego i pulsującego. Zdecydowana większość nie miała. A przynajmniej nie chcieli go nam włożyć. Z kolei kiedy ktoś podchodził i pytał, czy mamy ogień, odpowiadałyśmy:

– Nie, ale za to nasze łechtaczki są rozpalone.

Chyba chciałyśmy przetestować, jak to jest zachowywać się równie bezpośrednio i zuchwale jak faceci. Wspaniale się bawiłyśmy, rechotałyśmy na

całe gardła, kochałyśmy siebie i nienawidziłyśmy wszystkich tych cichych, tajemniczych dziewczyn, wokół których zwykle zbierały się chłopaki.

Nic dziwnego, że to się nigdy nie udawało.

Udało się tylko raz – i to za niego wyszłam. Johan był pierwszym, który na pytanie o ciepłego i pulsującego zareagował śmiechem. Pełna alkoholowego animuszu potraktowałam jego śmiech jak zaproszenie.

– Chodź się trochę pomigdalić – powiedziałam i przycisnęłam go do ściany.

Nie przestraszył się, tylko radośnie odwzajemnił pieszczoty. Później tej samej nocy zgubiliśmy się w tłumie, kiedy poszliśmy kupić więcej piwa, do domu wróciłam więc z kolegą z roku i przenocowałam w jego małym studenckim mieszkaniu.

Dwa dni później na stacji metra zobaczyłam Johana. Tym razem noc nie była taka późna, więc powiedziałam tylko cześć.

– Cześć! – odpowiedział i roześmiał się całą twarzą, a jego oczy zaśmiały.

Okazało się, że on także mieszka na Sandsborgu. Zaczęliśmy rozmawiać o dziwnym mieszkaniu, które razem z kolegą wynajmowali z drugiej ręki i które najwyraźniej wcześniej było burdelem. W środku nocy do drzwi dzwonili obleśni mężczyźni, łóżka były z czerwonego aksamitu, a na ścianach wisiały obrazy z erotycznymi motywami. Opowiedziałam o swoim domu i o starszym panu, który sikał na klatce schodowej, kiedy wracałam tam nocą. Jak jedną ręką trzymał penisa, a drugą grzecznie się ze mną witał.

Po jakimś czasie nadjechało metro.

– To co, do zobaczenia?

– Tak, może się jeszcze spotkamy.

Czasami naprawdę myślę, że świat jest pełen magii, a może to przeznaczenie? Potem bowiem nie było dnia, żebyśmy nie natykali się na siebie w metrze. Nieważne, czy był to środek nocy, kiedy wracałam z knajpy, czy wczesny poranek, kiedy szłam na jakiś wykład na uniwersytecie.

W końcu zaprosiłam go do siebie na czerwone wino i paja. Ku mojemu zdziwieniu i radości nadal wydawał się zadowolony, a nie przestraszony. Rozmawialiśmy i tańczyliśmy w moim małym, jednopokojowym mieszkaniu, a w środku nocy zeszliśmy na dół, żeby zobaczyć, czy uda nam się zna-

leżąc sikającego dziadka. Wszędzie było jednak ciemno i cicho, więc wróciliśmy do mojego łóżka, położyliśmy się „na łyżeczkę” i zasnęliśmy. Kiedy się obudziłam, Johan leżał obok i patrzył na mnie swoimi pięknymi, brązowymi oczyma. Nie mogłam się oprzeć i go pocałowałam. On zaś nadal się nie bał.

Kiedy poszedł, zapisałam w pamiętniku, że wyjdę za niego za męża. Że jeżeli kiedykolwiek będę miała dzieci, to właśnie z nim.

Następnego dnia obudziłam się z gorączką, Johan wpadł po pracy i przyniósł mandarynki, wodę mineralną i słodycze. Wszedł do mnie do łóżka i przykrył nas kołdrą. Nie wychodziliśmy przez trzy doby, żywiąc się mandarynkami, słodyczami i chrupkim pieczywem. Czwartego dnia umieraliśmy z głodu, więc Johan pobiegł po grillowanego kurczaka i chipsy. Szybko zjedliśmy, po czym znowu wskoczyliśmy pod kołdrę.

Od tego czasu minęło już ponad dziesięć lat. Cała wieczność. Sama nie wiem, kim wtedy byłam, i nie jestem pewna, czy wiem, kim jestem teraz. Większą część swojego dorosłego życia spędziłam z Johanem. Było to życie pełne marzeń, tęsknoty, pragnień i rozczarowań – tak zlanych ze sobą, że nie potrafię już powiedzieć, co jest rozczarowaniem, a co tęsknotą. Wiem tylko, że nie brakuje tu brudnych emocjonalnych plam.

Dlatego tak kocham czytać o bałaganie w życiu Isadory. Dzięki temu nie czuję się taka samotna. Isadora tęskni za Adrianem i pożąda go, jednocześnie robiąc wszystko, żeby Bennett zniknął. Wykorzystuje każdą okazję, żeby obściskiwać się z Adrianem, a jednocześnie pełno w niej poczucia winy w stosunku do Bennetta.

Tak to właśnie wygląda. Może byłoby inaczej, gdyby naprawdę można było od czasu do czasu uprawiać szybki seks bez zobowiązań, seks, który nikogo nie rani. Gdyby można było o tym rozmawiać w przyjaznej atmosferze. Ja w każdym razie wiem, że nie przestałam pożądać innych mężczyzn, choć kocham Johana już od ponad dziesięciu lat. Że jak najbardziej można żywić najróżniejszego typu uczucia do innych. Nawet jeśli tu i teraz, na Teneryfie, rozkoszuję się jedynie samotnością i snem. Isadora z kolei czuje palącą tęsknotę za seksem.

*A o co w końcu chodziło w małżeństwie? Nawet jeżeli kochałaś swojego męża, musiał przyjść ten nieunikniony rok, w którym spółkowanie z nim stawało*

*się mdłe jak ser velveeta: wypełniające, ba, nawet tuczące. I żadnej podniety dla kubków smakowych – ani kwaśno-gorzko, ani gorzko-słodko. Bezpiecznie. A ty tęskniłaś za przejrzalym camembertem czy za specyficznym kozim serem: soczystym i tłustym, pochodzącym od stworzenia o rozdwojonych kopytach.*

Ja nie uważam, że spółkowanie z Johanem jest mdłe. Wcale nie jest jak ser velveeta, raczej jak dojrzały cheddar, twardy i godny zaufania – zarówno na co dzień, jak i od święta. Ser o bogatym smaku. Taki, który trzyma się długo, co najmniej dziesięć lat.

Pamiętam, jak kiedyś w liceum rozmawiałam z trzema najlepszymi przyjaciółkami o tym, jakimi byłybyśmy serami, gdyby to miało odzwierciedlić naszą osobowość. Cissi została dojrzałym prąstostem – księżym serem – bo akurat wtedy uparła się, że będzie studiowała teologię. Charlotte została serem brie i rzeczywiście jako prawniczkę stać ją teraz na droższe rodzaje sera i ma wyrobiony smak. Nie pamiętam, jakim serem została Sanna, za to dobrze przypominam sobie własną rozpacz, kiedy reszta bez wahania zgodziła się, że jestem serem do smarowania z przyprawą taco. Serem, który można było kupić w Ice za niespełna dwanaście koron.

Tak tanio! Tak amerykańsko!

Naprawdę zrobiło mi się smutno. Koleżanki próbowały to uzasadnić, mówiąc, że jestem pikantna i jeżeli ktokolwiek lubi takie sery, to właśnie ja. Tak czy inaczej, nigdy nie mogłam się z tym pogodzić. Koleżanki zostały ekskluzywnymi serami z górnej półki, a ja typowym serem klasy robotniczej. Smarowidłem o smaku taco.

Siedząc samotnie w kawiarni w Puerto de la Cruz i myśląc o serach, zaczynam żałować, że zamiast tego nie tęsknię nieco bardziej za przygodą. Dlaczego myślę o serach? Dlaczego słysząc duńskie zaloty, czuję się niemile dotknięta?

Nawet moje sny erotyczne dotyczą Johana! Nie wiem, czy wynika to z faktu, że mam tak silne superego i poczucie winy, że tłumię wszelkie inne pożądanie, czy też po prostu moje dziesięcioletnie życie seksualne z Johanem całkowicie mnie zadowala.

Isadora czuje jednak coraz większą tęsknotę, aż w końcu decyduje się pójść za głosem pożądania.

*Myślałam o roztropnych zasadach grzecznych pańienek, których przestrzega-*

*łam jako dobra studentka, posłuszna córka, wierna żona, która zawiniła, popełniając cudzołóstwo wyłącznie w myślach – i zdecydowałam, że tym razem zdobędę się na odwagę, pójdę za uczuciem bez względu na konsekwencje.*

I tak oto mająca mętlik w głowie i kochająca Isadora zostawia Bennetta i wyrusza z Adrianem w podróż jego samochodem po Europie. Już po krótkim czasie dochodzi do wniosku, że popełniła gigantyczny błąd. Choć wydawało jej się, że jeżdżą na chybił trafił, wychodzi na jaw, że Adrian ma do załatwienia prywatną sprawę. W Bretanii umówił się bowiem na spotkanie ze swoją żoną i dziećmi. Tam czekają ich kilkutygodniowe wakacje.

Nagle Isadora zostaje sama w Paryżu, bez kochanka ani mężczyzny, w którym mogłaby znaleźć oparcie. Siedzi więc, tak samo jak ja, w kawiarni przy piwie i stara się wyglądać na obojętną. Mamy prawie tyle samo lat i tak samo jesteśmy mężatkami, choć Isadora nie ma jeszcze dzieci i jest o wiele bardziej zmęczona po szaleńczej jeździe autostradami z Adrianem.

Właśnie tam, w kawiarni, Isadora nagle zdaje sobie sprawę, na czym polegał jej błąd.

*To ja go ścigałam. Przez całe lata snułam fantazje na temat mężczyzn, nigdy ich nie realizując – i oto po raz pierwszy w życiu wychodzę poza wyobrażenia. Gonię za mężczyzną, którego straszliwie pożądam – i co się dzieje? Flaczeje jak wyjęty z wody makaron i odrzuca mnie.*





## JAK DZIWKĄ

Kiedy człowiek jest tak napalony, że aż go rozsadza i ma wielką chcię, ła-two zapomnieć, że to jest zakazane. Zwłaszcza jeżeli jesteś kobietą i chcesz być pożądana, a nie odprawiona z kwitkiem. Jeżeli nie chcesz, żeby nazy-wali cię dziwką. I nie ma znaczenia, czy masz lat trzynaście, czy trzydzie-ści.

Choć kiedy miałam trzynaście lat, nikt mi jeszcze nie powiedział, że nie wolno mi być tak samo napaloną, bezczelną i chętną jak faceci. Z goryczą doświadczyłam tego na własnej skórze podczas jednego z pierwszych ra-zów, kiedy to zaczęłam obmacywać się z chłopakiem i wtedy on, Fredrik L. z równoległej klasy, zeszywniał ze strachu i szoku. Leżeliśmy na łóżku w pokoju mojej najlepszej przyjaciółki Cissi, a ona i Anders pieścili się na dużej skórzanej kanapie w salonie. Bryan Adams śpiewał *Heaven* – o tym, jak fajnie było latem sześćdziesiątego dziewiątego. Wszystko było super poza tym, że Fredrik L. przestał głaskać mnie po plecach. Przestał odwza-jemniać moje pocałunki i próbował wstać.

Pamiętam, że powiedział:

– Może trochę przystopujmy, co?

Potwornie się zawstydziałam, przeczuwając, że moje uporczywe ocieranie się o jego udo było przesadą. Ale na kilka cudownych sekund puściły mi wszystkie hamulce i czułam tylko pożądanie w najczystszej postaci. Czas się zatrzymał i chciałam się tak ocierać do końca świata.

Fredrik L. uchodził za przystojnego i prawdopodobnie był przyzwyczajony do tego, że to on podejmuje inicjatywę. Że sam ociera się o nieruchome i sztywne dziewczęce ciała, a nie jest tym, o co się ocierają. Po tym wszystkim rozpuścił plotkę, że jestem napalona jak jakaś pierdolona dziwka, i przez długi czas uważałam, by już nigdy tak się nie podniecić.

Tego samego lata zostałam nazwana dziwką po raz drugi w swoim życiu. Moja rodzina była na kempingu z przyjaciółmi mamy i taty oraz piątką ich dzieci. Było lato, wakacje, Ölandia i morze, a ja czułam się dorosła i nawet całkiem ładna. Kupiłam sobie nową sukienkę z czarnego, połyskującego materiału, obcisłą i bez rękawów – pamiętam, że w te wakacje miałam ją na sobie prawie codziennie.

Pewnego wieczoru poszłam z synem przyjaciół rodziców, Frankiem, do jedyne go kiosku na terenie kempingu, żeby kupić słodczyce na deser, i wtedy Frank powtórzył mi, co jego tata powiedział rodzinie przy kolacji – że w tej sukience wyglądam jak dziwka.

Nie wiem, czy zrobiło mi się wtedy smutno, ale pomyślałam, że to obrzydliwe, iż ich tata patrzy na mnie w ten sposób. I nigdy więcej nie włożyłam tej czarnej sukienki.

Trzeci raz nazwano mnie dziwką jakiś rok później w hotelowej windzie. Byłam w niej z chłopakiem, jechaliśmy na spotkanie z jego mamą, a oprócz nas było tam jeszcze trzech mężczyzn koło pięćdziesiątki, ubranych w garnitury. Jeden z nich długo mi się przyglądał, aż w końcu powiedział:

– No i co taka mała dziwka będzie robiła dzisiaj wieczorem?

Tak mnie to zszokowało, że odpowiedziałam grzecznie:

– Będę ze swoim chłopakiem.

Mężczyźni uznali to za wyjątkowo pocieszne i śmiali się przez całą drogę.

Mój chłopak nic nie powiedział, ale zwróciłam uwagę, że na jego twarzy i szyi pojawiły się duże czerwone plamy. Zrobiło mi się wstyd i chciałam przeproszać.

Odkąd skończyłam trzynaście lat, mniej więcej raz do roku słyszałam, że jestem dziwką. Od najróżniejszych mężczyzn, w przeróżnych sytuacjach. W knajpie, kiedy nie miałam ochoty flirtować, przez telefon, kiedy niezna-ny mężczyzna szeptał do słuchawki:

- Dziwka, dziwka, dziwka, dziwka.
- Aha – odpowiedziałam.
- Dziwka, dziwka, dziwka, dziwka – powtórzył, odłożyłam więc słuchawkę i tego wieczoru nie odbierałam już telefonu.

Sygnarów piętnujących moją nieskrępowaną chciwą było więcej. Nikt nie musiał od razu nazywać mnie dziwką, wystarczyły o wiele bardziej subtelne gesty. Jak wtedy, kiedy jeden z moich kochanków przyszedł do mnie na kolację.

Byłam wtedy singielką, zadowolona, że udało mi się przetrwać nudny związek z nudnym facetem, i nie miałam najmniejszej ochoty na wchodzenie w kolejną relację. Chciałam za to mieć wielu kochanków. Najlepiej jednego po drugim. Ten był nowy. Tylko całowaliśmy się na imprezie, ale były to głębokie i namiętne pocałunki, które dawały nadzieję na więcej. Wieczorem dzień później miał przyjść na kolację i wreszcie mieliśmy uprawiać seks.

Było cudownie. Po wszystkim leżałam naga i zadowolona na jego ramieniu. Wtedy nagle zapytał, czy nie mam mu za złe, że wziął ze sobą prezerwatywy. W pierwszej chwili nie zrozumiałam. O co mu chodzi? Przecież było bardzo przyjemnie.

On zrobił zawstydzoną minę i powiedział, że mogło to przecież wyglądać na zaplanowane, jakby uważał za oczywiste, że będziemy uprawiać seks. Wiedziałam, że w jego pytaniu kryje się troska dobrze wychowanego mężczyzny, ale nie mogłam nie zauważyć, jaki był zszokowany, kiedy zrozumiał, że ja też planowałam seks. Nie mieściło się to w jego obrazie świata i wyobrażeniach o tym, kto powinien zdobywać, a kto być zdobywany.

Już nigdy więcej do mnie nie przyszedł i zrozumiałam, że kolejny raz złamałam niepisaną, durną zasadę.

To, że trzynastoletni chłopak po delikatnych pieszczotach rozpuszcza plotki o dziewczynie w swoim wieku, nie jest chyba takie dziwne, skoro nawet adwokaci w garniturach nazywają kobiety dziwkami, broniąc gwałcicieli. Po raz pierwszy rozmawiałam z takim adwokatem, przeprowadzając wywiad do mojego filmu dokumentalnego na temat grupowego gwałtu w Södertälje, kiedy to dziewczyna, która chciała, żeby podwieźć ją z knajpy do domu, została zgwałcona przez kilku mężczyzn – przez każdego po

kilka razy. Po prostu wozili ją całą noc i gwałcili – na szkolnym dziedzińcu, koło basenu, na parkingu, w mieszkaniu. Ich cały czas było kilku, ona zaś była jedna i do tego pod wpływem alkoholu.

Kiedy doszło do procesu, zabrakło precedensu. Sąd apelacyjny dokonał interpretacji prawa i uznał, że kobieta była zbyt pijana, by można było mówić o gwałcie – żeby zakwalifikować sprawę jako gwałt, ofiara musiałaby stawiać fizyczny opór, a tego nie robiła. Nie była jednak wystarczająco pijana, żeby można było mówić o wykorzystaniu – łagodniejszej formie napaści na tle seksualnym. Zdaniem sądu pamiętała zbyt wiele z rzeczonej nocy, a żeby sprawa mogła zostać uznana za wykorzystanie seksualne, ofiara musiałaby być pijana właściwie do nieprzytomności.

Chociaż kobieta była sama, a napastników było kilku, sąd apelacyjny nie uznał, że była bezsilna. Przeciwnie, w wyroku uznano za znamienne, że nie próbowała uciekać, mimo że miała do tego kilka okazji.

Pierwszym obrońcą, z jakim się spotkałam, był Björn. Jego kancelaria mieściła się przy jednej z głównych ulic Södertälje, miał jakieś sześćdziesiąt lat i, jak sam powiedział, kochał grę w golfa. Według owego Björna najciekawszym aspektem całej sprawy był fakt, że za kobietą ciągnęła się opinia dziwki.

– Sama opowiadała, że po przyjeździe do Sorundy została tak naznaczona. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego uznano ją za dziwkę, co jest znamienne, biorąc pod uwagę, że dopiero co się wprowadziła i okoliczni mieszkańcy jej nie znali.

– Ale w jaki sposób, według pana, podważa to jej wiarygodność? – pytałam.

– To podważa jej wiarygodność, ponieważ, jeżeli ta opinia jest prawdziwa, musi być ku temu jakiś powód. Czyli że wcześniej utrzymywała kontakty seksualne, luźne kontakty.

Nie bardzo nadażalam za jego rozumowaniem i nie byłam przygotowana na taką argumentację, więc dalej pytałam, co ma na myśli. Björn motał się coraz bardziej w swoich dziwacznych tłumaczeniach, aż w końcu zaczął mówić, jaka była brzydka. Że przez swój wygląd mogła nie być przyzwyczajona do męskiej adoracji i, w domyśle, zainteresowanie tych mężczyzn tak jej pochlebilo, że zgodziła się na wszystko.

Pozostali dwaj adwokaci, kiedy się z nimi spotkałam przy dwóch różnych okazjach, także opowiadali o brzydocie tej kobiety i o tym, że plotki o byciu dziwką nie biorą się przecież z niczego...

– Greta Garbo to z niej nie była – powiedział jeden z nich.

Nigdy, przenigdy nie zapomnę ich stylowych garniturów, przestronnych kancelarii i zaawansowanego wieku. Na zawsze wryło się to w moją pamięć. Jako klucz do zrozumienia, co tak naprawdę kryje się pod słowem dziwka: władza nad naszą seksualnością.

Podczas procesu z powodzeniem powoływali się zarówno na jej opinię, jak i „brzydotę” – to była linia obrony oskarżonych. Żaden sędzia tego nie przerwał, żadne stowarzyszenie adwokatów nie udzieliło im potem najmniejszej nagany. Wiem, bo sama dzwoniłam do stowarzyszenia z pytaniem, czy adwokatom wolno mówić takie rzeczy w czasie procesu, i przewodnicząca Anne Ramberg odpowiedziała mi, że tak.

Kilka lat później, przy okazji innej sprawy o gwałt, zebrała się grupa kobiet chcących uczestniczyć w procesie. W sądzie pierwszej instancji byli bowiem sami mężczyźni, nie licząc pokrzywdzonej Charlotte i jej pełnomocniczki, oskarżyciela posiłkowego. W rezultacie pozwalano adwokatom na zadawanie krzywdzących pytań i w dużej mierze koncentrowano się na jej wcześniejszych doświadczeniach seksualnych, jej „moralności seksualnej” i zwyczajach alkoholowych.

Kiedy więc po odwołaniu się od wyroku sprawa trafiła do sądu apelacyjnego, siedziałyśmy na sali całą dwudziestką i wściekle wbijałyśmy wzrok w adwokatów, kiedy ci zadawali pytania. Po wszystkim pełnomocniczka stwierdziła, że atmosfera na sali rozpraw była zupełnie inna. Pytania były po prostu bardziej rzeczowe i nie widać w nich było braku szacunku.

Tak naprawdę to chyba oczywiste, że na adwokatów i sędziów działa zarówno wzajemne poklepywanie się po plecach, jak i gniewne spojrzenia kobiet. W każdym razie na pewno wszyscy wiedzą, że system prawny i obowiązujące przepisy nie są w żaden sposób obiektywne czy też stworzone w próżni wolnej od wszelkiego wartościowania.

Myślę sobie, że jak długo nasz system prawny będzie sankcjonował tego typu zgniły pogląd na kobiety, tak długo będą istnieli mali chłopcy, którzy wyzywają swoje rówieśniczki, koleżanki z klasy od dziwek. I tak długo Isa-

dora i my – pozostałe napalone kobiety – będziemy mieć do czynienia ze sflaczałym albo półtwardym makaronem za każdym razem, kiedy to nam przyjdzie ochota przejąć inicjatywę.



## WSZYSTKO PALI

Mam trzynaście lat i właśnie zdałam sobie sprawę, że w zasadzie nie jestem wcale tak okropnie brzydka. Stoję przed lustrem w domu Cissi, ona stoi obok mnie – patrzymy na siebie i narzekamy. Niewypowiedziana zasada polega na tym, że najpierw Cissi mówi, jaka jest brzydka i gruba, ja głośno protestuję i mówię, że sama wyglądam jak małpiszon, a wtedy Cissi odpowiada mi okrzykiem: „Nieeee! Nie jesteś brzydka!”. Możemy tak stać w nieskończoność, powtarzając cały cykl raz za razem.

Mam jednak sekret, którego nigdy, przenigdy nie zdradzę Cissi: już nie uważam się za tak cholernie brzydką. Przeglądając się w lustrze, czuję czasem w brzuchu przyjemne łaskotanie. Wstydzę się tych uczuć, chodzi bowiem o to, żeby pogardzać sobą, jak tylko się da – wszystko inne jest wstrętne. Stoję więc nadal z Cissi przed lustrem, udając, że płaczę, i mówię:

– Dlaczego, dlaczego jestem tak strasznie, tak cholernie brzydka?

A wtedy Cissi zaczyna chyba naprawdę płakać i mówi:

– Jeżeli myślisz, że jesteś brzydka, to mnie uważasz chyba za potwora!

Ja muszę znowu zaprotestować.

– Nie o to mi chodziło! – wołam więc i płaczę jeszcze mocniej, aż wreszcie do drzwi puka mama Cissi i pyta, co robimy.

Patrzymy na siebie i na nasze czerwone od płaczu twarze – teraz na-

prawdę jesteśmy brzydkie – i wtedy Cissi mówi:

– Nic! Nic nie robimy!

Potem idziemy do kuchni i przygotowujemy tosty, które następnie smarujemy grubą warstwą masła i marmolady – ponieważ jesteśmy tak potwornie brzydkie i grube, nic już nie ma znaczenia. Równie dobrze możemy być jeszcze brzydsze, grubsze i bardziej przyszczate.

Naszą pogardę dla samych siebie należycie pielęgnowujemy, a kiedy zjawia się ktoś, kto swoimi głupimi komentarzami jest gotów ją podsycić, skwapliwie na to przystajemy.

Nasz nauczyciel matematyki i fizyki przedstawia się jako Nils i oznajmia, że interesuje go łowienie ryb i polowanie na łosie. Na pierwszej lekcji fizyki opowiada o swojej głupiej żonie, która nie wiedziała, że w hotelu w Hiszpanii nie może używać własnej suszarki do włosów. W Hiszpanii mieli inne napięcie w gniazdkach i choć próbował jej wytłumaczyć prawa fizyki, ona upierała się przy swoim. Fizyk pyta nas, czy wiemy, jak to się skończyło, a wtedy Henrik podnosi rękę i mówi, że suszarka pewnie się zepsuła.

– Masz absolutną rację, a to zdarzenie potwierdziło coś, co przeczuwałem od dawna. A mianowicie że kobiety zdają się mieć większe trudności z rozumieniem matematyki i fizyki niż mężczyźni.

Cała klasa wybucha śmiechem, łącznie ze mną i Cissi. Wygląda zresztą na to, że Nils mówi prawdę, już po kilku tygodniach bowiem widać, że wielu dziewczynom trudno jest nadążyć z materiałem zarówno z fizyki, jak i z matematyki. Sama nic nie rozumiem z jego lekcji i potwierdza się to na pierwszym sprawdzianie z fizyki, gdzie odpowiadam poprawnie na zaledwie trzy z dwudziestu pięciu pytań.

Nils często i chętnie opowiada o polowaniach na łosie, a my słuchamy z zainteresowaniem i zadajemy dużo pytań, bo o wiele fajniej jest słuchać o jego przygodach z łosiami, niż mieć lekcję matematyki.

– Nils, pokaż, proszę, jak zwabiłeś łosia, udając samicę w rui – mówię, na co uradowany Nils składa ręce w lejek, przykłada je do ust i wydaje donośny ryk, przypominający trąbienie.

Kiedy wszyscy wybuchają śmiechem, Nils jak gdyby budzi się z łosiowego snu, nagle poważnieje i spogląda na zegarek.



– No i skończyła nam się lekcja. Saro, czy mogę cię prosić, żebyś chwilę została?

Patrzę pytająco na Cissi, która szeptem oznajmia, że poczeka na zewnątrz.

Nils podchodzi i siada na brzegu mojej ławki.

– Saro, zauważyłem, że matematyka i fizyka niespecjalnie cię interesują.

– Noo, może nie aż tak bardzo – lawiruję ostrożnie.

– Wyszło to również na jaw na sprawdzianie z fizyki, który, mówiąc wprost, napisałaś beznadziejnie. Ale nie będę tolerował zakłócania lekcji przez zadawanie mi mnóstwa bzdurnych pytań o polowania na łosie, dlatego proponuję umowę. Jeżeli będziesz siedzieć cicho i przeglądać sobie jakieś popularnonaukowe pismo, powiedzmy „Illustrerad Vetenskap”, dam ci na koniec dwóję bez względu na to, jak sobie poradzisz na sprawdzianach.

Patrzę na niego zdziwiona i próbuję szybko rozważyć to w myślach. Nie zdawałam sobie sprawy, że przeszkadzam, ale wiedziałam, że jestem głupia, że Nils też tak myśli i że choćbym nie wiadomo jak się starała i zakuwała, nic to nie da.

– Okej – mówię.

Nils się uśmiecha i poklepuje mnie mocno po ramieniu.

– Dobrze, no to się zgadzamy. Słodka z ciebie dziewczyna. Nie musisz znać ani fizyki, ani matematyki.

– Okej – odpowiadam krótko i wychodzę na korytarz, gdzie czeka na mnie Cissi.

Coś się stało, coś się zmieniło – Cissi to czuje i ja też.

Któregoś razu, kiedy stoimy przed galerią, widzimy, że w naszą stronę idzie Stefan. Ma dwadzieścia dwa lata, ciemne, kręcone włosy i czarne, wąskie dżinsy – jest tak strasznie dorosły i obłędnie przystojny, a teraz tu idzie. Widziałam go wiele razy na mieście. Tęskniłam za kimś takim jak on, a teraz nadchodzi. Naprawdę idzie dokładnie w naszą stronę i na nas patrzy. Patrzy na mnie z uśmiechem, więc ja też się uśmiecham i stoję w zupełnym bezruchu, ponieważ wiem, że jeśli się poruszę, zacznę się trząść i nie będę mogła nad tym zapanować.

– Hej! – mówi, patrząc mi prosto w oczy.

– Hej! – odpowiadam, odwzajemniając spojrzenie.

– Widuję cię czasem na mieście. Mam na imię Stefan, a ty?

– Sara – mówię i próbuję zrozumieć sens jego słów.

Mówi, że mnie widuje. Widuje mnie? Na mieście?

– Chcesz pójść ze mną do domu na kawę? Mieszkam tuż za galerią.

Patrzę na niego, a potem na Cissi, która zawstydzona wpatruje się w ziemię, i myślę gorączkowo, co tu zrobić, teraz, kiedy nagle nie potrafię się już przejmować. To jest nowa gra, inna od naszego zwyczajowego konkursu brzydoty, i nie wiem, jakie reguły właściwie w niej obowiązują. Czuję ciepły dreszcz, przechodzi od nóg w kierunku podbrzusza, następnie przechodzi żołądek i dociera do ust, które, jak z przerażeniem zauważam, wyginają się w szerokim, nieskrępowanym uśmiechu.

Stefan również uśmiecha się szeroko i wyciąga do mnie rękę, a ja po prostu ją chwytam i idę za nim. Odwracam się i spoglądam na Cissi, która już nie wpatruje się w ziemię, tylko patrzy za nami.

Trzymając się za ręce, idziemy do niego do domu. Szeroko uśmiechnięci. Stefan ma ciepłą dłoń, co jakiś czas ściska mnie za rękę i patrzy na mnie sympatycznymi, brązowymi oczyma, w których połyskuje światło.

Zatrzymuje się przed furką, przyciąga mnie do siebie i całuje. To głęboki, gorący pocałunek, od którego wszystko zaczyna wirować i pulsować. Gdyby tylko wiedział! Gdyby wiedział, jak okazałe były zawsze moje sny na jawie, jak tęskniłam za tym, żeby mnie ktoś adorował, jak pragnęłam bliskości. Gdyby wyczuł, że jestem wygłodzona, nigdy by się nie odważył tego zrobić. Ale on nic nie wie, więc przywieram mocno do niego i czuję, jak między nogami nabrzmiwam i wilgotnieję.

Ma małe, jednopokojowe mieszkanie z wnęką kuchenną, półkami z Ikei, na których stoi mnóstwo płyt, łóżkiem i niewielkim stolikiem. Zaprasza mnie na kawę i bułeczki cynamonowe, które upiekła jego mama, i mówi, że zawsze je te bułeczki na śniadanie. Myślę, że to może dlatego ma taki przykry oddech. To mały szczegół, który skwapliwie ignoruję, kiedy jestem tak szczęśliwa i rozgorączkowana.

Całujemy się na jego niepościelonym łóżku. On głaszcze moje małe piersi i jest wspaniale.

Leżę z rękoma wyciągniętymi za głowę, zamykam oczy, rozkoszuję się mijającymi godzinami i jednocześnie coraz bardziej się pocę. Drażni mnie

jego zarost, a kiedy robimy krótką przerwę, widzę w lustrze, że moje wargi i policzki są podrapane i zaczerwienione.

Stefan stoi przy półkach, pokazuje płyty i opowiada o wydaniach, które są szczególnie cenne, a ja uśmiecham się szeroko i co pewien czas powtarzam: „Aha” – kompletnie nie mamy o czym rozmawiać, więc wracamy do pieszczot.

Nagle robi się późny wieczór. Niedługo zapadnie noc, a mnie na myśl o tym, że mama i tata pewnie się zamartwiają, nie wiedząc, gdzie jestem, włącza się duch przekory i czuję czystą radość z ich nieszczęścia, istne *Schadenfreude*. Niech się zastanawiają, myślę, i postanawiam, że tu przenocuję.

Coś we mnie urosło. Chęć, aby rzucić wyzwanie losowi, stracić wszelką kontrolę. Niech się dzieje, co chce.

Leżymy na jego niepościelonym łóżku, on rozpina spodnie i kładzie moją rękę na swoim ptaku, ja zaś gładzę go tak, jak chyba powinno się to robić. Nie jestem całkowicie pewna, bo w swoim czternastoletnim życiu wcześniej dotykałam fiuta tylko raz. Miałam trzynaście lat i migdaliłam się z chłopakiem z dziewiątej klasy – i wtedy go chwyciłam. Znałam to z książki Stephena Kinga, w której żona głównego bohatera podchodzi do niego, gdy ten siedzi w wannie, i łapie go za fiuta. Opis był niesamowicie podniecający i była to jedyna informacja o funkcjonowaniu męskich narządów, jaka do tamtej pory do mnie dotarła. Więc ścisnęłam i ścisnęłam, aż w końcu biedny chłopak powiedział, żebym spróbowała ruszać ręką w górę i w dół.

Teraz, ze Stefanem, wiem już, co to jest napletek i że trzeba pociągać w górę i w dół.

Wytryskuje mi na rękę – to jest ciepłe i śluzowate. Stefan całuje mnie w czoło, a ja idę po papier toaletowy, którym się wycieramy. Wciąż kompletnie nie mamy o czym rozmawiać, więc pieścimy się jeszcze trochę.

Nie jestem już tak spocona i rozgrzankowana, nie czuję już pulsowania w całym ciele i być może nawet prawie, ale tylko prawie, zaczyna mi się nudzić. Widzę na zegarku, że jest już po północy, i zaczynam się zastanawiać, kiedy pójdziemy spać, bo nagle ogarnia mnie wielkie zmęczenie. Stefanowi z kolei chyba nie w głowie sen. Oddycha ciężko, a jego palce błądzą po moim ciele, szukając zakamarków, których wcześniej nie dotykał.

Czuję się dziwnie i nieswojo, kiedy próbuję cofnąć jego rękę, którą teraz wykonuje mocne i rytmiczne pchnięcia wewnątrz mnie. Szczypie i draży, jak przyrząd ze stali nierdzewnej. To już nie jest ciepła ręka. Próbuję spojrzeć w jego piękne, brązowe oczy, ale on je zamyka i staje się nieosiągalny. Robi mi się zimno i chcę zmienić pozycję, ale Stefan chwytą mnie za rękę i kładzie się na mnie, że aż trudno mi się oddycha. Gmera przy spodniach i czuję, jak jego twardy członek próbuje się dostać między moje ściśnięte nogi. Próbuję stawiać opór, napinam mięśnie, ale on jest o wiele silniejszy i powoli rozszerza mi nogi.

Akurat w tej chwili, kiedy już myślę, że się uduszę, bo brak mi powietrza, akurat wtedy, kiedy naprawdę zaczyna ogarniać mnie panika, rozlega się dzwonek do drzwi. Stefan zamiera, otwiera oczy i patrzy na mnie. Wygląda na zdziwionego. Ja z kolei zauważam, że twarz mam mokrą od łez. Najwidoczniej płakałam, choć nie zwróciłam na to uwagi. Ocieram łzy wierzchem dłoni, a Stefan, nadal wyglądający na zaspanego, przechodzi przez pokój i otwiera drzwi. Za drzwiami stoi mój tata. Ma poważną minę.

– Masz pięć minut na zejście do samochodu, czekam na ciebie – mówi, odwraca się i odchodzi.

Czerwienię się ze wstydu, że zostałam zdemaskowana jako czternastolatka, którą jestem, i widzę, że policzki Stefana również są czerwone. Zbieram ubrania, torbę z podręcznikami i starannie zawiązuję martensy, Stefan zaś siedzi na brzegu łóżka i mi się przygląda.

Panuje cisza, szumi mi w głowie i jestem w stanie myśleć tylko o tym, jak wiele płyt udało mu się zgromadzić. Bardzo dużo, całe mnóstwo.

W samochodzie, w drodze do domu, tata milczy, ale nie jest to karcąca cisza i cieszę się, że na mnie nie krzyczy. Patrzę prosto przed siebie, na drogę i widzę, jak światła samochodu wrzynają się żółtymi smugami w czarną noc.

Mój mózg powoli wraca do działania i zaczynam się zastanawiać, jak wiele tata zrozumiał. Co zobaczył. Ale się nie odzywam, nie mam odwagi nic powiedzieć i o nic zapytać, ponieważ czuję, że moje policzki nadal są czerwone od wstydu, łez i ostrych pocałunków.

Później jednak, kiedy leżę w swoim łóżku, w swoim pokoju, we własnym ciele, a cały dom pogrążony jest w ciszy i we śnie, wtedy nadchodzi.

Strach. Przepaść o ostrych krawędziach, prowadząca prosto w dół.

Leżę wyciągnięta pod kołdrą i bez końca wpatruję się w ciemność, aż do momentu, kiedy słyszę, jak mama wchodzi po schodach i nakrywa do śniadania.

Idę do szkoły jak zwykle, a kiedy Cissi pyta, jak było i czy jestem zakochana, odpowiadam, że tak. Może trochę. Ale on jest dużo, dużo starszy. A poza tym jestem tak cholernie brzydka, że nigdy nie będzie chciał ze mną być.

Stefan dzwoni następnego wieczoru.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.

Przez chwilę milczy, ja też, aż w końcu mówi, że między nami chyba się nie uda.

– Aha – odpowiadam. – To cześć.

– Cześć – mówi Stefan.

Jakiś czas później, kiedy wieczorem wracam od Cissi, to dzieje się znowu. Nagle obezwładnia mnie czarna przepaść. Jest jesień, wieczorami od niedawna jest ciemno i zimno. Jadę na rowerze tą samą drogą co zwykle, między willami i szeregowcami, na ulicach jest pusto i cicho, aż nagle słyszę samochód, który powoli za mną jedzie. Zaczyna mi szumieć w głowie, w pierwszej chwili nie mam odwagi odwrócić się i spojrzeć, ale wiem, że tam jest. Przyspieszam i słyszę, że kierowca również zwiększa prędkość. Na nogach czuję ciepło przednich świateł. Szum w głowie przechodzi w huk i kiedy widzę przed sobą plac zabaw, zjeżdżam z drogi i pedałuje najszybciej, jak potrafię, pomiędzy huśtawkami, piaskownicami i drabinkami. Widzę samochód, który musi teraz jechać równoległą drogą. Na placu zabaw stoi budka telefoniczna, zatrzymuję się, ale ręce drżą mi tak bardzo, że nie mogę nawet wrzucić monety w niewielką szczelinę. W końcu mi się udaje i wybieram numer do domu. Wiem, że tata siedzi tam na skórzanej kanapie i popija nocny grog.

– Tato! – wykrzykuję płaczącym głosem. – Tato! Jedzie za mną jakiś samochód!

– Co ty mówisz? Gdzie jesteś? – odpowiada tata i słyszę, że ma wystraszony głos, przez co boję się jeszcze bardziej i płaczę tak mocno, że nie

mogę mówić.

– Sara! – słyszę, jak krzyczy po drugiej stronie. – Musisz mi powiedzieć, gdzie jesteś!

– W parku – chlipię między jednym pociągnięciem nosem a drugim. – Jestem w parku, a on też gdzieś tu jest!

– Zostań tam, gdzie jesteś, już po ciebie idę! Słyszysz, co mówię?

– Tak – odpowiadam przez łyżę. – Pospiesz się!

Nie ruszam się z miejsca i boję się patrzeć, ponieważ wiem, że budka telefoniczna jest oświetlona, a park czarny jak noc i że on w każdej chwili może się pojawić. Nieznany kierowca, mężczyzna bez twarzy.

Nic się jednak nie dzieje, aż w końcu przychodzi tata, szarpnięciem otwiera drzwi budki i przytula mnie mocno i długo.

Wkłada rower do bagażnika, a kiedy już siedzimy w samochodzie, widzę, że jemu też trzęsą się ręce.

– Zapamiętałaś numer rejestracyjny?

– Nie, nie miałam odwagi spojrzeć. Po prostu pedałowalam – odpowiadam.

– Jakim cholernym głupkiem trzeba być? – pyta tata ze złością. – Rozumiesz chyba, że musisz mieć numer rejestracyjny, jeśli mamy go złapać?

Znów zaczynam płakać i próbuję wyjaśnić, że ze strachu o tym nie pomyślałam. Tata przez całą drogę pomstuje. Mamrocze coś o głupich babach i idiotkach, a ja po raz kolejny wpatruję się w ciemną noc. Widzę, jak światła samochodu żółtymi smugami wrzynają się w mrok, i czuję ulgę na myśl, że nie powiedziałam o Stefanie. Co za cholerne szczęście, że nikomu nie wspomniałam o tym ani słowem.

Jak wytłumaczyłabym swoje podniecenie i to, jak wszystko wirowało i pulsowało, by później nagle przestać? Jak miałabym wyjaśnić fakt, że naraż wszystko ustało, a jego palce raptem zrobiły się twarde?

Jest jesień, cały czas marznę i każdego dnia po szkole wchodzę do łóżka i przykrywam się kołdrą, żeby było mi ciepło. Leżąc, fantazjuję o dorosłym życiu w Nowym Jorku. O mężczyznach ubranych w garnitury, którzy stoją w szeregu i chcą się ze mną umówić. Kochają mnie, a ja ich i kocham się z nimi, z każdym po kolei. Są mi za to wdzięczni, przepelnia ich radość, mówią, że nigdy nie spotkali kogoś takiego jak ja. Nigdy w życiu. Mam

czternaście lat i nie mogę przestać tęsknić, choć domyślam się, że ta tęsknota mi szkodzi. Chcę bardzo mocno i bardzo dużo. Przede wszystkim chcę być dorosła i uwielbiana.

Pewnego dnia w autobusie to marzenie niemal staje się rzeczywistością. Zostawiłam w domu kartę autobusową i próbuję przekonać kierowcę, że mam dopiero czternaście lat, więc powinnam zapłacić za ulgowy dla młodzieży. Kierowca uśmiecha się do mnie i mówi, że bycie tak piękną w wieku zaledwie czternastu lat powinno być prawnie zabronione. Następnie mówi, że nazywa się Jens i ma dwadzieścia jeden lat.

Głupkowato szczerzę zęby i czuję, jak całą klatkę piersiową rozgrzewa mi przyjemne mrowienie, a dwie godziny później siedzimy naprzeciwko siebie i popijamy kawę w Hallströms café.

Tym razem nie popełniam tego samego błędu, co ze Stefanem. Choć niewiele brakuje. Zanim spotykamy się u niego w domu, mija sporo czasu. Całymi miesiącami chodzimy na niekończące się spacery, oglądamy setkę filmów w kinie i spędzamy niejedną godzinę w moim pokoju, z mamą i tatą w bezpiecznej odległości – w kuchni. Wszystko jest jednak tylko kwestią czasu, nieprzerwanie bowiem tęsknię za prawdziwą dorosłością. I wiem, co muszę zrobić, żeby wypełnić nasz miłosny kontrakt. Mój kontrakt dorosłości.

Pewnego wieczoru postanawiamy, że nadszedł już czas, i chwilę później Jens wchodzi w moją suchą, ciasną czternastoletnią cipkę, która nie chce jego ptaka, tylko czegoś innego. Piecze i boli, a czerwona plama krwi spoziera na nas wściekle z białego prześcieradła. Teraz jednak wszystko jest na serio i spędzam u Jensa praktycznie każdą noc. W szkolnej torbie, oprócz książek, długopisów i pomadki Lypsyl, mam szczoteczkę do zębów i parę majtek.

Jens jest miły i sądzi, że mnie kocha, a ja sądzę, że Kocham jego. Słuchamy Sinéad O'Connor i każde z nas zapewnia to drugie, że nic, ale to nic nie może się z nim równać.

Kiedy się Kochamy, on szepcze mi do ucha różne piękne rzeczy, których lubię słuchać. Dzięki jego słowom zapominam o tym, że moja cipka jest sucha i ciągle piecze. Dopiero po miesiącu orientujemy się, że zaraził mnie chlamydią i wirusem HPV. Wyniki badań dostaje przez telefon i widzę, jak

czerwienieje na twarzy.

– To pewnie po letnich podróżach kolejną – tłumaczy zawstydzony.

Zgięta wpół kuśtykam do łazienki, bo gorąca kąpiel to jedyne, co na krótką chwilę jest w stanie uśmierzyć ból. Mama pyta, dlaczego boli mnie brzuch, a ja odpowiadam po prostu, że nie wiem.

Kiedy mówi, żebym zapisała się do ginekologa, nie protestuję. Recepcjonistka w przychodni jest miła i wyrozumiała, zapisuje mnie już na następny tydzień. Nie protestuję też, kiedy mama chce pójść ze mną. Nigdy jeszcze nie byłam u ginekologa, ale podejrzewam, że to okropne i nieprzyjemne.

Mama zostaje na zewnątrz, a ja wchodzę do gabinetu. W środku czeka na mnie ginekolog, mężczyzna. Siedzi plecami do mnie, ale obraca się na krzesło na dźwięk otwieranych drzwi. Uśmiecha się szeroko, a ja ze zdziwieniem odkrywam, że to nasz sąsiad.

Leżę więc na fotelu ginekologicznym z rozłożonymi nogami i czekam, aż zbada mnie Per-Ove, który mieszka w żółtej willi na naszej ulicy. Zwykle witam się z nim, przejeżdżając tamtędy rowerem, bo Per-Ove często pracuje w ogrodzie.

– No dobrze – mówi, naciąga gumowe rękawiczki, siada i zagląda pomiędzy moje nogi. – Jak tam mama i tata?

– Chyba dobrze – odpowiadam cicho, bo nagle kończy mi się powietrze i czuję ścisk w gardle.

– No to świetnie – kontynuuje i wkłada we mnie coś, co wygląda jak łopatką do tortu wykonana ze stali nierdzewnej. – Zdążyły już wam urosnąć jabłka na drzewach?

– Nie wiem – odpowiadam krótko, bo między nogami pali mnie żywym ogniem i muszę się koncentrować, żeby nie krzyknąć.

– U nas jabłka też późno w tym roku – mówi Per-Ove i gwałtownym szarpnięciem wyciąga szczypce.

– Aj – chlipię, a z oczu zaczynają płynąć mi łzy.

– Spokojnie, to nie było takie groźne – pociesza i wkłada zwitek waty w moje chore narządy. – Tak to jest, kiedy człowiek idzie w tango – mówi z krzywym uśmiechem.

Patrzę w jego oczy, które chcą przewiercić mnie na wylot. Małe, świńskie oczka zatopione w zwałach tłuszczu. Na samym czubku jego łysiny mienią



się perełki potu. Przyglądam się czarnym porom, zmieniającym kolor jego przekrwionego nosa, i czuję, że fakt, iż jego nos jest tam w dole, o wiele za blisko, jest najbardziej poniżający ze wszystkiego.

– Tak, to mi bez wątpienia wygląda na wirus HPV. Co do chlamydii, to będziemy wiedzieć za kilka dni, ale licz się z tym, że to również złapałaś, skoro twój chłopak był zarażony – mówi Per-Ove, ściąga rękawiczki i wrzuca je do worka na śmieci.

Szczerzy się szeroko i bez skrępowania patrzy, jak niezdarnie schodzę z fotela.

Kiedy mam włożyć majtki, cała się trzęsę, ponieważ Per-Ove nadal się na mnie gapi. Siedzi za biurkiem, odchylony do tyłu, krzyżując ręce na swoim wydatnym brzuchu. Nie mówi ani słowa i cały czas się szczerzy, kiedy się ubieram, aż nagle czuję, jak spod wstydu wyrasta we mnie wściekłość. Szalejąca, dzika wściekłość. I kiedy odwracam się w drzwiach, czuję nienawiść. Patrzę prosto w szydercze oczy Pera-Owego, widzę jego wyszczerzone zęby i... tak, teraz nienawidzę naprawdę.

Chcę coś powiedzieć. Może nawet go zranić, bo jestem już zmęczona tym, że mam czternaście lat. Zmęczona byciem wciąż sterowaną – przez chłopaków, mężczyzn bez twarzy, przez tatę i mamę.

Ale najbardziej ze wszystkiego chcę, żeby Perowi-Owemu zniknął z twarzy ten jego brzydki, tłusty, głupkowaty grymas.

– Niech się pan tak nie cieszy – mówię, odwzajemniając spojrzenie. – Nie wie pan, że wszyscy myślą, że mężczyźni ginekolodzy są obleśni?

Per-Ove sztywnieje, na ułamek sekundy wytrzeszcza oczy, po czym otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ja jestem szybsza.

– Pieprzony perwers sadysta – cedzę przez zęby i z hukiem zatrzaskuję za sobą drzwi.

W poczekalni widzę mamę wstającą z sofy i wściekłość szybko ze mnie spływa, a na jej miejsce przychodzi wielki wstyd.

– Co powiedział? – pyta mama, kiedy opuszczamy poczekalnię.

– Że mam chlamydię i wirusa HPV – odpowiadam.

Mama nic nie mówi, idzie tylko długim szpitalnym korytarzem, patrząc prosto przed siebie.

W ten to sposób, milcząc, idziemy ramię w ramię aż do windy na samym

końcu korytarza. Mama zaraz wróci do pracy, a ja do szkoły.

Winda nadjeżdża i wchodzę do środka, ale kiedy się obracam, widzę, że mama nie weszła za mną. Nadal stoi na korytarzu i po raz pierwszy patrzy mi w oczy.

– Że też ci nie wstyd – mówi, kiedy zamykają się drzwi windy.

Jej wargi są wąskie i widzę, że drżą ze złości.

Zaskoczona patrzę na zamknięte drzwi i myślę, że to dziwne, iż nie rozumiała. Tego, że jedynym uczuciem, jakie mam w sobie, jest wstyd. Że wypełnia mnie cała. Czyżby wzięła go za dumę? Nigdy nie wytłumaczę, że po prostu próbowałam przetrwać. Ucieczka z domu do Jensa była możliwością, wtedy jedyną, tym bardziej że nie było rodzica, który mógłby mnie powstrzymać.

Od seksu z Jensem czułam pieczenie i byłam obolała, ale i tak wolałam to niż bycie świadkiem ich upokorzenia. Tylko w ten sposób mogłam uniknąć zarażenia się ich lękiem.

Tak to właśnie wyglądało, nawet jeśli wolałabym inny sposób na stanie się dorosłą niż te dobrowolne gwałty. Może gdybym była brzydka... Albo była chłopakiem...



## PAW

Jeżeli kiedykolwiek urodzi mi się córka, mam nadzieję, że nie będzie słodka. Bycie słodką dziewczynką czyni cię zdobyczą. Łatwą ofiarą całego tego gównianego, seksistowskiego wychowania do życia w społeczeństwie. Tego, przez które dziewczynki myślą, że ich wartość tkwi w wyglądzie.

Jeżeli nie jesteś aż taka słodka, istnieje szansa, że sobie poradzisz, rozwijając jakiś inny talent. Na przykład dobrze sobie radząc w szkole.

Wiek czternastu lat i słodycz, w połączeniu z nieograniczoną potrzebą zdobywania potwierdzenia, był dla mnie katastrofalny w skutkach. To czysty fart, że nie skończyło się to gorzej.

Kiedyś przez pewien czas miałam ogoloną głowę – nigdy nie byłam tak brzydka jak wtedy i nigdy też nie czułam się taka wolna. Później znów zaczęłam tęsknić za swoją słodyczą. Tak się objawia pragnienie poklasku.

Uczucie bycia niewidzianą potrafi wywołać taką ssącą tęsknotę, że człowiek w zasadzie robi, co mu się podoba. Nawet jeśli w braku zainteresowania ze strony moich rodziców kryła się pewna doza swoistej wolności. Czasami cieszę się, że nigdy nie zapytali, czy odrobiłam lekcje, jak poszło mi na sprawdzianie, co narysowałam albo pomyślałam. U niektórych moich przyjaciół, którzy wychowywali się w domach wyższej klasy średniej, żądania rodziców były źródłem rozmaitych lęków i poczucia, że nie jest się wystarczająco dobrym.

Choć może mimo wszystko jest łatwiej, jeśli wymagania pochodzą od rodziców, a nie od siebie samego. Przeciwko rodzicom można się przynajmniej zbuntować, a wydaje mi się, że to łatwiejsze niż bunt przeciwko sobie.

Moja chęć zyskania potwierdzenia nigdy tak naprawdę nie zniknęła, przyjęła tylko inne formy.

To mniej więcej wtedy, kiedy zaczęły nawiedzać mnie natrętne myśli o tym, że jestem pawiem, zrozumiałam, że moja praca ma nie tylko dobre strony. Dziennikarstwo przez długi czas było jedyną dziedziną, w której czułam się utalentowana, choć tak naprawdę pogardzam mitem, szerzonym z pełną powagą przez artystów, wedle którego człowiek po prostu rodzi się z „talentem”. Z czymś, co się po prostu ma albo nie. Dziwnym trafem ludzie, którzy mają władzę definiowania sztuki i udzielania przestrzeni artystom, za utalentowanych uważają zazwyczaj białych mężczyzn z klasy średniej.

Nienawidziłam każdej mowy wygłaszanej przez rektora Dramatiska institutet na zakończenie zimowego i letniego semestru. Zawsze sprowadzały się do tego, aby pokazać, że niektórzy z nas są utalentowanymi artystami, inni zaś nie. Naiwne myślenie zdiadziałego faceta, uważającego się za przedstawiciela elity.

Mimo wszystko jednak pożądanie kiełkowało, a ja właśnie na uczelni po raz pierwszy w życiu czułam się dostrzeżona i zyskałam potwierdzenie.

Cisza w Szwedzkim Radiu była szokiem. Ta cisza grzmiała, ugięła się pod ciężarem niezyczliwości i wylądowała na mojej kruchej tęsknocie za tym, żeby ktoś mnie dostrzegł. Pamiętam, jak zdziwiło mnie to, że nikt się nie odezwał, kiedy wyemitowano mój pierwszy dokument. Ani szefostwo, ani koledzy. A ja myślałam, że świat się zatrzyma.

Dopiero po kilku latach zrozumiałam, że nie miało to nic wspólnego ze mną, z moim ewentualnym talentem albo brakiem wartości – po prostu wynikało z panującej kultury.

Paw zaczął pojawiać się w mojej głowie tuż po tym, jak zdobyłam nagrodę za dokument. Do tamtej pory taka nagroda wydawała mi się najlepszym potwierdzeniem, jakie mogłam sobie wyobrazić. A jednak, co dziwne, kiedy już to się stało, nie czułam nic. Prawie się nie ucieszyłam, gdy zaś jeździłam na rowerze, robiłam zakupy czy odbierałam Siggego z przedszkola,

w mojej głowie pojawiały się obrazy pawia. Kiedy stałam przed lustrem i wplatałam we włosy żółtą wstążkę, widziałam tylko pawia.

Pustka tego wszystkiego stała się nagle bardzo widoczna. Jak wtedy, kiedy miałam wziąć ślub i było wesoło do momentu, gdy trzeba było pokazać się gościom. Wówczas po raz pierwszy zrozumiałam, jak wielkim przedstawieniem jest ślub. Show, na którym mamy się pokazać i być oglądani. Wtedy, jak i teraz, było mi wstyd, czułam się próżna i głupia, co odbiło się na moim nastawieniu. Dlaczego muszę dostać nagrodę? (Dlaczego muszę wychodzić za mąż?). Co to za gówniany wymysł? Startować w konkursie radiowym!

W ten sposób po raz kolejny siedziałam w gabinecie terapeuty Niklasa i płakałam, że jestem pierdolonym pawiem.

Dlaczego wszyscy nieszczęśliwi ludzie dalej żyją razem, rok za rokiem?

Myślę o tym, kiedy jem śniadanie i przyglądam się wszystkim parom. Siedzenie ze wszystkimi w stołówce skłania do refleksji typowych dla zgorzkniałej pizdy. Nie żebym miała choćby pojęcie, jak to naprawdę wygląda w ich małżeństwach. Kiedy jednak zabawiam się wyszukiwaniem pary, która wyglądałaby na szczęśliwą, wmawiam sobie, że raczej nieprzypadkowo wszyscy oni wyglądają na zaciętych i trochę zawstydzonych. Że w tej sali panuje nerwowa cisza. Widzę mężczyznę, który gestykuluje gwałtownie, opowiadając coś swojej żonie. Oni przynajmniej wyglądają, jakby było im ze sobą dość wesoło – spojrzenie, jakim żona obdarza męża, jest pełne zainteresowania.

Wszystkie kobiety w jadalni zwrócone są w stronę swoich mężczyzn i na nich kierują wzrok. Mężczyźni są albo odwróceny, albo patrzą przed siebie. Jak dotąd nie dostrzegłam ani jednej pary, w której mąż patrzyłby na żonę. Nawet kiedy oboje siedzą naprzeciwko siebie, spojrzenie mężczyzny skupione jest gdzieś na horyzoncie, podczas gdy kobieta czujnie patrzy mu w oczy. Wciąż gotowa, aby się uśmiechnąć albo odparować cios.

Najbardziej radosne są dwie kobiety w średnim wieku siedzące przy stole pełnym kwiatów i świec. Zwróciłam na nie uwagę, kiedy rozległ się dźwięk odkorkowywanej przez kelnera butelki szampana. Prawdopodobnie któraś z nich obchodzi urodziny. Od razu robi mi się ciepło. To takie piękne. Widzę, jak wznoszą toast, całe czerwone na twarzach. Może, podobnie jak ja,

czują, że nie pasują do tego getta par? Poza nimi otaczają mnie pary, pary i jeszcze raz pary, plus nieliczne rodziny z dziećmi.

Może to wdowy? Albo rozwódki? Nie towarzyszą im mężczyźni (wyglądają zbyt przeciętnie na lesbijki, choć to w samej rzeczy jeszcze jeden z moich niezliczonych przesądów). Będąc kobietą w średnim wieku, po prostu nie podróżuje się bez partnera, jeżeli się go ma. A przynajmniej jest to niezwykle rzadko spotykane. I, na dobrą sprawę, dotyczy to również mnie. Mężczyźni jeżdżą samotnie po świecie i nikogo to nie dziwi. Kiedy jednak kobiety, niezależnie od wieku, robią to samo, ludzie zaczynają się zastanawiać, co jest nie tak.

Wychodząc z jadalni, widzę radośnie gestykującego mężczyznę. Stoi z żoną przy poręczy i patrzy na morze. Tym razem również gwałtownie macha rękami, jakby naprawdę miał coś do opowiedzenia, a może rzeczywiście ma. Jednak nawet jeśli tak nie jest, kocham go za to, że przynajmniej próbuje. Kobieta wygląda na szczęśliwą i nie tak zgnębioną jak reszta kobiet tu, w La Quinta Park. Obserwując bawiące w hotelu pary, dochodzę do wniosku, że mówią przede wszystkim kobiety. Nawet te zgnębione starają się podtrzymać jakąkolwiek rozmowę.

Zastanawiam się, o czym myślą ci wszyscy cisi mężczyźni. Nikt mnie chyba tak nie prowokuje jak milczący mężczyzna. Taki obrazek dziwnie kontrastuje z tym, jacy mężczyźni potrafią być głośni w innych sytuacjach. Dlaczego więc tak często milkną w bliskich relacjach? Milczenie i zamknięcie Johana przerażają mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Pamięć ciała sprawia, że od razu się garbię i czuję świad od atopowego zapalenia skóry. Nagle mam siedem lat i czuję ciężar ciszy między mamą i tatą. Tej ciszy, która zawiera w sobie wszystko. Groźnej i pełnej nie-spo-tkań. Zorganizowanej formy nieprzeżytego życia.

Przez pamięć ciała jestem już na zawsze wyczulona na ciszę pomiędzy ludźmi.

Milczący ludzie sprawiają, że czuję się niepewnie – budzą we mnie pogardę. Z miejsca uznaję ich za nieżycziwych.

Kiedy Isadora w pierwsze święta po wyjściu za mąż jedzie z Bennettem do Paryża, on nagle milknie.

*W czasie całej długiej jazdy samochodem z Heidelbergu do Paryża Bennett prawie nie odzywał się do mnie. Milczenie jest najbardziej tępym ze wszystkich narzędzi. Zdaje się walić w ciebie obuchem. Wbiła cię coraz głębiej i głębiej w poczucie winy. Sprawia, że głos wewnętrzny oskarża cię bardziej gwałtownie, niż byłby to w stanie zrobić głos z zewnątrz.*

Wiem dokładnie, co masz na myśli, Isadoro. Chciałabym być tam z tobą w charakterze świadka. Przyjaciółki, która by ci przypomniała, że nie zasłużyłaś sobie na jego karzące milczenie. Która mogłaby powiedzieć: „Kij w oko temu milczącemu pacanowi. Niech sobie siedzi w hotelu i się dąsa. Chodź, napijmy się lepiej francuskiego wina!”.

Nie ma mnie jednak w hotelowym pokoju w Paryżu, a Isadora jest coraz bardziej zdesperowana. Po kilku godzinach ciszy pyta, co takiego zrobiła. Bennett odpowiada tylko: „Zapomnijmy o tym”.

– Zapomnijmy o czym? – krzyczy Isadora, a wtedy Bennett odpowiada, że nie życzy sobie awantur.

*– W dupie mam to, czego sobie nie życzysz. I życzę sobie, żebyś traktował mnie w sposób cywilizowany. Może byś tak przynajmniej był uprzejmy wyjaśnić mi, czemu jesteś roztrzęsiony? I nie patrz na mnie w ten sposób...*

*– W jaki sposób?*

*– Jak gdyby fakt, że nie umiem przeniknąć twoich myśli, był moim najcięższym grzechem. Nie jestem w stanie odczytać twoich myśli. Nie wiem, co cię opętało. Nie umiem wyczuć, o co chodzi. Jeżeli tego właśnie oczekujesz od żony, możesz na mnie liczyć.*

*– Z pewnością.*

*– Zatem o co chodzi? Powiedz mi, proszę.*

*– Nie powinienem.*

*– Boże miłosierny! Czy chcesz mi powiedzieć, że mam być telepatą? O taki rodzaj troski małżeńskiej ci chodzi?*

I dalej w tym stylu. Isadora płacze i onanizuje się, żeby zasnąć. Bennett śpi plecami do niej.

Żałuję, że Isadora nie może do mnie zadzwonić, wtedy opowiedziałabym jej o tym, co wyczytałam w rozprawie Carin Holmberg pod tytułem *Mówią na to miłość*. Pojawia się tam ukute przez autorkę pojęcie mikrowładzy. Twierdzi ona, że brak reakcji jest najwyższym wyrazem męskiej władzy.

Nie odpowiadając, mężczyzna zmusza kobietę do podporządkowania i zmienia ją w nie-osobę.

Milczenie jest sposobem na zdystansowanie się, co z kolei sprawia, że kobieta przejmuje rolę tej, która rozumie nastroje i problemy mężczyzny. To znaczy, że wchodzi z nim w aktywną relację, choć on nie angażuje się w tym samym stopniu.

Kiedy przeczytałam pracę Carin Holmberg po raz pierwszy, rozplakałam się z wrażenia, jakie zrobiła na mnie przenikliwość jej analizy.

– Pieprzony autysta – syknęłam do Johana któregoś razu, kiedy po raz trzeci zadałam to samo pytanie i nadal nie otrzymałam odpowiedzi.

Właśnie zrobiliśmy wielkie zakupy, a teraz on stał i studiował paragon.

– Wiesz, gdzie się podział szpinak? – spytałam.

Brak odpowiedzi.

– Johan! Czy wiesz, gdzie się podział szpinak? – powtórzyłam pytanie.

Nadal gapił się w paragon i nie odpowiedział ani nawet nie podniósł głowy, żeby na mnie spojrzeć.

– WIESZ, GDZIE SIĘ PODZIAŁ SZPINAK? – krzyknęłam histerycznie i o wiele za głośno.

Kasjerka spojrzała na mnie pytająco, ale Johan wreszcie podniósł wzrok.

– Nie krzycz! Nie widzisz, że sprawdzam paragon? – spytał zdenerwowany.

– Pieprzony autysta! – powtórzyłam ze złością i ruszyłam do przodu, zostawiając go ze wszystkimi siatkami i tym jego pieprzonym paragonem.

Czy ja istnieję? – pomyślałam, schodząc do samochodu, a uczucie ponizienia tylko się wzmogło.

Po prostu wiem, że gdyby to on zadał pytanie, odpowiedziałabym na nie niezależnie od tego, jak bardzo zajęta byłabym paragonem, Siggem, książką, telewizorem czy czymkolwiek innym. Zawsze gotowa!

Zawsze gotowa do rozmowy, jeżeli nastaje kłopotliwa cisza. Nienawidzę ciszy, bo może ona oznaczać, że tak naprawdę jesteśmy nieszczęśliwi. Kiedy Johan zamyka się w swoim milczeniu i staje się nieobecny, a ja pytam, o co chodzi, zawsze odpowiada, że o nic. Nie robi zagadkowych aluzji, jak Bennett, nie daje do zrozumienia, że powinnam się sama domyślić. Dziwne jest jednak to, że choć zapewnia mnie, że nic, ale to nic się nie stało, jego



uparte milczenie mówi coś zupełnie innego. Da się w nim wyczuć coś jakby delikatne wahanie, które sprawia, że nie sposób się nie martwić.

Czasami próbuję odpowiedzieć mu tym samym i zwlekam z odpowiedzią dokładnie tak długo, ile trzeba, żeby wzbudzić w nim niepewność. Zmusić, żeby powtórzył pytanie, kiedy ja jestem tak zajęta tym, co aktualnie robię, że niedokładnie słucham. Ciekawie jest widzieć, że reaguje z taką samą niepewnością jak ja. I poczuć ogarniający mnie wtedy spokój.

Jego milczenie najsilniej daje o sobie znać rano. Johan mówi, że przyczyną jest zmęczenie i poranny zły humor. Że zawsze rankiem jest w złym humorze. Długo przyjmowałam to wyjaśnienie, aż w końcu doszłam do wniosku, że jego milczenie ma raczej związek z jego dobrym snem i moimi zatyczkami do uszu – przez cały nasz związek zawsze byłam pod wrażeniem i zazdrościłam Johanowi tego, że tak mocno śpi. Potrafi zasnąć nawet przy włączonym radiu i gdy cały pokój skąpany jest w świetle. To mu nie przeszkadza.

Potrafi po prostu odciąć się od otoczenia.

Kiedy urodził się Sigge, pytanie Johana: „Jak minęła noc?”, zawsze jednakowo mnie prowokowało. Czyżby nie zauważył, że wstawałam pięć razy, żeby zmienić Siggemu pieluchę i go nakarmić? Że najdłużej spałam dwie godziny ciurkiem?

Gdy nadeszła kolej Johana na nocne wstawanie, za każdym razem mnie również wybijało to ze snu. Często na dźwięk kwilenia Siggego budziłam się nawet wcześniej i sama musiałam budzić Johana.

Tak było do czasu, kiedy moje życie zostało wzbogacone przez wspaniałe kawałki gumy piankowej, zwane zatyczkami do uszu. Poleciała mi je koleżanka, która miała podobne doświadczenia. I nagle wokół mnie zaległa cudowna cisza. Wreszcie mogłam włożyć zatyczki, powiedzieć dobranoc Johanowi i pozwolić ciszy zapanować. Był to sposób na całkowite, a nie tylko, jak wcześniej, częściowe zrzeczenie się odpowiedzialności. Nagle przesyślałam całą noc i nie budziłam się ani razu, kiedy Johan wstawał do Siggego.

Noce, kiedy to ja miałam go pilnować, pozostały bezsenne, ale teraz przynajmniej mogłam spać co drugą noc. Teraz to ja wesoło pytałam Johana, jak się spało, a on ze złością odpowiadał, że między dwunastą a szóstą

wstawał raz na dwie godziny.

Zatyczki do uszu muszą być darem od Boga dla kobiet. Czasami, kiedy rankiem Johan wydawał się szczególnie zamknięty, nie wyciągałam ich przez całe śniadanie. Pozwalałam sobie na pobyt we własnym, wspaniałym świecie, jednocześnie czytając gazety i czując, jak kawa powoli budzi mnie do życia. Pogrążałam się w lekturze jakiegoś artykułu i nie od razu reagowałam na stękanie Siggego. Powoli popijając kawę, patrzyłam pustym wzrokiem na wargi Johana, które poruszały się, kiedy coś do mnie mówił.

– Co? – pytałam. – Co mówiłeś?

Nie wyjmowałam korków z uszu i byłam równie zamknięta i milcząca jak on, aż do momentu, kiedy sfrustrowany pytał, co się ze mną dzieje.

– Nic. Daję słowo, że nic – odpowiedziałam, nie przerywając czytania gazety.

Był to mój sposób na utrzymanie równowagi – on zrzuca winę na poranny zły humor, ja na zatyczki do uszu.

Czasem myślę, że równość osiągniemy tylko wówczas, gdy przejmie od mężczyzn ich zachowanie i napuszony styl bycia.

Nie ma w tym nic fajnego, ale może to zło konieczne. Może kobiety muszą po prostu zapomnieć o odpowiedzialności i pozwolić sobie na takie samo niedbalstwo, zapominalstwo i egoizm jak ich mężowie.

Za każdym razem, kiedy wracam z pracy metrem albo autobusem, słyszę przynajmniej jedną rozmowę telefoniczną, w której mężczyzna dzwoni do domu i pyta, co ma kupić.

– Cześć! Możesz zapytać mamy, jaką to ja rybę miałem kupić? Tak... mhm... okej, a możesz zapytać, czy miało być coś jeszcze?

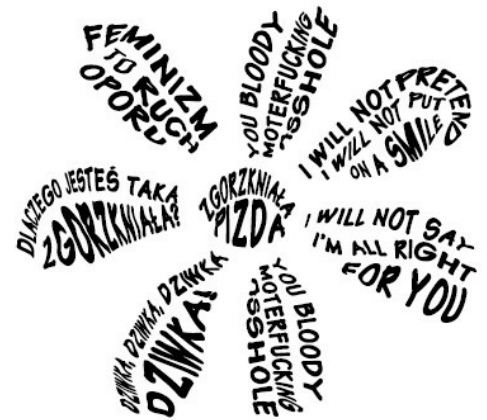
Ona jest jego prywatną, wygodną kartą pamięci. To ona musi zrobić sobie w głowie miejsce na listę produktów spożywczych do kupienia. Przestrzeń, którą mogłaby wykorzystać na znacznie ważniejsze i ciekawsze myśli niż to, jaki gatunek ryby powinien wybrać. Magazynuje informacje w bezpiecznym miejscu, mąż musi więc tylko zadzwonić do domu, kiedy te są mu potrzebne.

Nigdy nie słyszałam kobiety dzwoniącej do domu i pytającej o to samo swojego męża. Zastanawiam się, co się dzieje, kiedy na jej twardym dysku nie ma już miejsca. Albo kiedy dysk ulega zniszczeniu. Wyobrażam sobie,

jak odpowiada wtedy w dziwny, niezrozumiały sposób.

– Potrzebujemy czekolady z dużą zawartością kakao, czerwonego wina i więcej miłości, więcej czułości, więcej czasu dla siebie, a poza tym któregoś wieczoru chętnie wybrałabym się z tobą na kurs tanga!

Czasem też wyobrażam sobie, że po prostu prychnę i odpowiadając, że nie ma zasranego pojęcia, co muszą kupić.



## POMARAŃCZOWI MĘŻCZYŹNI

Budzę się w środku nocy i jest mi zimno. Nadal mam w głowie dziwny sen. Śniło mi się, że moja babcia zabije mnie o ósmej wieczorem. Oznajmiła mi to po południu – groźnym, wzburzonym głosem. Zrozumiałam, że mówi poważnie, i mimo jej wątlej postury poczułam strach. W jakiś sposób ją zawiodłam. Tak wiele razy, że miarka się przebrała. Poszłam do domu (prawie zawsze w moich snach mama i tata nadal mieszkają razem) i opowiedziałam o tych groźbach.

– Ojej – powiedziała zmartwiona mama.

Tata zapalił papierosa i zacisnąwszy usta, wyszedł do drugiego pokoju. Przez kilka kolejnych godzin nic się nie działo.

– Czy wy nie rozumiecie? – zapytałam z rozpaczą. – Ona przyjdzie tu o ósmej, żeby mnie zabić!

– Tak, to przykre, że się tak zdenerwowała – powiedziała mama, nadal pogrążając naczyniami w zlewie.

Tata znów nic nie powiedział, tylko poszedł do garażu i zamknął za sobą drzwi.

Za pięć ósma uznałam, że jeśli chcę przeżyć, muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Babcia mogła tu być w każdej chwili. Szybko spakowałam kilka ubrań do torby i z płaczem pobiegłam do mamy.

– Wyjadę teraz na jakiś czas, bo wy najwyraźniej mi nie pomożecie! –

powiedziałam oskarżycielskim tonem, czując się jak opuszczona mała dziewczynka.

– Tak będzie chyba najlepiej – odparła obojętnie mama i przytuliła mnie na do widzenia.

Tata nadal był w garażu, kiedy wybiegłam z domu i wskoczyłam do autobusu.

Teraz leżę w łóżku i myślę, że wszystko się zgadza. Oni nigdy nie potrafili mnie chronić. Ogarnia mnie dobrze znana samotność i opuszczenie. Zawsze coś swędzi, zawsze mam nie taką postawę. Myślę, że dzień, w którym zdałam maturę, był jednym z najszcześniejszych w moim życiu – mogłam wtedy zostawić za sobą brak bezpieczeństwa, stare krzywdy, brzydkie tapety, zniszczoną skórzaną kanapę i zakurzoną wykładzinę, od której oczy mnie piekły i robiły się czerwone. Był to dzień, w którym wreszcie uwolniłam się od mojej rodziny.

Wychodzę na balkon i patrzę, jak słońce wschodzi nad morzem. Czuje ciepło w powietrzu, choć jest dopiero wpół do siódmej rano. Że też może takie być. Życie. Potwornie piękne, smutne, straszne i na wskroś dobre. Siadzę i patrzę na morze aż do chwili, kiedy zaczynają podawać śniadanie.

Nakładam na talerz świeżego arbuza, polewam miodem pyszny, tłusty jogurt, biorę dwie kromki świeżo upieczonego okrągłego chleba i kładę na nich wędzoną szynkę. Do tego gorąca czarna kawa i słodki sok pomarańczowy. Przygnębienie powoli ustępuje i znów jestem szczęśliwa. Zwłaszcza dzięki arbuzowi – on naprawdę poprawia mi humor. Nie sądzę, żeby można było odczuwać niepokój, jedząc codziennie na śniadanie świeżego arbuza.

Po śniadaniu kładę się na leżaku przy basenie i czytam. Obok mnie leży angielska rodzina z dziećmi. Kobieta i mężczyzna są chyba w moim wieku, mają małego synka i córeczkę. Rozmawiają ze sobą, dzieci bawią się na brzegu basenu, a ja czuję nagle ukłucie tęsknoty za Siggem.

Wtedy jednak coś się dzieje. Chłopczyk, który ma na imię George, chce pobiegać dookoła dużego basenu. Tata podnosi się i krzyczy:

– *Come here, Georgie! Georgie! GEORGIE! I'll count to three. One! Two! Three!... Well done! Good boy!*<sup>12</sup>.

Mama wyciera dziewczynkę, Jessicę, i chce poczytać jej bajkę, ale Jessica woli pobiegać z bratem dookoła basenu. Widzę, jak mama przyciąga ją do siebie i przytrzymuje na kolanie.

– *The Pink Princess. The Pink Princess was always dressed in pink. One day when she walked in the forest...* – nagle urywa. – *Jessie! What have you done? You broke mummie’s sunglasses! Oh! Why, Jessie? Why?*<sup>13</sup>.

Ich głosy słycać w całym kompleksie basenów. Trudno nie być pod wrażeniem ich jawnej frustracji. O rodzinnej obłudzie nie ma w ich przypadku mowy. Tata idzie długimi krokami w kierunku jęczącej mamy.

– *Look what she did! She broke my sunglasses!*<sup>14</sup> – skarży się kobieta.

Próbuję nie zwracać uwagi na kazirodczy ton. Jej słowa brzmią, jakby sama była małą dziewczynką, a nie równorzędną partnerką. Ale mąż gładko wchodzi w rolę ojca, który na wszystko ma radę.

– *Jessie! Why do you ignore mummy! Say you’re sorry!*<sup>15</sup>.

Mniej więcej w tym momencie przestaję słuchać i idę się wysikać. Kiedy wracam, panuje chwilowy spokój, mama zaś tłumaczy małemu Georgiemu, że „*tomorrow we’re going back to England*”<sup>16</sup>.

Jest jednak wyjątek w tym rodzinnym piekle. Finowie, którzy zjawili się dzisiaj, byli bardzo sympatyczni i wyglądali na szczęśliwych. Tata, w czarnej koszulce i beżowych szortach, biegał po leżaki, żeby mogli leżeć obok siebie i się opalać. Kiedy wszyscy już się ułożyli, stanął kilka metrów dalej i z jasnoniebieskiej szaszetki na pasku wyjął cyfrowy aparat. Robił zdjęcia swojej rodzinie i wyglądał na dumnego. Daję słowo, że to człowiek w rodzaju tych, którzy obierają pomarańcze dla swoich dzieci. I swojej żony.

Mężczyźni obierający pomarańcze są bardzo rzadko spotykani w przestrzeni publicznej. Tak samo jak mężczyźni z własnymi kanapkami czy lunchem w pudełku są rzadko spotykani w miejscach pracy. Kocham mężczyzn, którzy obierają pomarańcze. Jest w tym obieraniu jakaś piękna dokładność, cierpliwość i troska. Sposób na wyrażenie miłości w tym, co małe, na chęć dawania, choć niekoniecznie dostaje się coś w zamian, jedynym zyskiem są tu bowiem pestycydy na rękach. To wynikające z miłości działanie bez krzty prestiżu, które idzie pod prąd wielu stereotypom męskości.

Z tego samego powodu kocham mężczyzn, którzy biorą ze sobą pudełko na drugie śniadanie i jadą do pracy na rowerze bądź idą na piechotę, zamiast wsiadać w samochód. I tych, którzy tańczą. Dlaczego tak niewielu jest mężczyzn, którzy nie boją się tańczyć? Czy nie rozumieją, że to wspaniała czynność, pokazująca, że są ludźmi, którzy mają odwagę i chcą się otworzyć?

Kultura uczy małych chłopców strachu przed wyrażaniem siebie za pomocą ciała w ów nieskrępowany, uczuciowy sposób, konieczny w tańcu. Gdzie, w odróżnieniu od sportu, nie chodzi o to, żeby konkurować i wygrywać. Tak więc stoją z boku, wyglądają, jakby im się chciało srać, i z piwem w ręce gapią się głupio na tańczące dziewczyny. Jeżeli kiedykolwiek rozwiodę się z Johanem, mój następny mąż będzie umiał tańczyć. To po prostu jedno z moich nielicznych wymagań – nigdy więcej faceta, który nie ma odwagi tańczyć.

Fiński ojciec stoi za opalającą się rodziną i spogląda na nich z dumą. Zdecydowanie pomarańczowy mężczyzna!

I do tego robi im zdjęcia. Jedna z moich przyjaciółek opowiadała, że przez całe dzieciństwo żyła w przekonaniu, że jest córeczką tatusia. Nie żeby miała szczególnie dużo wspomnień z ojcem uczestniczącym w życiu rodziny, bo najczęściej przebywał służbowo poza domem, ale w rodzinnym albumie aż roilo się od wspólnych zdjęć jej i taty. Zdjęć, na których była z mamą, znalazła bardzo niewiele i dlatego zawsze wychodziła z założenia, że tata mimo wszystko był bardziej obecny w jej życiu, niż wynikałoby to ze wspomnień. Dopiero któregoś dnia zdała sobie sprawę, że wszystkie zdjęcia z tatą musiała robić mama... Była jedną z tych kobiet, które zawsze maskują nieobecność męża. Układają historyjki i robią zdjęcia, żeby dziecko aż tak bardzo nie tęskniło.

Może to dlatego tatusiowie tak często pojawiają się w filmach i książkach dla dzieci?

Sigge uwielbia *Gdzie jest Nemo*. To opowieść o rybim tacie, który przez cały czas trwania filmu szuka syna, zabranego do akwarium. Mama po prostu nie żyje. Tak jak mama Pippi. A gdzie jest mama Alberta Albertsona? Tego nie wie nikt.

Tak jakby historyjki dla dzieci też musiały rekompensować nieobecność

ojców w prawdziwym życiu.

W prawdziwym życiu znam wiele osób, które dorastały bez ojca, ale żadnej, która dorastałaby bez matki. U niektórych ojciec był zawsze obecny. Znam ojców, którzy po rozwodzie dzielili się opieką nad dziećmi, takich, którzy nie pracowali, i takich, którzy poza pracą świata nie widzieli. Ale nie ma ich wielu. Znacznie więcej jest ojców, których nigdy nie było. Którzy pojawiali się w domu tylko w weekendy. W piątek i sobotę przygotowywali wykwintne jedzenie, a w poniedziałek rano znowu wyjeżdżali.

To chyba piękne uczucie być tak wyczekiwany. Tak cudowne, że można to źle odebrać i czuć się spełnionym i dumnym. Nawet, jak Evert Taube, napisać piosenkę o tęsknocie własnej córki za sobą. „Tato, wróć do domu. Bo tęsknię za tobą. Wróć, tatusiu, nim przeminie lato”.

Wszyscy uważają to potem za słodkie, gdy w rzeczywistości jest potwornie smutne.

Pewnego dusznego czerwcowego poranka, którego nigdy nie zapomnę, pasztet z wątróbek był zapleśniały, a to chyba najobrzydliwsze, co mogę sobie wyobrazić. Johana nie było – przez wiele tygodni pracował poza domem i wracał tylko na weekendy. Sigge za nim tęsknił i ja też tęskniłam. Szliśmy przez park do przedszkola, dwoje zmęczonych, smutnych nieboraków.

Sigge siedział w wózku i się nie odzywał, choć zazwyczaj pyta o wszystko, co mijamy po drodze. Dlaczego powietrze jest przezroczyste, gdzie tak naprawdę mieszka słońce i czy lubię lody Pärönsplitt. Teraz jednak był milczący i zmęczony, a ja miałam ochotę przystanąć i go przytulić, zamiast tego jednak przyspieszyłam kroku. I wtedy ciszę przerwało jego pytanie.

– Mamo, dlaczego tata musi pracować w Växjö?

Byłam zmęczona, więc nie wysiliłam się z odpowiedzią.

– Po prostu musi. Tam jest teraz jego praca.

– Ale dlaczego? – nie ustępował Sigge.

– By zarabiać pieniądze, żebyśmy mogli kupować jedzenie i płacić za mieszkanie.

– Ale dlaczego? – pytał Sigge, a ja doszłam do wniosku, że on nic nie łąpie, po czym zaczęłam wątpić, czy sama tak naprawdę to rozumiem.



- Trzeba pracować – powiedziałam i sama poczułam, jak pusto to brzmi.
- Dlaczego? – zapytał znowu Sigge i zrozumiałam, że nie mam na to dobrej odpowiedzi.

W pewnym sensie jeszcze bardziej uwypukliło to fakt, że nikt nikogo nie zmusza. Że jest to własny, wolny wybór. Ale tego nie mogłam powiedzieć Siggemu. Nie mogłam powiedzieć, że Johan tak naprawdę chciał pracować w Växjö.

Beznadziejna jest myśl, że zawsze znajdą się tysiące ważnych powodów, by dokonać niesprawiedliwego wyboru. „Potrzebujemy pieniędzy”. Nieprawda, wcale ich nie potrzebujemy, dajemy sobie radę z tym, co mamy. Ale potrzebujemy siebie nawzajem, a twoje dziecko potrzebuje ciebie!

Ja też jestem jedną z tych matek, które robią wspólne zdjęcia taty z synkiem, żeby zrekompensować jego nieobecność. Z braku harmonijnej teraźniejszości tworzy się harmonijne wspomnienia.

Wtedy właśnie, w połowie czerwca, tuż przed wakacjami, Sigge zaczął tłuc głową w ścianę. Działo się to, kiedy był zły albo smutny, czyli często.

Był po prostu wykończony po całym roku w przedszkolu, gdy przerwa świąteczna była o wiele za krótka, i potrzebował wakacji. Wtedy jednak tego nie rozumieliśmy, rozpaczaliśmy z powodu jego zbyt silnych reakcji, których nigdy wcześniej nie doświadczyliśmy.

Zazwyczaj Sigge nie bywał ani szczególnie zły, ani marudny. Teraz nie chciał się bawić, żartować ani się tulić. Biegał tylko po domu jak chmura gradowa i co jakiś czas uderzał głową w ścianę, kiedy prosiliśmy, żeby przyszedł i się ubrał.

Dwa tygodnie później pojechaliśmy na Gotlandię, gdzie na trzy tygodnie wynajęliśmy domek – już pierwszego ranka Sigge zapomniał o uderzaniu głową w ścianę. Wstał rozpromieniony, chciał się przytulać i badać mrowisko przy drzewie w rogu trawnika.

To było tak śmiesznie proste. Potrzebowaliśmy spędzić trochę czasu we troje. Po trudnym roku kryzysu w naszym małżeństwie, kiedy zamiast za-trzymać się i pomyśleć, pracowaliśmy jeszcze więcej. Coraz bardziej zde-nerwowani i zmęczeni.

Jak można być głupim?

Co to za gównianych wyborów dokonujemy? Stawiamy na pierwszym

miejscu różne dziwne rzeczy, a potem mierzymy się z katastrofalnymi skutkami. W ten sposób można spieprzyć wszystko, co ma jakieś znaczenie.

Wieczorami Sigge spał, a my siedzieliśmy blisko siebie na hamaku i patrzyliśmy na pastwisko dla koni. Długo, bardzo długo, aż nadchodziła noc i robiło się za zimno, żeby siedzieć na zewnątrz. Patrzyliśmy na siebie i zdziwieni pytaliśmy, dlaczego robimy to dopiero teraz. Dziwiło nas i cieszyło, że mamy tak wiele wspólnych tematów.

Czuliśmy się prawie tak, jak byśmy poznawali się na nowo.

Za dnia jeździliśmy rowerami nad morze, a w każde popołudnie, kiedy Sigge ucinał sobie godzinną drzemkę, kochaliśmy się.

W domku na Gotlandii mieliśmy czas na zalecenie niektórych ran i zadrapań. Albo raczej: sami przeznaczaliśmy na to czas. W codziennym życiu jesteśmy w tym najwyraźniej beznadziejni. Leżąc na leżaku, odebrałam wiadomość od mojego radiowego szefa, Richarda. Wcześniej tego samego dnia wysłałam mu esemesem służbowe pytanie. Dręczył mnie bowiem pewien niepokój na myśl o pracy, którą będę musiała wykonać w przyszłym tygodniu po powrocie do domu. Teraz przyszła odpowiedź. „Darling! Nie myśl teraz o pracy. Ja się tym zajmę! Dobrze, że odpoczywasz, naprawdę na to zasługujesz. Uściski z szarego, zimnego Sztokholmu!”

Głupio mi z tego powodu, ale jego troska sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Nie potrafię przekonująco odpowiedzieć na pytanie, dlaczego, ale po chwili zaczynam beczeć i czuję się jak mała dziewczynka. Pewnie nie zostałam odpowiednio „zmamowana”, jak ująłby to terapeuta Niklas. To całkiem możliwe, ale jeszcze mniej zostałam „statowana”. Nie da się o tym jednak za bardzo mówić, ponieważ nie istnieje psychologiczny termin określający troskę ojców o ich dzieci. Może dlatego, że nikt nie spodziewa się po nich takich wielkich czynów?

Tak czy siak. Richard i pomarańczowi ludzie. Mimo wszystko jest jeszcze nadzieja dla ludzkości.

Dziś rano przy śniadaniu znowu zobaczyłam gestykulującego mężczyznę. Tego, który wydawał mi się taki sympatyczny. Dzisiaj jednak zobaczyłam go z bliska. Minął mój stolik, idąc po kawę, i zauważyłam, że ma spojrzenie zombi i wręcz za bardzo proste plecy. Przechodził między stolikami jak sta-

ry wojskowy na patrolu. Pogwizdując i patrząc surowo. Za nim, utykając, szła jego żona (dziwne, że kilka dni temu nie zauważyłam tego utykania) i kiedy przeszła obok, dostrzegłam, że ma aparat słuchowy. To dlatego jej mąż tak dziko gestykulował. Nie miał po prostu innego wyjścia!

Czasami kawałki układanki lądują na swoim miejscu, a ja nie mogę powstrzymać rechotu. Dziś może on wynikać z faktu, że wino jest wyjątkowo dobre, że siedzę na balkonie świeżo wykąpana i syta i patrzę, jak za wulkanem Teide zachodzi słońce. A może po prostu bierze się stąd, że obserwacje zgorzkniałej pizdy, która we mnie siedzi, okazują się trafne?

Pamiętam przeczytany kiedyś w jednej z kolorowych gazet artykuł pod tytułem *To prawda – trudno wysłuchać kobietę*. Zaczynał się tak: „Teraz możesz mieć wymówkę, kiedy żona mówi ci, że nigdy jej nie słuchasz. Według brytyjskich naukowców kobiet słucha się trudniej niż mężczyzn”.

Pomyślałam o tej wykluczającej apostrofie: „Teraz TY możesz mieć wymówkę, kiedy TWOJA żona mówi ci, że nigdy jej nie słuchasz”. Nawet nie chciało im się udawać, że zwracają się zarówno do czytelników, jak i do czytelniczek.

Następnie zaprezentowano piękny przykład argumentacji zataczającej koło. Psychologowie z uniwersytetu w Sheffield zbadali mianowicie, jak długo mężczyźni są w stanie słuchać kobiet, nie tracąc koncentracji. I uwaga, niespodzianka: okazało się, że mężczyznom trudniej jest słuchać kobiet niż innym mężczyznom! Dziennikarz przepytął nawet samych badaczy, którzy stwierdzili, że kobiety używają melodii języka w taki sposób, że ich głosy są trudniejsze w odbiorze... Artykuł był, rzecz jasna, napisany przez mężczyznę i nie mogłam powstrzymać się przed refleksją, jak by wyglądał, gdyby autorką była kobieta: „To już udowodnione: mężczyźni rzeczywiście są głupi. Teraz masz już wyjaśnienie, dlaczego twój mąż nigdy cię nie słucha. Jak dowiedli brytyjscy naukowcy, mężczyźni mają większe problemy z koncentracją, co wynika z niewielkiego, genetycznego uszkodzenia mózgu”.

Całe szczęście istnieją również badaczki, one zaś, dziwnym trafem, często dochodzą do zupełnie innych wniosków. Moja absolutnie ulubiona, Carin Holmberg, w swojej rozprawie *Mówią na to miłość* pisze o zjawisku bycia niesłuchanym. Rozmawiała z mnóstwem par (heteroseksualnych) o wszyst-

kim, co tylko w jakiś sposób dotyczy ich związku. Pytała między innymi o to, jak słuchają siebie nawzajem. Co ciekawe, mężczyźni deklarują, że mają większe trudności ze słuchaniem niż ich dziewczyny/partnerki. Kobiety za to twierdzą, że rozumieją, dlaczego czasem jest to trudne – same uważają, że niekiedy mówią o sprawach, które są nieważne albo nieciekawe!

„Sama uważa się za dobrą słuchaczkę. Trzeba przy tym oczywiście wziąć pod uwagę fakt, że on nie mówi dużo”.

Cała rozprawa jest bolesnym rozrachunkiem i wnikliwym badaniem nierówności i codziennego ucisku w relacji między mężczyzną a kobietą. Jedną z jej teorii głosi, iż „dobrowolne podporządkowanie” kobiety sprawia, że nadrzędność mężczyzny staje się niewidoczna dla nich obojga. Że wciąż zajmujemy się odparowywaniem ciosów i tuszowaniem, że „dobrowolnie” bierzemy na siebie role i obowiązki domowe, niczym współuzależnione żony alkoholików. Nie mam problemów z odnalezieniem się w tej argumentacji. Świadomość bycia uciskaną sprawia ból i jak najdłużej próbuję odsuwać ją od siebie...

Najbardziej boli, kiedy Carin Holmberg pyta, jak to możliwe, że mężczyznom niespecjalnie przeszkadza ich nadrzędna pozycja. Gdybym jako biała kobieta żyła w Afryce Południowej w czasach apartheidu i związała się z czarnym mężczyzną, nie dawałoby mi spokoju, że w tej kulturze nie uważa się nas za równych. Gdybym nadal, wbrew przeszkodom, go kochała, poświęciłabym życie na walkę z apartheidem.

Miłość – największa i najpiękniejsza ze wszystkich sił, która naprawdę potrafi leczyć rany i zmieniać ludzi na lepsze.

Jak to możliwe, że mężczyźni w imię miłości nie robią wszystkiego, co w ich mocy, by walczyć z niesprawiedliwościami, z apartheidem patriarchy? A jeżeli uważają, że władza i tysiące lat patriarchalnego ucisku to coś, co zbyt trudno zmienić, dlaczego przynajmniej nie walczą z niesprawiedliwościami we własnych związkach?

Często mówi się, że władza deprawuje. Czy dotyczy to także pewnej grupy mężczyzn?

Fakt, że społeczeństwo i kultura na wszystkie możliwe, niedorzeczne sposoby sankcjonują życie we dwoje, jest w każdym razie jakimś wytłumaczeniem tej nielogicznej i niekorzystnej dla kobiet konstrukcji. Kto ma dzieci,

ten wie, że dwie osoby to za mało, jeżeli chodzi o troskę, miłość i czas poświęcony temu nowemu życiu. Optymalna liczba to troje lub czworo. Wówczas ktoś zawsze może być z dziećmi, podczas gdy pozostali odsypiają, uprawiają seks, gotują, sprzątają, robią zakupy albo pracują. Jeśli nie brać pod uwagę represji, jakim często poddawane są osoby homoseksualne, wydaje mi się, że tęczowe rodziny, lesby i pedały, które w czwórce opiekują się dziećmi, mają pod wieloma względami o wiele lepiej niż my, biedni heterocy, którzy wciąż muszą się szarpać.

Po południu wybrałam się na spacer nad morze. Stojąc na brzegu, oddychałam głęboko i czułam, że jestem szczęśliwa. Aż do momentu, kiedy dwaj młodzi mężczyźni przejechali obok na vespie, zatrzymali się jakieś dwadzieścia metrów dalej, po czym zawrócili i zaparkowali dwa metry ode mnie. Ja stałam jak gdyby nigdy nic. Powiedziałam sobie, że nie może mi to zepsuć przyjemności. Udawało się przez jakieś trzydzieści sekund. Potem stanęli tak blisko, że nie dało się już dłużej ignorować ich obecności. Poddałam się i poszłam. Krzyczeli coś za mną po hiszpańsku, ale ja się nie zatrzymywałam.

Wieczorem wpadłam na pomysł, żeby zjeść kolację w sąsiedniej miejscowości Santa Ursula. To w takich sytuacjach zdaję sobie sprawę z ograniczeń wynikających z podróżowania w pojedynkę. W małej pizzerii, która wyglądała na dość bezpieczną, przy osobnych stolikach siedziało trzech mężczyzn.

Kiedy podniosłam do ust kufel z piwem, kątem oka zobaczyłam, że jeden z nich unosi swój, chcąc wypić ze mną toast. Nie chciałam wyjść na nabzdyczoną, więc odpowiedziałam ostrożnym ruchem i uśmiechem, który miał być obojętny. I niepotrzebnie to zrobiłam. Od razu zaczął nawijać po hiszpańsku z resztą mężczyzn, rechocząc przy tym tak, że trudno byłoby się nie domyślić, o co chodzi. Psiakrew.

Nagle przypomniał mi się szok, jaki przeżyłam, kiedy jako szesnastolatka podróżowałam koleją po Hiszpanii i wraz z trzema koleżankami zauważyłam nagle, że dwa metry od naszego stolika stoi dwóch chłopaków, którzy się onanizują, bezwstydnie na nas patrząc. Grubo wątpię, czy samotni mężczyźni mają podobne doświadczenia z kobietami onanizującymi się lub rechoczącymi przy ich stoliku. Grubo wątpię, czy w ogóle są w stanie pojąć

rozmiar dyskomfortu i strachu, jaki wywołują takie sytuacje.

Ciekawe, jak taka przymusowa wiedza odbija się na kobietach. Podejrzewam, że gdyby przeprowadzono badania na ten temat, ich rezultaty byłyby zdumiewające.

Na wszelki wypadek wróciłam do hotelu taksówką. Dopiero w pokoju poczułam, jak bardzo było mi zimno. Zrobiłam sobie gorącą kąpiel, posłuchałam kochanej Niny Simone i rozgrzałam się aż do kości. Kiedy zasypiałam, czułam się cudownie. Było mi ciepło. Byłam bezpieczna.



## 800 STOPNI

Dziś na Teneryfie pada deszcz, a przy śniadaniu jest tak samo smętnie jak na zewnątrz. Na domiar złego zapomniałam włożyć szkła kontaktowe, więc wszystko jest zamazane i zamglone. Mogę obserwować jedynie rodzinę Niemców siedzącą przy stoliku najbliższej mnie.

Kobieta wygląda na potwornie smutną. Nie tak ogólnie nieobecno-smutną jak większość kobiet tutaj, tylko czerwoną od płaczu. Wygląda, jakby płakała zaledwie przed chwilą. Mężczyzna, dwukrotnie od niej większy, metodycznie żuje kanapkę z szynką. Ich synek, w wieku około ośmiu lat, próbuje ich rozweselić, opowiadając po niemiecku żarciki, których nie rozumiem. Oboje uśmiechają się krzywo, nie chcąc go martwić jeszcze bardziej. Da się jednak zauważyć, że i on jest bardzo smutny.

Ich smutek jest zaraźliwy, zauważam, że i ja nagle czuję lęk. Próbuję się więc skoncentrować na książce, dziełach zebranych subcomandante Marcosa. Zwykle pomagają, kiedy codzienność wydaje się nieciekawa i człowiekowi potrzeba trochę dystansu

do własnego życia. Subcomandante Marcos jest rzecznikiem powstania zapatystów w meksykańskim Chiapas. U zapatystów kobiety walczą ramieniem w ramię z mężczyznami na rzecz pokoju, demokracji i sprawiedliwości dla nieprawdopodobnie biednych Indian. Marcos opisuje tę walkę w tekstach, które są zarówno poetyckie, jak i polityczne.

Ósmego marca 1996 roku Marcos pisze tak: „Walka o godność jest zaraż-

liwa, a najczęstszymi ofiarami tej dokuczliwej choroby są kobiety. Dzisiejszy dzień jest okazją do przypomnienia i przedstawienia zapatystek, zarówno tych uzbrojonych, jak i nieuzbrojonych. Niniejszy tekst jest poświęcony buntowniczym i niewygodnym dla wielu meksykańskim kobietom, które przez swoje wyzwolenie ukazują, że historia jest fałszywa, jeżeli one nie stanowią jej części. Jutrzejszy dzień, jeżeli nadejdzie, będzie dniem kobiet, a przede wszystkim – dniem stworzonym przez kobiety”.

Łatwo jest romantyzować zapatystów, kiedy ich *subcomandante* pisze tak pięknie. Zdaję sobie sprawę, że w feminizmie Marcosa i innych zapatystów znalazłaby się niejedna luka, gdyby tak pomieszkać z nimi przez kilka tygodni, ale i tak trzeba być im wdzięcznym, ponieważ pokazują, że wspólna walka mężczyzn i kobiet przeciwko niesprawiedliwościom jest możliwa.

To jednocześnie typowe i potwornie denerwujące, że mężczyźni w bogatej Szwecji są nieobecni i nie zabierają głosu, gdy w grę wchodzi walka z nierównym traktowaniem obu płci. Wygodnie jest się chować za mitem o sprawiedliwej Szwecji. Wystarczy po prostu zaprzeczyć istnieniu jakichkolwiek niesprawiedliwości – zwłaszcza podpierając się własnymi, osobistymi przykładami, co jest wykoślawioną trawestacją feministycznego hasła: „To, co prywatne, jest polityczne”. Można wtedy na przykład utrzymywać, że statystyki dotyczące liczby maltretowanych kobiet są zawyżone, jak to kiedyś stwierdził w wywiadzie jeden z najbardziej znanych szwedzkich dziennikarzy, argumentując, że on sam zna osobiście tylko jeden przypadek przemocy w rodzinie.

Kilka lat temu dostałam pracę przy nowym programie społecznym „dla młodych widzów między dwudziestym a trzydziestym piątym rokiem życia”, który miała wyprodukować telewizja SVT. Pełna oczekiwań pojechałam do hotelu na szkierach, w którym redakcja urządziła dwudniową konferencję, gdzie mieliśmy się spotkać po raz pierwszy. Chodziło również o to, żeby podać pomysły i tematy, które chcielibyśmy zrealizować w programie.

Na spotkaniu w mieszanym towarzystwie, kiedy ludzie widzą się po raz pierwszy, dziewczyny zwykle milkną, podczas gdy faceci gadają jak nakręceny. Tak było już na filmoznawstwie, gdzie wykłady odbywały się w sali mieszczącej sto dwadzieścia osób. Dziewczyny w większości siedziały cicho



i notowały, ewentualnie od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Faceci z kolei często inicjowali pseudodialog z wykładowcą. Rzadko o coś pytali, raczej wyrywali się z różnymi twierdzeniami. Najczęściej powtarzali własnymi słowami to, co mówił wykładowca, przedstawiając to jako własne myśli i obserwacje. Co dziwne, wykładowca często się na to nabierał, zwłaszcza jeśli była nim kobieta. Kiwała wtedy głową i mówiła: „Hm... to, co pan powiedział, jest bardzo ciekawe...”.

Teraz, w hotelu na szkierach, sytuacja była podobna. Dziewczyny się nie odzywały, choć wiele z nas miało dużą wiedzę i wieloletnie doświadczenie w dziennikarstwie, faceci zaś rzucali pomysł za pomysłem. Głośno przy tym żartowali, a my śmiałyśmy się grzecznie i zachęcająco.

Po jakimś czasie miałam ochotę się wyrzygać, ale jestem na to zbyt dobrze wychowana, więc czułam tylko, że się we mnie gotuje. Patrzyłam, jak się puszą. Moje oczy robiły się coraz węższe i żałowałam, że też nie mam odwagi bezwstydnie i głośno prezentować na forum publicznym swoich nieprzemyślanych pomysłów. W końcu nie mogłam już wytrzymać. Przestałam się hamować i pozwoliłam złości wykipieć. Miałam kilka pomysłów na reportaże, które chętnie bym przetestowała, ale w tej sytuacji musiałam wybrać najradzykalniej feministyczny.

– Jest reportaż, który chętnie bym zrobiła – przerwałam wywód jednego z kolegów, który właśnie dowodził, jakie to ważne, żebyśmy „nie byli tak poprawni politycznie”.

Wszyscy zamilkli i powoli zwrócili głowy w moją stronę. Zaczepnęłam tchu, a za oknem złowieszczo zatrąbił prom do Vaxholm. Od razu dotarło do mnie, że nieproszona przywłaszczyłam sobie zbyt dużo przestrzeni i że mój głos jest donośny i ostry. Poczułam palenie w gardle. Wszyscy patrzyli na mnie, kiedy próbowałam zaprezentować swój pomysł. Reportaż o pojęciu międzynarodowego terroryzmu. Kto tak naprawdę jest władny je zdefiniować i czy można traktować przemoc wobec kobiet jako swego rodzaju międzynarodowy terroryzm.

Pomysł opierał się na stwierdzeniu, że tygodniowo więcej kobiet na świecie ginie zakatowanych przez własnych mężów niż w wyniku tak zwanego światowego terroryzmu. A mimo to wszystkie zasoby militarne przeznaczają się na ten drugi. A gdyby tak przeznaczyć cały budżet obronny na walkę

z przemocą w rodzinie, gwałtami i morderstwami, których każdego dnia mężczyźni dopuszczają się wobec kobiet?

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wlepili we mnie wzrok.

– Reportaż, który obracałby na wszystkie strony pojęcie międzynarodowego terroryzmu... – próbowałam uściślić.

Kilka sekund gęstej ciszy szybko skruszyło wątłą odwagę, jaką udało mi się w sobie wzbudzić.

Producent spojrzał na mnie sceptycznie i wypowiedział zdanie, które później słyszałam za każdym razem, kiedy przedstawiałam ten pomysł:

– Nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi.

Oczywiście nie miał najmniejszych problemów ze zrozumieniem pomysłów, jakie w ciągu całego spotkania prezentowali mężczyźni.

Starałam się wyjaśnić i rozwinąć swoje myśli, skłonić kogoś, żeby zaprobował je choćby kiwnięciem głowy – bez skutku. Wszyscy milcząco wlepiali we mnie wzrok. Producent swoją wątpliwością dał pole do kolejnych. Kilku chłopaków się przyłączyło.

– Sądzę, że jeżeli chodzi o te tak zwane ciemne liczby, o których się tyle mówi, to z gwałtami jest odwrotnie. Wiele tak zwanych gwałtów to tak naprawdę nie gwałty. Granica między zwykłym stosunkiem a gwałtem jest czasami bardzo cienka – powiedział jeden z mężczyzn (notabene laureat znaczącej nagrody dziennikarskiej).

– Drażni mnie, że według pani wszyscy mężczyźni są najwyraźniej gwałcicielami! – dodał inny.

Dyskusja trwała, atmosfera była gęsta, a ja byłam w opałach. Trwało to do późnych godzin wieczornych, aż w końcu, po kilku kieliszkach wina, mój sąsiad przy stoliku (kolejny nagradzany i uznany dokumentalista) wypowiedział kolejne skrzydlate zdanie:

– Sprawa z gwałtami jest cholernie trudna, no bo któż z nas nigdy nie był napalony i nie naciskał, chociaż dziewczyna nie chciała?

Zawsze narzekałam na swoich radiowych szefów, ale teraz pomyślałam, że w porównaniu z tymi młodymi kogutami są nieszkodliwi.

Przez następny rok walczyłam i tęskniłam za wzajemnym zrozumieniem, wciąż jednakowo rozczarowana faktem, że go nie znajduję. Kiedy kolegom reporterom nie brakowało zachęt i zrozumienia, ja i moje koleżanki musia-

łyśmy pisać małe wypracowania, najeżone faktami, zanim w ogóle odważyłyśmy się przedstawić jakiś pomysł.

Interesująco i zarazem boleśnie było obserwować, jak wpływa to na moją samoocenę. Nic dziwnego, że człowiek w końcu zaczyna wątpić w siebie, swoje pomysły i ewentualny talent, kiedy cały czas napotyka zmarszczone czoła i sceptycyzm.

Po raz kolejny stałam się zgorzkniałą pizdą, która z piekącymi oczyma tęskniła za byciem równie niedbałą i spontaniczną w zachciankach i pomysłach co mężczyźni. Za tym, żeby tak po prostu podejść do producenta i redaktora (zawsze musiałam umawiać się na spotkanie, jeżeli chciałam przedstawić nowy pomysł) i powiedzieć: „Słuchajcie. Widziałam dzisiaj w stołówce cytrynę. Czy nie byłoby fajnie zrobić coś o cytrynach? Nie przeżyłam tego za bardzo, ale chyba łapiecie mniej więcej, o co mi chodzi?”.

Tęskniłam za tym, żeby usłyszeć: „Świetny pomysł. Poimprovizujemy razem na ten temat i zobaczymy, z której strony to ugryźć”.

W takich sytuacjach warto widzieć strukturę, żeby nie wpaść w pogardę dla samego siebie i nie nabrać wątpliwości we własne siły. Na szczęście struktura czasami ujawnia się sama. Tym razem dało się ją zauważyć, kiedy pomysł moich dwóch koleżanek został odrzucony przez redaktora i producenta jako nieciekawym.

Jeden z kolegów usłyszał o tym pomysle, uznał go za szalenie interesujący i postanowił, że raz jeszcze spróbuje go przeforsować. Poszedł więc w pojedynkę do redaktora i producenta zaprezentować projekt, który nie zyskał ich akceptacji, kiedy przedstawiała go kobieta. Jakimś cudem i redaktor, i producent tym razem uznali, że to doskonale pasuje do programu (jeden z argumentów, z którym się często spotykałyśmy, był taki, że to, co proponujemy, niespecjalnie się nadaje dla naszej grupy docelowej).

Stało się to również jasne, kiedy moi koledzy nagle zostali zatrudnieni na pełny etat, a ja nadal pracowałam na pół. Trwało to przez okrągły rok – ciągle bolał mnie brzuch i czułam się ogólnie bezwartościowa, aż w końcu moja umowa wygasła i oczywiście nie została przedłużona. Na pożegnalnej kolacji czułam ulgę – to była tak prestiżowa praca, że nie miałam siły i odwagi sama złożyć wypowiedzenia. Gdybym dalej mogła tam pracować, pew-

nie nie odważyłabym się odmówić. Jak to powiedział mój mądry terapeuta: „Znalazłaś się w związku opartym na przemocy, a teraz facet, który cię bił, przestał to robić. Ciesz się!”.

Cała redakcja dostała zaproszenie do luksusowej knajpy na Stureplan w Sztokholmie. Po raz ostatni siedziałam w otoczeniu niektórych kolegów. SVT stawiała jedzenie i wino, więc wszyscy jedli i pili na całego, nie zachowując umiaru.

Obok mnie siedział kolega, z którym w ciągu tego roku nie rozmawiałam wiele. Wprawdzie na papierze figurował jako reporter, ale przez cały ten czas nie zrealizował ani jednego reportażu. Pamiętam, że na początku mówił, iż chce zrobić reportaż z Iranu, ale z jakiegoś powodu to nie wypaliło. A może po prostu było tak, jak sam teraz powiedział:

– Nie odpowiadają mi krótkie, szybkie reportaże, w dokumencie wolę raczej ukazywać bieg wydarzeń, proces...

Ach, ta właściwa wielu mężczyznom fantastyczna zdolność, dzięki której z własnych niedoskonałości robią okazję do przechwałek!

Jego styl mówienia przypominał mi aktora Mikaela Persbrandta – w tym samym wyluzowanym stylu wyrzucał z siebie słowa, gwałtownie, ale z obojętnością. Był chyba w podobnym wieku co Persbrandt, długo zajmował się galeriami sztuki w Nowym Jorku, mieszkał z jedną z najbardziej znanych szwedzkich projektantek – krótko mówiąc, szycha. Teraz siedział koło mnie, unosił kieliszek z winem i chciał wznieść toast.

– Saro, cholernie miło było cię poznać.

– Aha... – odpowiedziałam szczerze zdziwiona.

– Naprawdę fajnie, że poruszałaś te kwestie. Sporo się nauczyłem o feminizmie z twoich reportaży.

– Aha...? – odparłam jeszcze bardziej zdziwiona.

– Tak, choć nie ze wszystkim, co mówicie, się zgadzam.

– Wyobrażam sobie – powiedziałam, już nie tak zdziwiona.

– Mam na przykład mieszkanie w Bangkoku i tylko z tego powodu wszystkim, a zwłaszcza feministkom, wydaje się, że chodzę do prostytutek.

– Aha. To przykre, że im się tak wydaje – odparłam.

– No właśnie, a ja od ponad dziesięciu lat nie byłam u prostytutki.

Próbowałam zobaczyć, czy się wygłupia, ale on z kamienną twarzą wypił

tylko łyk wina.

– Co...? – parsknęłam i zaśmiałam się lekko, żeby pokazać, że lubię żarty.

– Poważnie mówisz, że chodziłeś do tajskich prostytutek?

– Tak, i widzę, że się obruszyłaś, ale wiedz, że nigdy nie korzystałem z ich usług, kiedy byłem z kimś w związku. Nigdy nie zdradziłem żadnej z moich dziewczyn – oznajmił i spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczyma, jakby chciał podkreślić, jaki to z niego honorowy facet.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie ani trochę, czy kogoś zdradziłeś. Każdy może się pieprzyć z każdym do woli, ale oburza mnie fakt, że wykorzystywałeś biedne tajlandzkie kobiety, które muszą się prostytuować, żeby przeżyć. Jak to jest posuwać kobietę, która musi zrobić to dla pieniędzy, a nie jest ani trochę napalona? – zapytałam z oburzeniem.

– To nie jest takie proste, nie chodzi tylko o to, że nie są napalone – odparł, a ja znowu spojrzałam mu w oczy, próbując zobaczyć, czy nie robi sobie ze mnie jaj.

Najwyraźniej dostrzegł moją desperację, bo zaczął zwracać się bezpośrednio do mnie.

– Byłaś kiedykolwiek w Tajlandii?

– Nie – odpowiedziałam.

Kiwnął potwierdzająco głową.

– Tak też myślałem! Dla kogoś, kto nigdy nie był w Tajlandii, to trudne do zrozumienia. Tam jest po prostu zupełnie inna kultura, gdy chodzi o te sprawy – pouczył mnie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że prostytuowanie się Tajek leży w ich kulturze? – zapytałam, a mój głos osiągnął tak wysokie tony, że czułam go w gardle.

– Cholernie trudno wytłumaczyć to komuś, kto nigdy tam nie był, ale to są dziewczyny, które nie chcą się pocić w fabryce przez szesnaście godzin dziennie i dlatego wybrały prostszy sposób zarabiania pieniędzy.

– Przestań już, z łaski swojej. Nie chcę tego dłużej słuchać – powiedziałam i wypłam szybko trzy łyki wina.

W tej samej chwili do naszego końca stołu podszedł Pan Producent i usiadł.

– Słuchajcie, wszyscy myślą, że się do siebie kleicie. Gadacie już tak dłu-

go i wszystkim się wydaje, że jesteście jakby razem...

Był porządnie wcięty i miał trudności ze skupieniem wzroku.

– Nie, dyskutowaliśmy trochę i Sara jest na mnie zła – powiedział mój kolega, patrząc w stół.

– Cococo? – odparł Pan Producent i wyszczerzył się, ukazując złowieszczo zwisający kawałek snusu, który barwił mu zęby na czarno.

Skoro pyta, będzie miał odpowiedź – pomyślałam.

– Dennis właśnie opowiedział, że korzystał z usług tajskich prostytutek, a mnie to zbulwersowało – oznajmiłam, wpatrując się w producenta.

Wytrzeszczył oczy i przez chwilę udawało mu się skupić spojrzenie, jednak po chwili szybko się podniósł i bez słowa poszedł w kierunku toalet.

Mój kolega również wstał i poszedł znaleźć sobie miejsce na drugim końcu stołu.

Zostałam sama i czułam, jak pod powiekami zaczynają piec łzy. Kurwa. Żebym tylko nie zaczęła teraz płakać, nie zaczęła płakać, nie zaczęła płakać, abażur, abażur, abażur.

Było późno, a ja byłam zbyt pijana, więc pojechałam na rowerze. Była zimna wiosenna noc, a ja płakałam tak mocno, że musiałam się zatrzymać pod zamkiem i iść z rowerem. Podniosłam wzrok na wystrojonych młodych mężczyzn, którzy strzegli zamku, przybierając sztywne pozy. Pomyślałam o biednym królu, jego biednej królowej i ich biednych dzieciach. Co za zakłamanie życie, co za biedni, biedni nieszczęśnicy!

Usiadłam na krawężniku, żeby odpocząć, i zaczęłam myśleć o wszystkich grach, w które ciągle gramy. O tym, jak trudne jest bycie bezpośrednim i szczerym, a już najtrudniejsza ze wszystkiego jest szczerłość wobec samego siebie.

Płakałam nad wszystkimi przekłętymi klientami prostytutek, nad producentami i szefami, a także nad wszystkimi producentkami i redaktorkami, które grają w tę samą męską grę. (W piekle jest szczególne miejsce dla kobiet, które sobie nawzajem nie pomagają!). Płakałam nad wszystkimi kolegami dziennikarzami. Płakałam, ponieważ byłam pijana, i dlatego, że jestem człowiekiem.

Koło się zamknęło, a kiedy wreszcie wstałam z krawężnika i ruszyłam na rowerze do domu, przestałam płakać i zaczęłam rozumieć, w jakim gównie

grzebałam się przez ostatni rok. Albo, jeżeli chcemy mieć jasny obraz sytuacji, w jakim głównie grzebię się nadal każdego dnia, kiedy pracuję jako dziennikarka.

Badania statystyczne potwierdzają: kobiety dostają pracę na pół albo część etatu, podczas gdy ich koledzy na tych samych stanowiskach są zatrudniani na stałe, na pełny etat, więcej zarabiają i tak dalej, i tak dalej...

Doktorantki na medycynie muszą być cztery razy bardziej wykwalifikowane od swoich kolegów, żeby zostać zatrudnione przy badaniach.

To samo dotyczy oczywiście dziennikarstwa, ale tak się składa, że branży dziennikarsko-medialnej nikt się pod tym kątem nie przyglądał.

Naprawdę próbuję znać swoją wartość. Czuć swoją wartość. Chciałabym tylko, żeby nie wymagało to tak dużego wysiłku.

Nieważne, ile nagród czy dobrych recenzji kiedykolwiek dostanę, wciąż będę się czuła jak ten cholerny paw.

– Hampus! Cornelia! – krzyczy desperacko jakaś kobieta do dwójki dzieci, które oszalałe z radości ganiają się niebezpiecznie blisko krawędzi basenu.

Szuka wzrokiem swojego męża, ale ten zajęty jest studiowaniem butelki heinekena, którego, w niskiej cenie, można kupić w hotelowym *supermercado*.

W La Quinta Park całkiem sporo tatusiów popija piwo przy basenie, podczas gdy mamy biegają za dziećmi jak oszalałe. Ciągłe te kobiety odparowujące ciosy i nieobecni mężczyźni. Lęk w czystej postaci. Co by się stało, gdyby kobiety powiedziały *Ya basta?*

Kiedy widzę, jak mężczyzna przy basenie pije czwartego heinekena, nie mogę nie pozwolić sobie na odrobinę myślenia życzeniowego: „Spadaj stąd, kobieto!”.

Myślę o mamie. Kochana mama! Nieoszlifowany diament, który nigdy nie zrozumiał, co ma w środku. Mając innych rodziców i innych starszych braci, być może by zrozumiała.

Gdyby zdawała sobie sprawę ze swojej wartości, być może odeszłaby od taty, kiedy po raz pierwszy wykrzyczał, że jest bezwartościowa i brzydka. Spojrzałaby na niego jak na nienormalnego i spokojnie powiedziała:

– Nikt nie będzie do mnie mówił w ten sposób. Możesz pakować walizki

i się wynosić.

Ona jednak nie przestawała zmywać. Zwrócona plecami do taty i do nas. A tata nie przestawał krzyczeć. Teraz siedzę na brzegu basenu, widzę heinekenowych tatusiów i czuję, jak bardzo jestem na niego wściekła. Niekoniecznie dlatego, że był nieobecny, nieudany tata – z tym mogłam żyć. Chodzi o wszystkie okropne słowa, które wykrzykiwał do mamy.

Jest jakaś surowa sprawiedliwość w tym, że kobieta, która przez wszystkie te lata się nami opiekowała, również ma z nami najlepszą relację. Że ta, która zawsze dbała o kontakty z przyjaciółmi i rodziną, nie straciła ich. Nadal utrzymuje kontakt ze swoją teściową, moją babcią, i siostrami taty – Kristiną i Solveig. Z kolei tata w całym swoim dorosłym życiu nie wysłał chyba ani jednej kartki na urodziny.

Mama jest żywym przykładem na to, co i tak jest dla nas jasne. Że kobiety często rozkwitają po rozwodzie, podczas gdy mężczyźni nagle odkrywają, jak bardzo są samotni.

Cenę za nadrzędną pozycję mężczyzn płacą nawet oni sami. Musi być trudno zdać sobie z tego sprawę, jeżeli przez tyle lat ma się wszystko podane pod nos. Teraz mój ojciec jest sam, bezbronny w swoich próbach podtrzymania kontaktu z dziećmi, które odpowiadają mu tylko z grzeczności.

Czy przepęlnia go poczucie winy? Czy cokolwiek zrozumiał? A może wszystko jest rozkoszną breją zapomnienia i wyparcia?

Może płacze nocami. Tak jak wtedy, kiedy byłam mała, a on płakał nad popcornem.

Wtedy, dawno, dawno temu, naprawdę potrafił mnie pocieszyć, kiedy byłam smutna. Nie zapomnę tego.

Ale nie zapomnę też, jak mnie przerażał, kiedy dręczył mamę. Jak bardzo się go bałam. Jak na zawsze został tata, na którym nie mogłam polegać. Tata, którego mroczne strony sprawiały, że czasem przekraczał granicę.

Lęk, jaki czuję w dorosłym życiu, jest tym samym, który czułam w dzieciństwie. To otwierająca się przepaść, przez którą nie potrafię się przeprawić. Nieprzenikniona ciemność w próżni.

Głęboko w środku czuję bezdenną tęsknotę za zapewniającym bezpieczeństwem tatą, który potrafił pocieszyć. Ale moje rozczarowanie także nie



ma dna. I stoi na drodze do pojednania.

Dlatego kiedy od czasu do czasu z nim rozmawiam, mówię jak telefonistka. A ponieważ nigdy nie przysłał mi kartki na urodziny, ja również przestałam do niego pisać. Dzwonię tylko i mówię: „Wszystkiego najlepszego”.

Urodziny pozwalają dostrzec całe to gówno. Jak kiedyś powiedziała moja radiowa koleżanka, kobieta koło pięćdziesiątki: „Kiedy on ma urodziny, to ja sprzątam mieszkanie, dzwonię po krewnych i znajomych, robię zakupy, gotuję i kupuję prezenty”.

Kiedy mama miała urodziny, tata zwlókł się niechętnie z łóżka dopiero wówczas, gdy Kajsa i ja obudziłyśmy go natarczywymi uszczypnięciami. Wreszcie zszedł do kuchni, gdzie już zdążyłyśmy przygotować śniadaniową tacę. Chcąc zamaskować pustki, zerwałyśmy trochę bratków, które mama zasadziła przed domem.

Następnie weszłyśmy po schodach, śpiewając najgłośniej, jak się dało, żeby nie było słychać, że tata milczy.

Mama w dalszym ciągu mówi zawsze, że „nie życzy sobie żadnych prezentów na urodziny”. A potem cieszy się równie mocno z każdego drobiazgu.

Wszystkie paskudne lata, które przeżyła, sprawiły jednak, że w dalszym ciągu stoi często przy zlewozmywaku, zwrócona do nas plecami. Odkurza, obiera ziemniaki, zostawia chleb do wyrośnięcia, a jednocześnie wypija łyk letniej kawy i zaciąga się papierosem. Trudno jej po prostu być i myśleć, że jej jedyną wartością jest zdolność do usługiwania i sprzątania.

Lasse, facet, z którym mieszka od dziesięciu lat, jest sympatyczny i chce dla niej dobrze. Ogląda telewizję, wychodzi z psem, jest niezadowolony ze swojej pracy, gra w golfa i czyta popołudniowe gazety. Siada w swoim własnym telewizyjnym fotelu i pyta:

– Co jemy dziś wieczorem?

– Połędwicę wieprzową z pieczonymi ćwiartkami ziemniaków – odpowiada mama z dumą.

Myślę, że jest im całkiem dobrze razem – mimo prastarych wzorców, których najwyraźniej nie da się zmienić.

Mimo wszystko boli mnie, kiedy na to patrzę. Chciałabym, żeby mama pojęła, tak naprawdę, jaka jest wspaniała. Żeby zrozumiała, jak bardzo je-

stem wdzięczna za to, że zawsze przy mnie była. Że miała tak wiele pomysłów: wyjazdy na narty zimą i nad wodę latem. Że czasem robiła nam na śniadanie gorącą czekoladę z bitą śmietaną. Że na stulecie szkoły uszyła mi fartuszek Madiki z Czerwcowego Wzgórza. Że przychodziła na wywiadówki. Na spotkania kontrolne z nauczycielami. Za to, że czasami piekła na podwieczorek prawdziwe bananowe ptysie. Że tak często była wesoła, choć musiało jej być trudno.

Czasami staje się równie ekscentryczna jak ruda mama Isadory, śmieje się na cały głos i tańczy disco. Wtedy jestem z niej niezmiernie dumna. Z niej i z mojego dziedzictwa. Okazuje się, że nie jestem go tak zupełnie pozbawiona.

Czuję to, patrząc, jak gania z Siggem po drabinkach. Szalejąc z radości, krzyczy, że jest piratem. Odważnie wchodzi za nim po szczebelkach, gdy wszystkie inne babcie patrzą z boku zawstydzone. Może uważają, że przesadza? Wyje i krzyczy za Siggem. Słyszę jej wysoki, ostry głos w całym parku i wypełnia mnie to ciepłem. To samo czułam, kiedy na pięćdziesiątych urodzinach mojej ciotki śpiewała karaoke, choć słoń nadepnął jej na ucho.

Ciotka Ulla kupiła sprzęt do karaoke specjalnie na przyjęcie, licząc na to, że jej goście się wyluzują. Jednak nikt, ani jedna osoba z tego przerażonego towarzystwa o ściśniętych ustach, nie chciał śpiewać karaoke. Choć wszyscy byli członkami Wolnego Kościoła i w każdą cholerną niedzielę śpiewali w chórze.

Kocham moją ciotkę i poczułam pogardę do tych wszystkich milczących sztywniaków.

W końcu przyszła mama, wykrzyczała po swojemu *Fyra Bugg & En Coca-Cola* i było fantastycznie. Nikt z gości nie klaskał. Wszyscy tylko patrzyli po sobie z takim wyrazem twarzy, jakby chciało im się rzygać. Byli w szoku. Tak się zezłościłam, że spytałam jednej z bab, która na twarzy miała największe obrzydzenie, czy źle się czuje. – Nie – odpowiedziała niepewnie, a jej usta przypominały wąską kreskę.

Wiem oczywiście, że moje pytanie nie było szczególnie miłe, ale musiałam w jakiś sposób obronić mamę przed wszystkimi złymi spojrzeniami. (Później tego samego wieczoru pokarało mnie, kiedy się dowiedziałam, że właśnie tę kobietę niedawno zostawił mąż i właśnie pokonała raka...

Wstydz się, Saro).

Ja, moje kuzynki, Ulla i ciotka Kristina byłyśmy jedynymi, które krzyknęły „Brawo!” po tym, jak zaśpiewała. A potem same zawtórowałyśmy, na przekór sztywniactwu, i krzyczałyśmy z radości jak wariatki.

Ja z pasją zaśpiewałam *800 stopni* Ebby Grön. „Możesz na mnie liczyć, możesz na mnie liczyć”. Zapogowałam w małym salonie Ulli. Mama leżała zwinięta na podłodze, zanosząc się tym swoim ostrym, piskliwym rechotem.

Śmiała się ze mnie. To była wielka chwila w moim życiu.

Po jakimś czasie odkryłyśmy, że wszyscy przenieśli się na balkon, żeby nie musieć nas słuchać. Ale nam całkiem już odbiło i nie przestawałyśmy się wydzierać.

*All Shook Up, Let's Go to the Hop, I Will Survive, Good Vibrations.*

O dwudziestej trzeciej wyszli ostatni goście, ale zostało jeszcze mnóstwo szampana, więc bawiłyśmy się dalej do późnej nocy. Śpiewałyśmy, pijane własną wielkością.

W tamtym salonie, na widok mamy tańczącej na całego i wtórującej Elvisowi, rozpierała mnie duma. Moja odważna, pewna siebie, szczęśliwa mama. Która ma gdzieś wszystkich sztywniaków.

Nie, tak zupełnie pozbawiona dziedzictwa na pewno nie jestem.



## *MÓWIĘ DO WIDZENIA (1993)*

To mój ostatni rok w domu, w sierpniu po maturze przeprowadzam się do Sztokholmu. Mama i tata nie rozmawiają ze sobą, nie licząc chwil, kiedy tata jest pijany – wtedy krzyczy. Mój pokój jest na drugim końcu domu, więc nie słyszę słów, tylko podniesione głosy.

Większość nocy spędzam u Jensa, Micke'a albo któregoś ze starszych chłopaków, tych, którzy mają swoje mieszkania. Jest cicho, spokojnie i mogę przychodzić i wychodzić, kiedy mi się podoba. W ich łóżkach mogę leżeć blisko, bardzo blisko, objęta ramieniem.

Czasami jadę na rowerze do domu po nowe ciuchy. Mama jest zrozpaczona i za każdym razem prosi mnie, żebym spała w domu.

– Nie chcę, żebyś tak dużo czasu spędzała poza domem – mówi, łapiąc mnie za skórzaną kurtkę.

Nie chce mnie puścić, więc siłą unoszę jej czerwone od egzemy dłonie. Biegnę do roweru, wsiadam, krzyczę: „Na razie!”, i odjeżdżam. Nie mogę znieść krzyku i ciszy. Taty, który ciągle znika, wychodzi z domu i wraca o dziwnych porach, w środku nocy. Mamy, która próbuje wieść normalne życie, ale ostatnio zbyt często płacze. W dzień albo wieczorem, kiedy chcę wyjść.

Ale ja odjeżdżam, odjeżdżam jak najdalej i każdego wieczoru jestem

szczęśliwa, piękna i upijam się u Doktora Z. Tam przychodzą wszyscy moi chłopacy i inne nocne istoty, które chętnie zostają do zamknięcia lokalu o trzeciej nad ranem.

Pewnej nocy, kiedy wracam do domu, łóżko rodziców jest puste. W domu nie spałam już od kilku dni i teraz chodzę po naszym pogrążonym w ciszy szeregowcu i szukam. Zaglądam do śpiącego brata i śpiącej siostry. Mamy i taty nigdzie nie ma. Zaczynają przechodzić mnie ciarki i czuję, że drzę, kiedy otwieram wszystkie drzwi po kolei. Boję się tego, co znajdę. Nie ma już żadnych granic – wiem, że może się zdarzyć cokolwiek.

W końcu znajduję mamę śpiącą na polowym łóżku w małej szwalni, którą sama sobie urządziła. Czuję ulgę, kiedy widzę, że tam śpi i nic jej się nie stało.

– Mamo! – wołam i potrząsam nią. – Obudź się! Już jestem w domu!

Mama zrywa się do pozycji siedzącej i patrzy na mnie przestraszonym wzrokiem.

– Aha. To bardzo dobrze – mówi po chwili.

– Gdzie tata? – pytam.

– Nie wiem! – odpowiada ze złością.

– No to dobranoc! – mówię, idę do pokoju i przebieram się w piżamę.

Kiedy zamykam drzwi na klucz, nagle to do mnie dociera. Nie zapytałam mamy, dlaczego spała na łóżku polowym, a nie w ich wspólnym w sypialni. Naciągam na twarz kołdrę i myślę, że nie zapytałam, bo nie chcę znać odpowiedzi.

Śni mi się, że pływam w głębokim basenie. Nagle widzę, że na dnie leży mój młodszy brat. Próbuję do niego podpłynąć, ale jest za głęboko. Udaje mi się pokonać zaledwie kilka metrów. Wyciągam ręce z całej siły, ale nie sięgam i cały czas muszę wypływać na powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu.

W basenie jest wielu pływaków – płaczą i krzyczą, że muszą mi pomóc. Kilku próbuje, ale basen jest zbyt głęboki także dla nich i widzę, że w moim leżącym na dnie braciszku jest coraz mniej życia.

Próbuję ponownie i tym razem widzę, że na dnie aż roi się od utopionych dzieci. Cały basen to masowy grób. Poddaję się i ze łzami w oczach płynę do brzegu. Staram się nie patrzeć w dół. Przepelnia mnie obrzydzenie

– pode mną są dziecięce zwłoki.

Coraz częściej budząc się rano, spostrzegam, że poduszka jest mokra od łez i potu.

Nienawidzę liceum i chodzę tam tylko ze względu na moje przyjaciółki: Ylvę, Cissi, Annie i Sannę. Wszystkie grupowe prace robimy w cukierni Hallströms, gdzie można wziąć dokładkę za darmo, tam też pijemy kawę, od której całe aż się trzęsiemy. Zatrute kofeiną, wygłaszamy długie, rozwlekłe referaty na temat Kuby, Castro i społeczeństwa klasowego.

Nauczyciele wachają moje ubrania, które zawsze śmierdzą knajpą i dymem, i być może przypuszczają, że obracam się w złym środowisku. Może się domyślają, że pochodzę z pełnej lęków dysfunkcyjnej rodziny? Nie zwracają się już bowiem do mnie tym samym, pełnym nadziei tonem co na początku, kiedy przyszedłam z wysoką średnią ze szkoły podstawowej. Teraz zaczęli być protekcyjnalni i znudzeni.

Pewnego wieczoru, kiedy chwiejnym krokiem wracam z Doktora Z., spotykam chłopaka z mojej szkoły. Nie znamy się – on wybrał nauki przyrodnicze, ale wiem, że ma na imię Oskar i mieszka w wytwornej dzielnicy willowej tuż za miastem. Kiedy go mijam, cedzi przez zęby:

– Pieprzona komunistyczna dziwka!

Ale ja jestem pijana, więc śmieję się i idę dalej. Następnego dnia widzę chłopaków z dwuletniego kierunku praktycznego, palących papierosy w rogu szkolnego dziedzińca. Mają najniższy status w szkole, a wszyscy inni gardzą nimi za wieczne znudzenie i nieudacznictwo. Obok przechodzi Oskar ze swoimi przyjaciółmi. Mają przylizane do tyłu włosy i drogie kurtki. Mówią coś do palaczy i rechoczą, a ja orientuję się nagle, w jaki sposób na mnie patrzą. Chcą dać mi do zrozumienia, że teraz należę do nieudaczników. W ich oczach jestem jedną z nich. Zaczynam podejrzewać, że mają rację...

W szkolnym chórze spotykamy się wszyscy. Oskar i jego koledzy z wyższych klas, zmęczeni szkołą ludzie z kierunku społecznego, którzy nie chcą stracić okazji do opuszczenia lekcji, a także tacy jak ja i moje przyjaciółki. Nieco lewicujące, interesujące się kulturą „komunistyczne dziwki”. Tworzymy hałaśliwe towarzystwo, które śpiewa najgłośniejszy, jak się da, żeby stłu-

mić mętlik w głowach. Zbliża się święto Łucji i śpiewamy o gwiazdach świecących nad Dzieciątkiem Jezus. To „tradycja”. Kolejną tradycją w naszym stuletnim liceum jest to, że chłopaki robią sobie lekkie jaja z uroczystości. Drużbami są zawsze chłopaki z kierunku przyrodniczego, ci ze społecznego są skrzatami i nie biorą udziału w wygłupach. Stoją tylko obok, głupio się uśmiechając, tak samo jak my, druhny.

Chłopaki z przyrodniczego często zmieniają tekst pieśni o parobku Staffanie tak, żeby opowiadała o innych rzeczach, a kilku wkłada dziwne czapki zamiast tradycyjnych spiczastych. To zabawne i doceniane przez publiczność występy – śmieje się z tego cała aula uczniów i nauczycieli. Co roku jest tak samo, teraz zaś jesteśmy w ostatniej klasie i do występu przygotowuje się Oskar z kolegami. Słyszemy, jak omawiają tekst i śmieją się głośno ze swoich propozycji.

Stoimy obok, głupie i posłuszne, ćwiczymy kretyńskie pieśni o durnym Jezusie i czujemy, jak wzbiera w nas złość. Przychodzi taki dzień, że staje się ona nie do zniesienia.

Trzęsiemy się po kawie u Hallströma, a Ylva opowiada, jak bardzo się stresuje. Jest piękna ze swoimi długimi, czarnymi włosami i nie ulega wątpliwości, że to ona zostanie wybrana Łucją, ponieważ bardzo ładnie śpiewa. Ale dziś wszystko jest okropnie dołujące. Może dlatego, że chłopaki na próbie przechrzcili Staffana i jego żrebaki na Bałwana i jego tępaki i śmiał się z tego cały chór. A potem my musiałyśmy zaśpiewać *Jaśnieje gwiazda* i nagle zrobiło się wyraźnie nudno.

Wszystkie cierpimy i wypijamy jeszcze więcej kawy. Szczególnie łączymy się w cierpieniu z Ylvą, bo to ona ma stać na samym przedzie i reprezentować całe to gównno. Annie pyta, jak to się stało, że my, takie wystrzałowe dziewczyny, zmieniłyśmy się w „chrześcijańskie dziewczynki”.

– My, które kiedyś byłyśmy dumnymi komunistycznymi dziwkami... – mówię, a Cissi przynosi dzbanek i znów napełnia nam filiżanki.

Sanna dotąd siedziała cicho, ale nagle zaczyna żywiołowo machać rękami.

– Wiem! – mówi. – Zbierzemy wszystkie druhny i zrobimy zamach na Łucję!

Ciemnego grudniowego poranka Łucja i jej druhny stoją w pustej klasie

i robią sobie brzuchy. Wkładają poduszki pod nieforemne nocne koszule i zawiązują w pasie choinkowe łańcuchy, żeby brzuch był okrągły i wyraźny. Pomagamy sobie nawzajem z makijażem – intensywnie czerwone usta i zielony, rozmazany cień do powiek. Makijaż dziwki.

O wpół do ósmej wkraczamy powoli do zatłoczonej auli i śpiewamy tak pięknie, jak tylko potrafimy.

Próbuję zobaczyć jakąś reakcję na twarzach zgromadzonych w auli, ale spojrzenia wszystkich są puste. Nikt się nie śmieje ani nie uśmiecha. A więc czas na solówkę chłopaków. Oskar robi trzy kroki do przodu i zaczyna śpiewać swój przebój o Bałwanie i tępakach. Tekst opowiada o tym, że wolą pić piwo niż jeść kaszę, wolą dłużej pospać niż iść w orszaku świętej Łucji, a najbardziej ze wszystkiego chcą mieć własną druhenę do przytulania. Koniec pieśni. Publiczność – uczniowie i nauczyciele – wybucha dzikim śmiechem. Naprawdę łatwo ich rozbawić. Nadchodzi kolej na nas. Ylva robi krok do przodu, po czym dwadzieścia druhen w zaawansowanej ciąży zaczyna śpiewać: „Aaoooomm... aaooommm...”. Po czym na melodię pożyczoną z *Łosie demonstrują* śpiewamy:

*Druhny demonstrują*

*druhny mają dość*

*druhny chcą się bawić*

*we własnym orszaku*

*aaaooommm...*

*aaooommmmm*

Ylva wyjmuje megafon i krzyczy:

– Moje druhny żądają weselszego orszaku!

A my cały czas akompaniujemy miarowym:

*aaooommm*

*aaaooommm*

*aaooommm*

*aaaooommm*

Następnie zapada cisza. Ylva robi krok do tyłu i czekamy. Na cokolwiek. Nadal jest cicho. Aż w końcu nauczyciel muzyki wyraźnie zażenowany ude-



rza pierwszy akord pieśni o Łucji i po raz kolejny jesteśmy zmuszone śpiewać to cholerstwo naszymi sopranami – tym razem idąc orszakiem między rzędami patrzących na nas pusto oczu.

Stoimy w pustej klasie, która służyła nam za przebieralnię. Ylva zdejmuje koronę ze świecą, a stearyna skapuje na jej długie włosy. Na ścianie wisi duża mapa świata – w miejscu Nowego Jorku ktoś przykleił wyżutą prymkę snusu.

– Pierdoleni, głupi nudziarze! – cedzi przez zęby.

Sanna masuje jej barki, a Cissi komenderuje, żebyśmy się, do cholery, pospieszyły.

Później idziemy zwartą grupą przez nasze małe zadupie, brodząc w śnieżnej brei w drodze do domu Annie. Tam, w piwnicy, wyciągamy rum i colę. Jest wpół do dziesiątej przed południem – butelkę przekazujemy sobie z rąk do rąk po wypiciu trzech szybkich łyków. Pijemy do oporu, a potem zwijamy się na podłodze, jedna na drugiej. Z wieży stereo puszczaemy *Know Your Rights* grupy The Clash tak głośno, że aż dudni, wypełniając nam głowy. Wszystko łomocze. Zdążam jeszcze pomyśleć, że jest pięknie, a zaraz potem zasypiam, całkowicie bezpieczna.

Wiosna jest zimna i umarłabym, gdyby nie moi przyjaciele. Umarłabym, gdyby nie bliskość czekająca na mnie w łózkach moich chłopaków. Tam jest ciepło i spokojnie, a ja kocham ich wszystkich, co do jednego.

Któregoś dnia, wracając rowerem ze szkoły, nagle łapię gumę. Zeskakuję z roweru i już mam włączyć muzykę w moim discmanie, kiedy mija mnie tata na nowym, lśniącym, srebrnym rowerze. Patrzymy na siebie zdziwieni – ostatni raz byłam w domu przed tygodniem.

– Mam kapcia – mówię krótko, bo nie wiem, co powiedzieć.

To nietypowe rozmawiać z nim w takich spokojnych, codziennych okolicznościach.

– Aha – odpowiada tylko i żuje gumę, która ma zamaskować zapach alkoholu.

– Kupiłeś nowy rower? – pytam.

– Zgadza się. Osiemnaście przerwutek. Nie był tani, ale pomyślałem, że dobrze byłoby mieć rower – mówi, a ja myślę o starym, zardzewiałym, bez-

przerzutkowym rowerze mamy, który ma już ponad piętnaście lat i którym zawoziła nas do przedszkola przez wszystkie te lata, kiedy tata miał samochód.

W zimie we wczesne poranki owijała nas kocami i przedzierała się przez śnieg z błotem. Kajsa siedziała na bagażniku, a ja na kierownicy – przyjemnie było tak siedzieć, otulonej kocem i porannym zmęczeniem. To właśnie ten czerwony, używany DBS, który obładowuje ciężkimi siatkami i na którym nadal się czasem telepie.

– Kupiłeś go dzisiaj? – pytam.

– Tak, i po raz pierwszy w życiu opalałem się w solarium – mówi i śmieje się lekko zawstydzony.

Coś we mnie pęka i po chwili orientuję się, że tym, co czuję, jest pogarda. Tak bardzo nim gardzę i na dodatek nie potrafię tego powstrzymać – pogarda rozlewa się po całym moim ciele. Widzę, jak leży w solarium z uśmiezkiem na ustach i poci się jak świnia. A w tym samym czasie mama jedzie na swoim starym, brzydkim DBS-ie zabrać mojego braciszka ze świetlicy i zrobić zakupy, a teraz najprawdopodobniej przygotowuje w domu kolację.

Pogarda z dużą prędkością płynie w moich żyłach. Gardzę nim za jego ataki złości, które mnie przerażają, za to, że zbyt mocno chwyta mojego brata, kiedy się na niego wydziera. Za to, że przez niego brat płacze, i że powiedział, iż moja siostra jest brzydka, kiedy założyli jej aparat na zęby. Gardzę nim, ponieważ głosował na Nową Demokrację i mówi te wszystkie rasistowskie rzeczy o muzułmanach i czarnoskórych. Ponieważ wszystkich nas zamecza na śmierć swoją przeklętą osobą.

Być może wyczuwa moją pogardę, bo nagle wskakuje na rower i mówi:

– To na razie, do zobaczenia w domu.

Patrzę na jego oddalające się plecy i zastanawiam się, co to znaczy, że nie poszedł tam ze mną.

Czuję jakiś ból. Może to kac po pogardzie?

W domu jemy spaghetti z sosem bolońskim – wszyscy oprócz taty. On robi coś w garażu. Nikt nigdy nie wie, gdzie jest albo czym się zajmuje, wiadomo tylko, że wychodzi i przychodzi, jak mu pasuje, o najdziwniejszych porach. Kiedy kończymy jeść, idę do niego do garażu. Bardzo chcę przestać

go nienawidzić i wstydę się głębokiej pogardy, jaką czułam wcześniej tego dnia.

Tata porządkuje narzędzia. Wiesz je na odpowiednich miejscach i wyrzuca zepsuty złom.

– Cześć, tato – mówię.

– Cześć – odpowiada i patrzy na mnie zdziwiony.

– Pomóc ci? – pytam, wskazując stertę rupieci do wyrzucenia.

– Nie, nie trzeba – mówi i przerywa pracę. – Saro... Muszę ci coś powiedzieć...

– Aha. Co takiego? – pytam, przygotowana na najgorsze.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz był taki spokojny i poważny. Może za chwilę powie mi, że jest poważnie chory na raka? Tłumaczyłoby to jego niewytłumaczalne wybuchy gniewu, nieobecność, depresję.

– No więc twoja mama i ja postanowiliśmy się, niestety, rozwieść...

Patrzy na mnie wyczekująco. Jakby spodziewał się ostrej reakcji, protestu.

Przypominają mi się te wszystkie razy, kiedy wykrzykiwałam im, że żałuję, iż się nie rozwiedli. Może nie brał tego na poważnie. Może naprawdę myślał, że dobrze jest nadal być razem „dla dobra dziecka”?

– Bardzo dobrze – mówię. – Już dawno powinniście byli to zrobić.

Tata patrzy na mnie, w milczeniu przygryzając wargę. Jego twarz tężeje i zmienia się w nieprzystępną maskę.

Próbuję wyjaśnić.

– Odkąd pamiętam, byliście nieszczęśliwi. Nie rozumiem po prostu, dlaczego nie rozwiedliście się wcześniej.

– Aha. No to przynajmniej rozumiesz – mówi tata, odwraca się do mnie plecami i znów zaczyna gmerać w narzędziach.

Dzwonię do Krillego i proszę, żeby przyjechał po mnie samochodem. Jedziemy do niego do domu. Tam głaszczę mnie po głowie, a ja płaczę. Obejmuje mnie mocno, aż w końcu zasypiam.

W szkole kłócę się z nauczycielem szwedzkiego. Jest łysy, ma szaliczek intelektualisty i nie potrafi ukryć, że uważa się za bardziej interesującego od reszty.

Właśnie odkryłam, że nasz podręcznik do literatury nie wspomina o żad-

nych innych pisarkach poza Selmą Lagerlöf. Czytamy o modernistach i pytam, dlaczego nigdzie w całej grubej książce nie ma ani słowa o Virginii Woolf.

– Autorzy tej książki – odpowiada ze złością nauczyciel, mierząc mnie jednocześnie surowym wzrokiem – dokonali wyboru autorów, którzy mają największe znaczenie dla literatury.

Wiem, jaka nieznośna się staję, jaki katastrofalny wpływ będzie to miało na ocenę i relację z kolegami, którzy już mają mnie za upierdliwą, ale nie mogę się powstrzymać.

– Chętnie dowiedziałabym się więcej o Virginii Woolf – mówię. – Ona jest dla mnie ważna.

– Jednak jeżeli chodzi o modernizm, Proust i Joyce są o wiele ważniejsi – odpowiada nauczyciel, a ja zaczynam go nienawidzić.

Nienawidzę coraz mocniej i coraz więcej osób.

Kiedy nadchodzi matura, mam fatalne oceny, ale jestem na wskroś szczęśliwa. Wypełnia mnie poczucie wolności, którego pragnęłam i na które czekałam całe życie.

Jestem pijana szampanem od wczesnego poranka do późnej nocy. Zjawiają się wszyscy krewni, dawni znajomi, sąsiedzi i wszyscy starzy i nowi chłopacy.

Wszyscy są zgodni i wyglądają na szczęśliwych, włącznie z mamą i tatą. Jem tort kanapkowy i upajam się świadomością, że następnego poranka wyjadę w miesięczną podróż koleją po Europie. Nagle czuję każdą cząstką swego ciała, że całe to swoiste piekło zostawiam za sobą. Czeka mnie coś nowego: Europa i całe życie.

Rankiem następnego dnia siedzimy już stłoczone w przedziale – moje cztery najlepsze przyjaciółki i ja. Na peronie stoją nasi rodzice i rodzeństwo.

Widzę ciemne kręgi pod oczami taty i zmarszczki od papierosów wokół ust mamy. Oboje wyglądają na zmęczonych. Patrzą na moją kochaną siostrzyczkę i najwspanialszego braciszka. Czuję ukłucie winy – ratuję samą siebie i zostawiam ich w piekle, z mamą i tatą. Nie chcę jednak, żeby wyrzuty sumienia zagłuszyły moją radość z wolności.

Nie teraz.

Ja też jestem zmęczona i tęsknię za tym, żeby móc się cieszyć.

Pociąg rusza, wychylamy się przez otwarte okno i machamy.

– Pa, pa! – krzyczę głośno.

– Pa, pa! – wrzeszczę.

Pa, pa, skurwysyny. Pa, pa, wszyscy. Pa, pa, do ciężkiej cholery.



## POMPONY W PANTERKĘ

Dzwonię do domu, żeby usłyszeć głos Siggego. Wczoraj nie chciał rozmawiać ze mną przez telefon. Dzisiaj jednak podchodzi do słuchawki.

– Hej, kochanie. Mówi mama. Jak się czujesz?

– Hej. Dobrze. Pa – mówi, oddaje słuchawkę i biegnie.

Słyszę jego kroki na drewnianym parkiecie. Czuję ukłucie w sercu i staram się to opanować, ale mój głos jest coraz wyższy i przechodzi w falset. Po raz kolejny swoista surowa sprawiedliwość: jeśli wyjeżdżam, muszę się liczyć z tym, że będzie na mnie zły.

Babcia Eva, która opiekuje się Siggem, opowiada, że wspólnie narysowali, jak wszyscy troje – Johan, Sigge i ja – płyniemy statkiem na Teneryfę. Wszyscy troje.

Kończymy rozmowę, a ja czuję wielką tęsknotę, połączoną z niepokojem i poczuciem winy. Co ja zrobiłam? Co ja tutaj robię?

Próbuję przywołać owo ciężkie, przemożne zmęczenie, z którym zmagalam się od tygodni, zanim tu przyjechałam. Wspomnienie tego, jak okropnie się czułam i jak bardzo tęskniłam za snem i samotnością.

Cholera, że też nic nigdy nie może być dobrze. Nie było mnie pięć dni.

Pięć parszywych dni! Dwulatek i jego nieszczęsna trzydziestoletnia mama powinni chyba sobie z tym poradzić, nie przeżywając przy okazji poważnej traumy?

Na płycie Nina Simone śpiewa: *I wish I knew how it would feel to be free.*  
O tak. *I wish.*

W hotelu jest siłownia dla gości. Jak zwykle, gdy jestem smutna, myślę, że powinnam poćwiczyć. To działa niemal równie dobrze jak gorące kąpiele – dzięki ćwiczeniom mam przynajmniej odrobinę kontaktu z własnym ciałem.

Przebieram się i schodzę. Akurat zaczyna się aerobik. Widzę młode Hiszpanki w połyskujących trykotach i ocieplaczach na nogi. Niektóre z nich, u ramion i nadgarstków, mają małe futrzane pompony w panterkę. Może La Quinta Park mieści się w dzielnicy wyższych sfer? Spacerując, widziałam same wille z olśniewającymi ogrodami, do których wiodły okratowane bramy zamknięte na klucz. Tak, pewnie tak właśnie jest. To towarzystwo bardziej pasowałoby do Sturebadet niż do Friskis & Svettis. Do Friskis przychodzą otyłe dziewczyny w koszulkach z napisem *I love Daim*. Najróżniejsi niewysportowani ćwiczą ze sobą i w całym lokalu panuje klimat bezstresowej nieporadności. W Sturebadet byłam tylko raz i poślizgnęłam się na wypolerowanych kafelkach. Ćwiczące obok panie w średnim wieku patrzyły na mnie z troską, a ja niezdarnie zbierałam się z podłogi i czułam się jak żul. Ich spojrzenia przyprawiły mnie o paranoję i zaczęłam się zastanawiać, czy śmierdzę, czy też wydaje im się, że jestem narkomanką, której udało się przemknąć do środka, żeby wziąć prysznic.

Dziś, wśród tych wszystkich pomponów w panterkę, mam to samo uczucie. Na chwilę budzi się moja klasowa nienawiść. Opuszczam wzrok na swoje sprane czarne spodnie od dresu i poszarzały, kiedyś biały, podkoszulek.

Akurat w chwili, kiedy się zastanawiam, czy nie wybrać jednak roweru, podchodzi do mnie instruktorka aerobiku. Ma około trzydziestu pięciu lat i przedstawia się jako Rosita. Uśmiecha się przyjaźnie i mówi, że widzi mnie tu po raz pierwszy. Wyjaśniam, że jestem gościem hotelu, ona zaś pyta, jak mam na imię, i wita mnie serdecznie. Jej uśmiech jest sympatycz-

ny i ciepły. Postanawiam, że zostanę.

Zaczynamy ćwiczyć i moje serce wkrótce bije w rytmie kiepskiego euro-disco.

Pompony i ja wykonujemy kolejne kombinacje kroków. Radośnie szczerzę zęby, bo jest tak wspaniale. Prawie jakbym tańczyła. Rosita uśmiecha się szeroko do wszystkich, a najbardziej do mnie.

Kiedy przychodzi czas na część siłową, podchodzi i trzymając rękę na moim krzyżu, pokazuje, jaki kąt powinnam utrzymać, robiąc brzuszki. Co dziwne, nie krępuje mnie fakt, że skupiam na sobie uwagę. Jest mi z tego powodu miło. Czuję się wyróżniona.

Pompony w panterkę też wydają się szczęśliwe i dochodzę do wniosku, że świecidełka nie mają znaczenia. Niech sobie połyskują do woli, nawet to do nich pasuje.

Po aerobiku piję łąpczywie wodę z butelki, kiedy nagle widzę, że Rosita zmierza w moją stronę.

– *Sara! It was very fun to have you here! Please come tomorrow at seven, it's body tuning. Lots of fun!*<sup>17</sup>.

Patrzę na nią zdziwiona. To tak bardzo nie przypomina szwedzkiej nieśmiałości. Po raz pierwszy instruktorka podchodzi do mnie w ten sposób po treningu.

– *Yes. Maybe I'll come, it was very funny!*<sup>18</sup> – odpowiadam grzecznie.

– *Good!* – mówi Rosita z pewnością siebie. – *See you tomorrow!*<sup>19</sup>.

– *Okay* – zgadzam się, zaskoczona, a w głowie pojawia się myśl, że jutro też muszę się tu pokazać.

Kolejny dzień spędzam na leżaku, na przemian drzemiąc i czytając. Ból po treningu sprawia, że nieporadnie człapię w kierunku basenu. Rzucam się niezgrabnie do wody i przepływam kilka razy tam i z powrotem. Teraz przynajmniej nieco bardziej upodabnam się do emerytów. Może ci, którzy mnie teraz widzą, myślą, że przyjechałam tu, żeby złagodzić swój reumatyzm? Albo stwardnienie rozsiane? Czy byłby to bardziej sensowny powód, żeby zostawić męża i dziecko w domu? Tak. Być może.

Kiedy zbliża się siódma, zaczynam się trochę denerwować. Sytuacja jest



niezręczna. A co, jeżeli zaproszenie Rosity znaczyło coś innego? Moja strachliwość działa mi na nerwy. Co za różnica, jakie miała motywy? Przecież lubię ćwiczyć. Dlaczego zawsze muszę być zawstydzona, kiedy inni okazują mi zainteresowanie?

Wkładam brzydkie ciuchy do ćwiczeń i schodzę na siłownię. Rosita od razu do mnie podchodzi.

– *Sara! You came! Good*<sup>20</sup>.

Dostrzegam nową grupę pomponów w panterkę, patrzących na mnie z zaciekawieniem.

– *Yes. Hello* – odpowiadam sztywno.

Rosita bierze mnie za rękę i prowadzi do sali. Teraz jestem już pewna, że moja szyja usiana jest małymi plamkami. Te wściekle czerwone plamy pojawiają się zawsze, kiedy jestem mocno zawstydzona. Co ona sobie właściwie myśli? Czyżbym złamała jakiś kodeks? A może przez ponowne przyjęcie tutaj zawarłam umowę, o której nic nie wiem? Jednak już po chwili przystępujemy do ćwiczeń i nie mija wiele czasu, a porzucam wstyd i zaczynam się rozkoszować tym, że moje ciało jest w ruchu.

Jeżeli Rosita jest zawstydzona, nie daje tego po sobie poznać najdrobniejszym grymasem. Po ćwiczeniach od razu do mnie podchodzi.

– *You were fantastic, Sara*<sup>21</sup> – mówi, a ja się cieszę, nawet jeśli podejrzewam, że chciała mi tylko sprawić przyjemność.

– *Thank you*<sup>22</sup> – odpowiadam.

– *Do you want to have a drink with me in the bar?* – pyta radośnie i chyba dostrzega moje wahanie, bo zanim zdążę odpowiedzieć, dodaje: – *Just a small beer. It's so fun to see a young person here at the hotel!*<sup>23</sup>.

Uśmiecha się szeroko i ja też zaczynam się uśmiechać. W jej całkowitej bezpośredniości jest coś wyzwalającego, mimo że tak bardzo mnie to krępuje.

– *Well, okay, just a small one!*<sup>24</sup> – odpowiadam.

Postanawiamy, że spotkamy się za piętnaście minut w barze, jak już weźmiemy prysznic. Kwadrans później siedzimy naprzeciwko siebie i pijemy piwo.

Rosita chce wiedzieć, dlaczego tu jestem. Próbuję wyjaśnić, czym jest styczeń. Co styczeń potrafi zrobić z mieszkańcami Szwecji. Rosita wybucha

śmiechem i mówi, że chyba nie rozumie, bo wychowywała się na Teneryfie, a kiedy tutaj pada deszcz, ludzie najczęściej się cieszą.

Jest całkiem miło. Rosita ma wiele pytań i jest wesoła. Dużo się śmiejemy, a ja pytam, jak to jest pracować w siłowni w La Quinta Park. Odpowiada, że w porządku, ale męczą ją ci wszyscy emeryci. Zwłaszcza panowie, którzy potrafią zapocić wszystkie przyrządy. Ma trzydzieści siedem lat, a kiedy mówię, że ja mam trzydzieści, dziwi się, że jestem taka stara. Jeszcze bardziej dziwi się, słysząc, że jestem mężatką i mam dziecko.

– *You don't look like a mother*<sup>25</sup> – stwierdza.

Wybucham śmiechem.

– A jak powinna wyglądać matka?

– *Fat* – odpowiada Rosita z obrzydzeniem. – *That's why I don't have any children. I don't want to lose the grip*<sup>26</sup>.

Patrzę na jej wysportowane ciało i myślę, że macierzyństwo oznacza właśnie to – utratę kontroli. Bez względu na to, jak bardzo jesteś wysportowana. Rezygnację z własnego ciała i po części także z siebie.

Dlatego jest to takie bolesne.

Dopiero kiedy odważysz się zrezygnować z kontroli, możesz cieszyć się macierzyństwem. I właśnie dlatego bycie matką to projekt, który z równościowego punktu widzenia wydaje się niemożliwy do zrealizowania.

Doskonale pamiętam pierwsze chwile z Siggem. To, jak każdą minutę wypełniały próby położenia go spać, żebym mogła mieć chwilę dla siebie. Jak działałam wbrew niemu, zamiast cieszyć się czasem, kiedy nie spał. Jak trudno było mi rzucić wszystko, całe moje dawne życie i po prostu być, tu i teraz.

Z zawstydzeniem przypominam sobie moją trzecią wizytę w otwartym przedszkolu. Poszłam tam z kolorową gazetą, w nadziei, że Sigge pobawi się trochę sam, a ja będę mogła w spokoju poczytać. Pozostałe mamy jak zwykle siedziały na podłodze dziesięć centymetrów od swoich dzieci, ja zaś puściłam Siggego, odeszłam dwa metry i usiadłam na pięknej kanapie. Sigge od razu zaczął raczkować i badać morze zabawek, a ja uszczęśliwiona otworzyłam gazetę i zaczęłam czytać. Byłam w połowie artykułu o stylu przywódczym Görana Perssona, kiedy dotarło do mnie, że dookoła panuje cisza. Ustały wszelkie rozmowy, a kiedy spojrzałam znad gazety, zoriento-

wałam się, że pięć podłogowych mam wlepia we mnie wściekłe spojrzenia. Widziałam, że Sigge radośnie gryzie pomarańczową plastikową rybę, i w pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, co jest nie tak. Co on takiego zrobił? Co ja zrobiłam?

Usiadłam na kanapie i w ten sposób znalazłam się pół metra ponad siedzącymi na podłodze mamami. Widziałam, że wielu ojców robi tak w otwartych przedszkolach. Kiedy jednak to samo robi mama, nie jest dobrze. Przez trzydzieści sekund próbowałam ignorować ciszę, jednak w końcu dałam za wygraną, wstałam z kanapy i usiadłam na podłodze dziesięć centymetrów od Siggego.

Podłogowe mamy wróciły do swoich rozmów, tych morderczych konwersacji o śnie, przybieraniu na wadze i kolce. Tak nudnych, że aż stają zegarki. Uśmiechnęłam się do nich, ale żadna nie odpowiedziała tym samym. Najwyraźniej pokazałam, że nie chcę być jedną z nich, i teraz nie byłam mile widziana.

Nigdy więcej nie przyszedłam do otwartego przedszkola.

Patrząc z perspektywy, do pewnego stopnia mogę je zrozumieć. Rzeczywiście, w mojej ciągłej chęci ucieczki jest coś charakterystycznie smutnego. Sama równie mocno się denerwuję za każdym razem, kiedy widzę ojca patrzącego nieobecny wzrokiem na dziecko, które krzyczy, domagając się uwagi. Kiedy widzę tych wszystkich tatusiów, którzy czytają gazetę, podczas gdy ich dziecko tęskni. Wielka różnica polega na tym, że na nieobecność ojców nie patrzy się równie krytycznie jak na nieobecność matek.

Również przez to zamieniam się w zgorzkniałą pizdę. Przez fakt, że można być ojcem i nie wyrzec się swojego egoizmu, gdy tymczasem kobiety, wchodząc do ciasnego pokoju macierzyństwa, muszą zrezygnować z tak wielu rzeczy. Widzę przed sobą gniewne spojrzenie Siggego, jego rozczarowanie, kiedy zdarza mi się gdzieś wyjechać. Najwyraźniej nawet nasze dzieci rodzą się z poczuciem tego, czego można wymagać od mamy, czego zaś od taty.

Rosita zamawia nam jeszcze dwa piwa, a ja z radością jej dziękuję. Mam nagle ochotę porządnie się upić i pozbyć wszystkich beznadziejnych myśli.

– *Can't you take me to a place where we can dance?*<sup>27</sup> – pytam.

– *Bueno!!!* – wykrzykuje Rosita. – *Of course!!!*<sup>28</sup>.

Siadam razem z nią na vespe i mocno obejmuję ją w talii. Oddycham morskim powietrzem i zamykam oczy, żeby nie patrzeć na mordercze zakręty, które Rosita pokonuje bez redukcji prędkości.

Jedziemy do lokalu, który, jak przypuszczam, jest prawdziwą dyskoteką z Teneryfy – cudownie zła muzyka disco z różnych lat i o wiele za mocne drinki. Ja chcę się jednak upić, więc wielkimi łykami pochłaniam gin z tonikiem. Rosita, śmiejąc się, ciągnie mnie na parkiet.

Tańczymy dziko, wykonując zamaszyste ruchy i robiąc sobie mnóstwo miejsca. Madonna śpiewa o tym, że jest dziewicą, Bono o krwawej niedzieli, a my rechoczemy do siebie i prześcigamy się w najbrzydszym tańcu. Wydaje mi się, że wygrywam.

W końcu nogi bolą mnie tak bardzo, że ledwo mogę na nich stać, siadam więc przy barze i wypijam jeszcze jeden gin z tonikiem. Rosita tańczy z jednym z nielicznych chłopaków, którzy mieli odwagę się do nas zbliżyć. Jej taniec jest teraz spokojniejszy, bardziej dopasowany do jego ruchów.

Didżej gra *I'm gonna give you a lick with my razor tongue*, a ja widzę, że kilku chłopaków wyciąga przy refrenie języki i porusza nimi szybko w przód i w tył. Rosita patrzy na mnie i przewraca oczami – odpowiadam tym samym.

„Poliżę cię moim językiem jak brzytwą”. Rozglądam się wokoło, próbując wyłowić kogoś, kto rusza językiem dla żartu, ale wszyscy wyglądają na poważnych i podnieconych. Pierdolone jaszczurki.

Dochodzę do wniosku, że już się wytańczyłam, podchodzę do Rosity i mocno ją ściskam.

– *Thank you, thank you, thank you!* – dziękuję jej do ucha.

Rosita tylko się śmieje i odwzajemnia uścisk.

Wracając taksówką do domu, nie mogę przestać się uśmiechać. Czuję się niesamowicie zadowolona.

Siedzę przez chwilę na balkonie, wpatrując się w ciemność, i myślę, że życie mimo wszystko jest wspaniałe. W tej chwili jestem mamą, która robi dokładnie to, na co ma ochotę. Bez poczucia winy i wyrzutów sumienia.



## ZOSTAŁO MAŁO CZASU (1993)

Z podróży wracamy pewnego lipcowego wieczoru, szczęśliwe, brudne i głodne. Przez ostatnie dni żyliśmy o chlebie i włoskiej wodzie mineralnej. Przez trzy doby bez przerwy jechałyśmy z Grecji, śpiąc na plastikowych siedzeniach i pocąc się w nagrzanym pociągu, jadącym przez Włochy i środkową Europę. Nic jednak nie szkodzi – to część przygody, a nas przepęlnia nowo zdobyta, dorosła wolność.

Mama gotuje kartoflanę, przez krótką chwilę stoi obok mnie z uśmiechem i patrzy, jak łapczywie jem. Ten uśmiech i niespotykany u niej spokój zachęcają, żeby spróbować opowiedzieć i opisać jej wszystko, co widziałyśmy.

– Plaże na Korfu są niesamowite. Każdego dnia opalałyśmy się i kąpałyśmy – mówię.

– Aha – odpowiada w roztargnieniu mama, po czym odwraca się i podchodzi do zamrażarki, żeby wyjąć z niej torbę klopsików.

– Spodobałoby ci się w Pradze, mamó! Tam jest tak pięknie! – kontynuuję i opowiadam, jak udało nam się dostać mieszkanie w samym centrum miasta.

– Aha – odpowiada mama i wkłada klopsiki do mikrofalówki.

– W Rzymie też było pięknie, chociaż dla nas za drogo. Pojadę tam pewnie, kiedy będę miała więcej pieniędzy. Stać nas było tylko na makaron

z sosem pomidorowym, więc w końcu pojechaliśmy dalej, do Grecji. Tam było tanio.

– Aha – mówi mama i nastawia kawę.

– Dużo spałyśmy w pociągach, żeby nasze wojaże mogły trwać dłużej. Nawet się udawało. Do plastikowych siedzeń można się przyzwyczaić – wyrzucam z siebie słowa, patrząc na plecy stojącej przy zlewie mamy.

– Aha – mówi mama, wyjmując filiżanki i spodki.

Nalewa sobie kawy, siada naprzeciwko mnie i zapala papierosa. Jednak ja już skończyłam opowiadać. Akurat w tym momencie wchodzi tata. W rękę trzyma popołudniową gazetę, podchodzi do ekspresu i nalewa sobie kawy.

– O, przyjechałaś – stwierdza i wychodzi z kuchni z kawą i gazetą.

Patrzę na pozbawioną wyrazu twarz mamy, która pustym wzrokiem spogląda przed siebie, i przez chwilę się zastanawiam, czy nie przesadziła z tabletkami przeciwbólowymi.

– Dziękuję za jedzenie! – mówię, a mama na moment przytomnieje i spogląda na mnie.

– Tak, tak – rzuca, wstaje i znów bierze się do zmywania.

Idę do łazienki i biorę długi, gorący prysznic.

Zapomniałam, jak to jest – myślę. Jak mogłam zapomnieć? Cztery tygodnie absolutnej wolności z najlepszymi przyjaciółkami sprawiły, że zapomniałam i przez chwilę byłam szczęśliwa. W pociągach, w hostelach, na plażach i w barach nieprzerwanie rozmawiałyśmy o przyszłości. Jak będzie, a jak nie będzie wyglądało nasze życie. Przez cztery tygodnie bez przerwy fantazjowałyśmy o dorosłości, która czeka na nas w zasięgu ręki. Były to wielkie fantazje, bez żadnych ograniczeń.

Jest letni wieczór, wkładam brudne dżinsy i czarną koszulkę i wsiadam na rower, żeby pojechać do Doktora Z., gdzie czekają wszyscy moi chłopcy. Wiem, że dziś w nocy nie dam rady spać sama, i już po jednym piwie zauważam najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ma na imię Benjamin, niedawno się wprowadził, tańczymy, a jego pocałunki smakują nikotyną.

Podwożę go na rowerze do jego studenckiego mieszkania, gdzie kocham się z nim, odczuwając bezgraniczną żądzę.

Po wszystkim on pali przy otwartym oknie. Obserwuję go z łóżka, na którym nadal leżę, czując między nogami jego lepkie nasienie. Po chwili wraca do łóżka i obdarza mnie kolejnymi nikotynowymi pocałunkami, ja zaś myślę, jak łatwo kogoś kochać, kiedy pożąda się tak bardzo jak ja. Mogę kochać prawie każdego, zwłaszcza jeśli jest tak przystojny.

Jest sierpień, do przeprowadzki do Sztokholmu zostało już tylko kilka tygodni. Przeprowadzę się razem z Benjaminem i najlepszymi przyjaciółkami. Są to małe studenckie pokoje z korytarzami, w których mieści się kuchnia i łazienka wspólna dla wszystkich studentów.

Pokój widzieliśmy tylko w broszurce, ale nic nie może zasiać w nas wątpliwości, bo przeczuwamy, że w wielkim mieście czekają nas wspaniałe chwile. Zostało mało czasu. Tak właściwie to już się przeprowadziłam. Do Benjaminą – mam tu swój azyl i mnóstwo miłości.

Przez ostatnie tygodnie dorabiam w domu spokojnej starości i jestem zdziwiona, że niektórzy starzy ludzie są wyjątkowo radosni, inni zaś wyjątkowo smutni. Postanawiam, że na starość będę wesoła. Dlatego muszę się wyprowadzić. Wycieram gówna, zmieniam setki zasikanych pieluch i nie mogę się nadziwić, jak niewiarygodnie długie potrafią być moszny starych mężczyzn – wiszące swobodnie mają prawie pół metra.

Co wieczór u kogoś jest przyjęcie, aż wreszcie kończy się czas i trzeba jechać. Benjamin ma stare czerwone volvo, które obładowujemy torbami.

Mama płacze, kiedy ją obejmuję, a tata chowa się w garażu, więc biegnę tam i krzyczę:

– Cześć, tato!

On zaś mamrocze, jakby mnie odpędzał:

– Tak, tak, cześć, cześć!

W Sztokholmie trwa jesień, a ja jestem tak szczęśliwa, że aż boli mnie w piersi. Ten ból przynosi ulgę, czuję, że wreszcie, w końcu, mogę być tak naprawdę dorosła.

Spędzam całe godziny w moim zielonym fotelu z Ikei, zadziwiona faktem, jak wspaniale jest jeść swoje kanapki z samodzielnie wybranymi dodatkami. Serek Philadelphia z ogórkiem małosolnym. Parzę herbatę za herbatą i nalewam do niedawno kupionego dzbanka z japońskimi znakami.

Sporo kosztował, ale jest piękny i tylko mój. Cieszę się, że widzę go na moim pięknym małym stoliku, i piję sto filiżanek herbaty we własnym pokoju, ogrzanym płomieniami dwudziestu czterech świec, które postawiłam na każdym wolnym centymetrze. Upajam się siedzeniem w zielonym fotelu i czytaniem literatury na zajęcia z filmoznawstwa. Drogich, grubych książek po angielsku, których nie rozumiem, ale i tak nabożnie czytam, czując się ważna.

Przede wszystkim jednak upajam się samotnością i ciszą.

Benjamin chce się spotykać co dzień i co wieczór, ale ja mówię, że muszę się uczyć, i czuję się przez to, jakbym go zdradzała. Przebywanie tylko ze sobą jest dla mnie nowym doświadczeniem i czuję mętlik w głowie na myśl, że wolę być sama niż z Benjaminem. Kocham najwyraźniej spacerować po własnym mieszkaniu, słuchać muzyki, czytać książki, gotować i przede wszystkim pozwalać sobie na niczym niezakłócone rozważania. Poznają siebie i dochodzę do wniosku, że lubię siebie i swoje myśli, że jestem całkiem w porządku.

Coraz częściej, kiedy Benjamin dzwoni i upiera się, żeby przyjść, czuję, że zawadza. Coraz częściej kłamię, że mam gorączkę, a Benjamin jest coraz bardziej sfrustrowany. Słyszę to w jego głosie i przez to denerwuję się jeszcze bardziej.

Pewnego dnia na Kungsgatan podchodzi do mnie jakiś mężczyzna, mówi, że widział mnie kilka razy na mieście, i pyta, czy chciałabym umówić się z nim na kawę. Chcę.

To jeden z tych dni, kiedy jestem zmęczona i zła, ponieważ Benjamin dzwonił i nalegał, żebyśmy pół nocy rozmawiali przez telefon. Mam już dość takich wyrazów miłości i przez całą rozmowę marzę o tym, żeby się rozłączyć i poczytać biografię Simone de Beauvoir autorstwa Deirdre Bair.

Odkryłam, że są między nami podobieństwa. Jej ojciec także odwrócił się od niej, kiedy miała jedenaście lat.

*Nigdy nie wyraziliśmy tego słowami i zawsze zachowywaliśmy się grzecznie wobec siebie, ale to, co kiedyś było między nami, zniknęło. Zdarzyło się to mniej więcej w czasie, kiedy skończyłam jedenaście lat, i od tego czasu już się nie pogodziliśmy.*

Kiedy Simone ma dwanaście lat, ojciec mówi jej, że jest brzydka, i całą



swoją uwagę zaczyna poświęcać jej młodszej siostrze Helene.

Czytam i dziwię się wyborom, jakich Simone dokonała w swoim życiu. Związek z Sartre'em, bezdzietność, postanowienie, żeby studiować, pracować, pisać.

Skłania mnie to do postawienia sobie pytania, jakie życie sama chciałabym wieść.

Właśnie takimi myślami jestem zajęta. Chcę być zajęta. Teraz, kiedy po raz pierwszy mogę pobyć sama, Benjamin przyssał się do mnie jak pijawka. Namolny i lepki.

Może właśnie dlatego idę z tym mężczyzną do kawiarni i siedzimy tam godzinami, rozmawiając o życiu, naszych rodzinach, przeczytanych książkach i obejrzanych filmach. Chłopak ma na imię Jesper, a nasza rozmowa pełna jest zrozumienia, od którego robi mi się ciepło. W końcu nastaje wieczór, idziemy do baru, nadal rozmawiając, a ja czuję nagle tak wielką radość, że nie mogę się zmusić, aby przerwać spotkanie i iść do domu.

Wiem, że Benjamin zdążył pewnie zadzwonić do mnie siedem tysięcy razy i zastanawia się, gdzie jestem. Wpadam w złość, kiedy czuję, że mi przeszkadza. Że chce mną kierować, zakłócić całe moje nowe życie.

Kiedy w końcu przytulam Jespera, mówię dobranoc i ruszam do domu, jest już druga w nocy. Pod drzwiami mojego mieszkania siedzi Benjamin. Dociera do mnie, jaki jest zły, gdy widzę jego czerwone oczy i bladą twarz.

– No i gdzie ty byłaś? – pyta cicho. – Dzwoniłem cały wieczór.

Brzmi jak czyjś ojciec, starszy brat albo nauczyciel szwedzkiego. Czuję nagle przemożne zmęczenie. Nie mam już siły czuć się zaszczuta, nie mam siły kłamać. Próbuje opowiedzieć o swojej tęsknocie za samotnością i o spotkaniu z mężczyzną z ulicy, ale Benjamin dostaje szału.

– Czyś ty zwariowała? Poszłaś tak po prostu z obcym mężczyzną i piliście kawę do drugiej w nocy?

– Tak – odpowiadam zmęczona.

– I chcesz, żebym w to uwierzył? – krzyczy Benjamin.

– Tak – odpowiadam.

– Spotkacie się znowu?

– Nie wiem. Może.

– Po moim trupie! – woła Benjamin i ciska moim japońskim dzbankiem

o podłogę, a ten rozsypuje się na tysiąc kawałków.

Nieruchomieję. A to gnój. Siadam na podłodze i zaczynam zbierać kawałki. Benjamin rzuca się dramatycznie na łóżko i zaczyna głośno chlipać. Jego płacz prowokuje mnie bardziej niż cokolwiek innego, bo mnie też chce się płakać. Opłakiwać mój japoński dzbanek do herbaty, moją utraconą samotność, przymusową parzystość.

– Depczesz moje życie, rozumiesz? – cedzę przez zęby w stronę odwróconego plecami Benjaminą, a on nie odpowiada, tylko ciągle płacze. – Przerazasz mnie i nie jestem pewna, czy nadal cię kocham! – stwierdzam lodowato.

Benjamin przestaje płakać i siada na łóżku.

– Ale ja ciebie kocham, Saro. Nigdy wcześniej nikogo tak nie kochałem! Jesteś najlepszym, co mi się przytrafiło! Kochanie, może spróbujemy jeszcze trochę! Obiecuję, że dam ci przestrzeń, której potrzebujesz.

Przyglądam mu się długo, próbując przywołać mrowienie, które czułam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Bardzo bym chciała go kochać i mam mętlik w głowie z powodu swojej tęsknoty za samotnością. Benjamin wyczuwa moje wahanie, ewentualną furtkę, dzięki której zbiera się na odwagę. Podchodzi do mnie i rzuca na łóżko. Obsypuje moją twarz pocałunkami i szepcze mi do ucha o miłości i przyszłości, a ja jestem tak zmęczona, że po prostu mu na to pozwalam.

Kiedy po kilku dniach Jesper, człowiek z ulicy, dzwoni i pyta, czy spotkamy się znowu, odpowiadam, że nie. Jesper wydaje się zdziwiony i urażony.

– Aha. To przykre, bo myślałem, że nasze spotkanie było wyjątkowe.

– Ja też. W innym czasie chętnie bym cię poznała lepiej, ale teraz to niemożliwe. Mam cholerny mętlik w głowie i myślę, że muszę lepiej poznać samą siebie, zanim rozpocznę nową relację.

– Aha – mówi Jesper i milknie.

Czuję pieczenie w całym ciele i przeklinam w duchu pojawienie się Benjaminą, przez które muszę wypierać się własnych uczuć. Kończymy rozmowę, a ja przeklinam samą siebie, bo zdaję sobie sprawę, że to nie Benjamin jest winny, tylko moja niepewność. Niezdolność do bycia szczerą. Chęć dogadzania innym.

Ubieram się, wychodzę kupić nowy japoński dzbanek do herbaty i czuję, jakbym do pewnego stopnia przywróciła dawny porządek. Obiecuję sobie, że będę próbowała być szczerą, więc kiedy dwie godziny później Benjamin dzwoni z pytaniem, czy ma przyjść, odpowiadam, że nie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że piję teraz herbatę i myślę, więc mi to nie pasuje.

– Daj spokój! Nie wygłupiaj się, przychodzę!

– Nie, ja mówię poważnie. Nie jesteś teraz mile widziany, chcę być sama.

– W dupie mam to wszystko! – krzyczy Benjamin i rzuca słuchawką.

Uśmiecham się sama do siebie i dolewam sobie herbaty. Cieszę się, że nie musiałam znowu kłamać, żeby móc pobyć sama. Włączam głośno The Clash i tańczę po swoim małym pokoju. Po jakimś czasie jestem mokra od potu, więc ściągam ubranie i idę pod prysznic. Stoję tam długo, pozwalając ciepłej wodzie obmywać moje ciało, i myślę o Jesperze i Benjaminie.

Nagle słyszę stłumiony dźwięk dzwonka. Zakręcam wodę i nasłuchuję. Tak, ktoś dzwoni do drzwi, a ja chyba wiem, kto.

Owijam się ręcznikiem i otwieram drzwi. Na progu stoi Benjamin z butelką czerwonego wina.

– Chyba żartujesz! – mówię ze złością. – Nie potrafisz uszanować, że chcę pobyć sama bez szczególnego powodu?

– Nie – odpowiada po prostu Benjamin. – Już ci nie wierzę.

Milknę. Rozumiem go. Tak często kłamałam, że prawda nagle wydaje się dziwna. Wyrzuty sumienia sprawiają, że wpuszczam go do środka.

Idzie od razu do kuchni, wprawnym ruchem wyjmuję dwie szklanki i otwiera wino. Pijemy, a Benjamin żywiołowo opowiada o zajęciach z socjologii i o pracy, którą właśnie zaczął pisać.

Ja siedzę cicho i udaję, że słucham, jednak moje myśli wędrują w kierunku mazistej ciemności, którą mam głęboko w środku. Dlaczego tak trudno jest rozporządzać własnym życiem?

Jest wczesna wiosna, a ja wróciłam do małych kłamstw, ponieważ nie potrafię być szczerą wobec Benjaminą. A już na pewno nie mam odwagi przyznać, że chyba go tak bardzo nie kocham, kiedy on wydaje się taki przekonany, że spędzimy razem resztę życia.

W kwietniu, kiedy dostaję ostatnie stypendium przed letnią przerwą,

Benjamin przekonuje mnie, żebym wprowadziła się z nim do jego maciupeńskiego studenckiego pokoju. W ten sposób nie będziemy musieli latem płacić czynszu. Pełna poczucia winy z powodu swoich pokręconych uczuć wypowiadam umowę i wyprowadzam się ze swojego ukochanego mieszkania.

Tydzień później, kiedy wieczorem spacerujemy po Djurgården, Benjamin mówi nagle, że najlepiej byłoby, gdybyśmy zerwali. Patrząc na niego, żeby zobaczyć, czy żartuje, ale on zawstydzony patrzy w ziemię i próbuje wyjaśnić.

Okazuje się, że przez całą wiosnę miał równie duże wątpliwości co ja, ale bał się, że z nim zerwę. Ze strachu przed byciem zostawionym postanowił, że to on będzie tym, który zostawia.

Oszalała ze złości przeklinam własną głupotę, przeklęte dziedziczne niezdecydowanie. Przeklinam fakt, że nie mam pięćdziesięciu pięciu lat i życiowej mądrości, tylko dwadzieścia i jestem głupia, głupia, głupia. Skretyniała, naiwna i strasznie oszukana. Przez wiele miesięcy czułam się winna, że wątpię w naszą miłość, podczas gdy on wydaje się przekonany. Tak bardzo poczuwałam się do winy, że zrezygnowałam ze studenckiego mieszkania, bo on tak bardzo tego chciał.

Zaczynam otwarcie nienawidzić Benjamina. Po tygodniu zmienia zdanie i chce, żebyśmy znowu byli razem. Teraz moja kolej na odmowę, choć jest to trudne, ponieważ mieszkamy w pokoju, w którym łóżko ma osiemdziesiąt centymetrów szerokości.

Lato w małym pokoiku jest nie do wytrzymania, więc uciekam z Sanną do Budapesztu. Cała w nerwach, pełna smutku i tęsknoty. Budapeszt jest piękny i nie brakuje w nim wspaniałych chętnych mężczyzn, którzy chcą dla nas dobrze.

Mieszkamy w tanich hostelach, gdzie zasypiamy późno i z trudem się budzimy. Za dnia wędrujemy i pływamy w łaźniach termalnych w miejskim parku i patrzymy na grubych Węgrów, którzy grają w szachy przy krawędzi basenu.

Kiedy w końcu wracam do domu, Benjamin szaleje – jeden z moich dobroczyńców z Budapesztu dzwonił i pytał o mnie.

– Chyba rozumiem, co ty tam robiłaś! – cedzi, patrząc na mnie spod

przymkniętych powiek.

– A żebyś wiedział – odpowiadam, ciesząc się z jego nieszczęścia, wsia-  
dam na rower i odjeżdżam w noc na jeden z niezliczonych pikników, od  
których aż roi się tego lata.

Pracuję w domu opieki i gorączkowo szukam mieszkania w gazetowych  
ogłoszeniach. Benjamin zawsze chce iść ze mną i za każdym razem znajdu-  
je poważne niedogodności w mieszkaniach, które oglądam. Za wysoki  
czynsz, brzydkie tapety, daleko od miasta, niski sufit. Z jakiegoś powodu,  
którego sama nie rozumiem, zawsze kończy się to wspólnym dojściem do  
wniosku, że lepiej będzie, jeśli jeszcze trochę pomieszkam w jego małym  
studenckim pokoju. W końcu jest tak tanio.

Wreszcie nastaje sierpień, a ja jestem tak nieszczęśliwa, skołowana i zde-  
sperowana, że decyduję się wynająć maleńki, brzydki pokój w starym  
domu opieki z lat sześćdziesiątych.

Właścicielka mieszkania nie żyje od trzech lat. Spółdzielnia mieszkani-  
owa przeoczyła ten fakt i wykorzystują to jej wnuki, które podwyższają pier-  
wotny czynsz o dwa tysiące. Mnie to jednak nie przeszkadza – jestem got-  
wa na wszystko, byle tylko uciec od Benjamina.

Wprowadzam się, nic sobie nie robiąc z faktu, że pozostali mieszkańcy  
zachodzą w głowę, co robi wśród nich taka młoda osoba jak ja. W brzyd-  
kim mieszkaniu jest jedna wspaniała rzecz: wanna, w której z miejsca się  
zakochuję.

Co wieczór biorę długie, gorące kąpiele, Nina Simone śpiewa mi na cały  
regulator, a zmarła babcia spogląda na mnie przyjaźnie z antycznego ży-  
randola.

W końcu mogę powrócić do samotności i niezmaconych myśli. Jesień  
barwi świat na żółto-czerwono, a ja chodzę na zajęcia z literaturoznaw-  
stwa. Gotuję sobie pyszne trzydaniowe obiady i czytam dziwne książki  
o Turpinie z *Pieśni o Rolandzie* i Brunhildzie z *Pieśni o Nibelungach*.

W październiku dzwoni Benjamin. Wydaje się zakłopotany. Ucieszona  
pytam, jak się czuje i co robi. Przerywa mi i wyznaje, że jest trochę zestre-  
sowany. Dzwoni tylko po to, żeby zapytać, czy mogę sprawdzić mu hasło  
„kanibalizm” w moim słowniku psychologiczno-pedagogicznym. Potrzebuje  
tego do pracy, którą pisze na socjologię.

To nasza ostatnia rozmowa i potem nie widzimy się przez kilka lat. Przez znajomych dowiaduję się, że pracuje w kuratorium oświaty jako „ekspert”. Po prostu poszedł tam któregoś dnia i przedstawił się jako ekspert od demokracji uczniowskiej – napisał na ten temat pracę licencjacką na pedagogice i uznał, że fajnie byłoby tam pracować.

Tak, znów zmieniam się w zgorzkniałą pizdę. Żałuję, że nie jestem mężczyzną o wygórowanej samoocenie, który szuka pracy ot tak, nie posiadając żadnych szczególnych kwalifikacji. Najwyraźniej to działa, bo dostał pracę i wizytówkę z napisem „ekspert”.



## *THE REVOLUTION WILL NOT BE TELEVISED*

Obudziłam się szczęśliwa, z obolałymi nogami, ale bez bólu głowy, co było dość dziwne. Długo stałam pod prysznicem, nucąc coś pod nosem. Chichotałam, przypominając sobie ruszających językami mężczyzn, ale przestałam, kiedy mnie oświeciło, że zapisałam się na ten dzień na wędrowkę po górach. Zbiegłam na dół i pospiesznie zjadłam śniadanie.

Przed hotelem czekałam wraz z blisko sześćdziesięcioletnią Finką na autobus, który miał nas zabrać. Zaczęłyśmy rozmowę i okazało się, że pochodzi z Turku i zna szwedzki. Wyjaśniła, że jej męża nie będzie z nami, bo niedawno miał operację kolana.

– Aha – odparłam. – To co będzie dzisiaj robił?

Miało to być najzwyczajniejsze w świecie pytanie, ale kobieta odwarknęła, wyraźnie zirytowana:

– Nie mam pojęcia. Chyba może się sobą zająć!

*Ya basta!* To jest dobre podejście. Roześmiałam się i powiedziałam, że to dobrze. Wtedy zmiękła, a po chwili z hotelu wykuśtykał mężczyzna, żeby się z nią pożegnać, czy coś w tym stylu. Jak tylko go zobaczyłam, zrozumiałam, skąd wzięła się jej irytacja. Wyglądał na dwukrotnie starszego, a jego niebieskie oczy były mętne i puste, jakby miał alzheimera.

– Cześć, baw się dobrze – powiedział, klepiąc ją nieporadnie po ramie-

niu.

– Tak, tak, ty też – odpowiedziała zirytowana kobieta z Turku.

Mężczyzna postać jeszcze chwilę, jakby czekał na jakieś słowo, łaskawe spojrzenie, cokolwiek. Ale kobieta już odwróciła się demonstracyjnie w moim kierunku i zaczęła mnie wypytywać.

Dlaczego tu jestem? Powiedziałam, że próbuję pisać i musiałam wyjechać, żeby trochę pobyć sama.

Nad czym pracuję? Odparłam, że jestem dziennikarką, a kobieta się rozpromieniła.

– Och, też kiedyś byłam dziennikarką. Ale pojawiło się dziecko i nie mogłam już mieć nienormowanego czasu pracy. Więc zostałam nauczycielką. Ale kochałam pracę dziennikarki!

Kobieta z Turku uśmiechnęła się do mnie i zaczęłyśmy rozmawiać o byciu wolnym strzelcem, o niepewności i o braku pieniędzy.

W końcu pojawił się przewodnik i autobus i ruszyliśmy krętymi drogami wysoko, wysoko w góry. Następnie wiele godzin schodziliśmy wąskimi ścieżkami przez prastary las wawrzynowy, podziwiając nieprawdopodobny widok na góry i morze.

Kobieta z Turku była bardzo zadowolona i z ust nie schodził jej tajemniczy uśmieszek. Po dwóch godzinach zatrzymaliśmy się przy małym barze pośrodku pustkowia, gdzie czekał na nas kierowca autobusu. Wszyscy zamówili la mumbę, gorącą czekoladę z koniakiem, a tęgi kierowca, Diego, chciał mnie koniecznie zaprosić. Pozwoliłam mu. Wydawał się miły i wesoły. Podeszła starsza Dunka, pochwaliła moją męską czapkę z daszkiem i poskarżyła się, że dolali jej wyjątkowo mało koniaku. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy w małej grupie byli w dobrych humorach i wydawali się ożywieni naszymi nie tak bardzo niebezpiecznymi przygodami. Pomyślałam o tajemniczym uśmiechu kobiety z Turku i o wszystkich ludzkich losach, które zmieściły się w tym niewielkim barze. I dokładnie w tej chwili stało się dla mnie jasne, że każde z nas na swój własny sposób prowadzi wewnętrzną walkę o wolność.

Pewnych zdarzeń i okoliczności nie mogłam zignorować. Nie chciałam zignorować. Może da się być zgorzkniałą pizdą na część etatu? Na pół?

Piłam słodką i mdłą czekoladę z koniakiem i uśmiechałam się szeroko do



wszystkich. I wtedy nie czułam się zgorzkniałą pizdą. Myślałam o Johanie, Siggem i całej miłości, która tam z nimi jest. O tej bezwarunkowej, do Siggego, która wydaje się nieskończona i leczy mnie swoją wielkością. I o tej bardziej bolesnej, do Johana, która również jest piękna i pełna przyjemności. Myślałam o tym, że Johan kocha zarówno moją siłę, jak i słabość. Że to on jest człowiekiem, którego najbardziej chcę trzymać za rękę, kiedy zapada mrok.

Myślałam o moich przyjaciółach, którzy ratowali mnie już tyle razy. Byli dla mnie czymś w rodzaju drugiej rodziny, bez której bym sobie nie poradziła. Myślałam o rodzeństwie, o tym, że jestem dumna z faktu, że wyrosli na tak fantastycznych ludzi mimo wszystkich trudności, jakich doświadczyliśmy w dzieciństwie. Życie bez nich byłoby bez porównania nudniejsze.

Myślałam o rodzicach. O radości życia, która biła od mamy, choć było jej trudno. Nieoszlifowany diament. O mrokach taty. Jego smutku i poczuciu winy, z którym w jakiś sposób muszę się nauczyć żyć. Z którym muszę się pojednać.

Czułam się szczęśliwa, melancholijna, wypełniona miłością, bogata i utalentowana.

W barze na Teneryfie przypomniał mi się nagle amerykański film dokumentalny o człowieku imieniem Stevie. Jako dziecko został ciężko pobity przez matkę i potem umieszczano go w różnych rodzinach zastępczych, gdzie niektórzy okazywali mu miłość, a inni się nad nim znęcali. Teraz miał dwadzieścia sześć lat, był praktycznie rzecz biorąc upośledzony, poturbowany przez życie, nosił duże, grube okulary, miał tłuste włosy i zanieczyszczoną cerę. Jego mama, babcia i młodsza siostra mieszkały w tej samej małej miejscowości i wszystko wskazywało na to, że należą do dolnej warstwy biednych i bezrobotnych. Stevie miał kontakt ze swoją biologiczną rodziną, nawet jeśli za plecami matki przeklinał ją za wszystko, co mu zrobiła, kiedy był dzieckiem.

W połowie filmu, w jednej z wielu rozmów o dzieciństwie Stewiego, wyszło na jaw, że dokonał seksualnej napaści na ośmioletnią kuzynkę, kiedy miał jej pilnować. Jego ciotka, matka ośmiolatki, była zdruzgotana, ale cały czas powtarzała, że trzeba go zrozumieć, bo miał takie trudne dzieciństwo. Młodsza siostra Stewiego, która zarządzała jego majątkiem, stwierdzi-

ła rzeczowo, że nie wygląda to za dobrze, biorąc pod uwagę przemoc, jakiej dopuszczał się wobec niej, kiedy byli dziećmi. Czyny, które figurowały w jego kartotece od kilku lat. Wszystko to zostało wspomniane jakby przelotnie i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z wagi tych słów. Stevie dobierał się do niej, kiedy byli mali, a mimo to ona martwi się, że brat może pójść do więzienia. To ona była najbliższą mu osobą w rodzinie, ona się nim zajmowała i brała ze sobą na wakacje. Była u jego boku, kiedy czegoś potrzebował, a on dobierał się do niej w dzieciństwie. Zakręciło mi się w głowie i zmroziło mnie od środka. Jak to możliwe? Że też można się pojednać aż do tego stopnia! To byli przecież ludzie, którym w przepracowaniu tego, co przeżyli, nie pomagał żaden terapeuta. Cała mądrość, miłość i pojednanie – do tego wszystkiego udało im się dojść na własną rękę.

Pokazano zdjęcie Steviego w wieku ośmiu lat – był niesamowicie słodkim chłopcem o nieśmiałym spojrzeniu, który z uśmiechem patrzył prosto w obiektyw. Jako przypomnienie tego, kim mógłby się stać, gdyby dane mu było dorastać w miłości i bez przemocy. Wydawało się, że jego młodsza siostra wciąż pielęgnuje w sobie ten właśnie jego obraz. Pośród całego nieszczęścia i wszystkich tych okropnych rzeczy nigdy nie zapomniała o Steviem – małym chłopczyku.

Teraz zaś myślałam o jej imponującym dokonaniu. Pojednanie powinno być możliwe także dla mnie, kobiety niebędącej nawet w pobliżu okropieństw, na które ona była narażona.

Czy potrafię kochać albo być kochaną, nie ignorując ani nie wypierając wszystkich przeklętych niesprawiedliwości? Czy chciałam dalej walczyć, wierząc w ewentualną zmianę? Wierzyć, że można żyć w związku opartym na równości?

Być może.

Wracaliśmy krętymi drogami do naszego brzydkiego hotelu. Za oknami cały czas widać było morze, pełne obietnic w swej nieskończoności. Odwróciłam się i uśmiechnęłam do siedzącej za mną kobiety z Turku. Spojrzała na mnie z powagą i mocno wciągnęła powietrze. Następnie pochyliła się do przodu i pogładziła mnie po policzku. Jej ręka była sucha, szorstka i pełna czułości.

Spojrzałam jej w oczy. Był w nich smutek, ale też coś jeszcze. Coś, co

miało związek z przetrwaniem i godnością. I wtedy, w autobusie, wszystko do mnie dotarło. Nagle i z dużą siłą. Z powagą. Poczucie, że jest to kwestia najwyższej rangi.

Tu chodziło o życie, brzydkie i wspaniałe.

O moje życie.

*The revolution will not be televised.*

No i całe szczęście. Ale już czas na zmianę.

W przeciwnym razie nie chcę już brać w tym udziału.



## W ŚRODKU NOCY

Isadora stoi samotna i przestraszona w paryskim pokoju hotelowym, studiując swoje nagie ciało i próbuje sobie przypomnieć, kim jest. Szczypie się w brodawkę sutkową, przygląda się okrągłemu brzuchowi i dużej pupie i myśli, że mimo wszystko nawet lubi to, co widzi.

Nagle dostrzega własne notatki, leżące w strasznym nieładzie na podłodze, i zaczyna czytać.

*I nagle zaczęłam doznawać dziwnego objawienia. Przestałam się oskarżać. To, że w końcu uciekłam, niekoniecznie musiało wynikać ze złej woli czy nielojalności. Może właśnie byłam lojalna wobec siebie. Drastyczny, lecz konieczny sposób zmiany swojego życia.*

*Nie można się winić za chęć posiadania własnej duszy.*

Nie. Człowiek nie powinien się winić za chęć posiadania własnej duszy. Ale dlaczego tak trudno jest być lojalnym wobec samego siebie?

Johan czasami pyta mnie, czy moje życie jest takie, jakie chcę, żeby było. Rzadko odpowiadam twierdząco. Moje wyobrażenie szczęśliwego życia mieści w sobie tak wiele sprzecznych pragnień, że nie da się ich zebrać.

Chcę więcej tańczyć, więcej się kochać, więcej przebywać z Siggem i Johanem, więcej pracować, częściej spotykać się z przyjaciółmi. Może zapisać się na kurs malowania? Chcę spędzać więcej czasu w domku letniskowym,

którego nie mamy, czytać więcej książek, zmieniać świat, pisać, mieć czas na słuchanie muzyki, na ćwiczenia, na uspokojenie się, na dobre samopoczucie...

Nie chodzi o to, że nie jestem szczęśliwa. Moje życie pełne jest chwil, kiedy odczuwam czyste szczęście, nagłe uderzenia radości z drobnych, prostych, fantastycznych rzeczy. Patrząc, jak Sigge biegnie po trawie w parku. Widzieć jego skupienie, kiedy napełnia wiaderko piaskiem. Czuć jego rozgrzane ciało przy moim i całować go w szyję. Czyste szczęście!

A mimo to, kiedy patrzę na całokształt, chciałabym o wiele więcej. Tak wiele chciałabym zmienić.

Isadora dalej czyta to, co napisała, i zdaje sobie sprawę, że nie chce powrotu do tego małżeństwa, które opisuje w notatkach. Jeśli ona i Bennett mieliby to kontynuować, to na nowych warunkach. A jeżeli nie, to przynajmniej nauczyła się, jak przeżyć.

Zasypia szczęśliwa i zmęczona, a kiedy się budzi, spomiędzy jej nóg leje się krew. Próbuje ścisnąć nogi, ale krew płynie nieprzerwanie ciemnoczerwonymi strugami po wewnętrznej stronie ud i ścieka na hotelową wykładzinę. Kiedy Isadorze w końcu udaje się zwinąć jedną ze starych koszulek Bennetta w prowizoryczną pieluchę, pokój wygląda jak po wypadku. Najwyższy czas opuścić Paryż i pojechać do Bennetta do Londynu.

Czytam o tym na moim balkonie w La Quinta Park. Słońce właśnie zaszło za pokryty śniegiem wierzchołek wulkanu Teides, a w basenie pode mną pływa starszy mężczyzna. Wygląda na samotnego i za bardzo się wyteża, sapie, a jego ruchy są szarpane. Nie wygląda, jakby z pływania czerpał przyjemność. On walczy.

Chciałabym go objąć, nauczyć, jak obiera się pomarańcze. Mógłby poleżeć przez chwilę u mnie na kolanach i odpocząć.

Nagle dociera do mnie, że kilka dni temu powinien był mi się zacząć okres. Nawet zapakowałam tampony. Właśnie dlatego, żeby nie musieć budzić się jak Isadora, z krwią tryskającą po nogach. Okres prawie zawsze zaczyna mi się wcześniej rano. Czasem w środku nocy, ale nigdy wieczorem czy w środku dnia. Teraz – nic.

Jeszcze jedno: okres nigdy się u mnie nie spóźnia.

Idę się wysikać, a potem długo patrzę na papier. Nie ma na nim naj-

mniej kropelki krwi, tylko trochę żółtego moczu.

Nalewam sobie kieliszek czerwonego wina, siadam na balkonie i patrzę w mrok. Nie wiem, co teraz czuć ani co myśleć. Nie jest to zmiana, na którą liczyłam, kiedy wcześniej tego dnia siedziałam w autobusie.

Starszy mężczyzna skończył już pływać, siedzi w szlafroku i tak jak ja patrzy w ciemność. Zjawia się starsza kobieta i siada obok niego. On obejmuje ją ramieniem, ona opiera na nim głowę. To nieprawdopodobnie pięknie i czuję, jak wszystko we mnie występuje z brzegów. Też chcę czuć takie oczywiste bezpieczeństwo. Chcę, żeby wypełniał mnie spokój. Chcę być przekonana, że dokonuję dobrych wyborów.

Myśl o kolejnym dziecku sprawia, że płaczę jeszcze mocniej. Kiedy ma się jeszcze jedno dziecko, o wiele trudniej zrobić rewolucję.

Nie mogę powstrzymać się od myśli, że stary naburmuszony Bóg patrzy na mnie z góry i śmieje się szyderczo, że znalazłam się w najbardziej klasycznej pułapce na kobiety. Tej, która sprawia, że dają za wygraną i wmawiają sobie, że są wdzięczne.

To musi być kara za moje słoneczne marzenia o zmianie, snute tu, na Teneryfie.

Psiakrew.

Skoro i tak płaczę, przypominam sobie dawny smutek. Płaczę, myśląc o tym, co było. O wszystkich trudnościach, jakie się pojawiły wraz z narodzinami Siggego. To nadal świeża sprawa. Nadal bardzo boli. Myśl, że byliśmy tacy bezbronni. Że nie potrafiliśmy sobie pomóc, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy.

Muszę się rozruszać, wkładam więc trampki i bluzę z kapturem i wychodzę.

Wzdłuż morza ciągnie się oświetlony deptak. Pełno na nim ludzi. Mam nadzieję, że mrok ukrywa moją zapłakaną twarz.

Przy plaży widzę mężczyznę w kostiumie niedźwiadka Bamsego. Pali papierosa, trzymając pod pachą wielką głowę. Prawdopodobnie pracuje dla szwedzkiego biura turystycznego, które posiada hotel rodzinny z klubem Bamsego dla dzieci. Zatrzymuję się na chwilę i podziwiam jego powagę – stoi w absolutnym bezruchu i patrzy w zamyśleniu na ciemne morze, jakby medytował. Zupełnie nie przejmując się faktem, że jest przebrany za postać

z komiksu, i nie zwracając uwagi na ludzi, którzy przechodzą wyasfaltowanym deptakiem za jego plecami.

Też chcę być taka *cool* i pewna siebie, nie zastanawiać się, czy wyglądam śmiesznie.

Chłodne wieczorne powietrze dobrze mi robi, powoli rozjaśnia myśli. Idę daleko, daleko, aż zaczynają boleć mnie nogi. To przyjemny ból, który odrywa mnie od smutku i ciągnie ku rzeczywistości. Kawalek dalej widzę molo, wychodzące w morze. Wchodzę na nie, siadam i pozwalam falom opryskiwać moją twarz słonymi kroplami.

Żałuję, że nie ma tu ze mną Johana, który by mnie obejmował. Czuję tęsknotę za bliskością, za jego ciałem. Tęsknię za naszymi rozmowami. Za wszystkimi późnymi wieczorami i nocami w ciągu wspólnie spędzonej wieczności, które upłynęły nam na rozmowach. O wszystkim. Ukochana bratnia dusza! Żaden mężczyzna nigdy tak wytrwale mnie nie bronił, nie był ze mnie taki dumny, taki nieustraszony, tak bardzo mnie nie kochał. Ale też żaden mężczyzna tak mnie nie zranił. Tak potężnie nie rozczarował.

Myśl o nowym dziecku mnie przeraża. Boję się, że wyląduję w takim samym chaosie, w jakim byłam wcześniej. Kilka godzin temu byłam przekonana o konieczności zmian, ale nie wiem, czy jeszcze raz będę w stanie krzyczeć tak głośno, że aż zsinieję. Boję się rozczarowania, boję się odkryć, że nasze błędy niczego nas nie nauczyły.

Nie wiem, jak długo siedziałam na molo, ale nagle słyszę głosy zbliżających się ludzi.

Starsza para idzie zdecydowanym krokiem w moją stronę.

– *Oh dearest! You shouldn't sit here all by yourself!*<sup>29</sup> – mówi kobieta i kuca przy mnie.

– *It can be really dangerous out here with the wind and the darkness! The stones get really slippery!*<sup>30</sup> – dodaje mężczyzna, nadal stojąc.

– *It's all right!* – odpowiadam. – *I mean I'm all right!*<sup>31</sup> – dodaję niewyraźnym głosem, który chyba zdradza, dlaczego wyglądam, jak wyglądam.

Wiem, jaka czerwona robię się zawsze od płaczu, nawet jeśli nie płacę długo. Teraz przeplakałam kilka godzin.

– *Really!*<sup>32</sup> – zapewniam, kiedy się nie odzywają.

– *Yes, well let us walk you back to the street, darling!*<sup>33</sup> – mówi kobieta i po-

daje mi rękę.

Chwytam ją i próbuję uśmiechnąć się uspokajająco, ona zaś odpowiada łagodnym uśmiechem. Wymieniają z mężem porozumiewawcze spojrzenia, a ja domyślam się, że podejrzewają, iż naprawdę chciałam odebrać sobie życie.

Nagle przypomina mi się scena z filmu *Kochanica Francuza*, kiedy to Meryl Streep stoi na właśnie takim molo, chcąc rzucić się do morza, ale w ostatniej chwili ratuje ją Jeremy Irons.

Na myśl o tym wybucham głośnym śmiechem, a mężczyzna i kobieta patrzą z niepokojem na mnie i na siebie. Muszę spróbować to wytłumaczyć, ponieważ są mili i wygląda na to, że chcą dobrze. Nie chcę, żeby się martwili.

– *I was just thinking about love and life*<sup>34</sup> – mówię tak spokojnie, jak tylko potrafię, ale orientuję się, że to tylko zwiększa ich podejrzliwość.

Widząc ich wytrzeszczone oczy, nie mogę się powstrzymać przed kolejnym wybuchem śmiechu.

– *I'm happy. I promise you! It's just that I think I'm expecting another child and it brings back a lot of sad memories but also happiness!*<sup>35</sup> – próbuję znowu.

Kobieta nadal trzyma mnie za rękę, teraz zaś bierze moją dłoń w swoje i mocno ściska.

– *Oh dear girl!*<sup>36</sup> – mówi, patrząc mi w oczy.

Rozumiem, że to ich nie zadowoli. Wydają się naprawdę roztrzęsieni. Kiedy więc nalegają, żeby zaprosić mnie na filiżankę herbaty do najbliższej kawiarni, korzystam z zaproszenia.

Tylko kilka godzin upłynęło od chwili, kiedy kobieta z Turku gładziła mnie po policzku, a teraz dzieje się coś takiego. Ciekawe, czym emanuję, skoro starsi ludzie chcą się mną opiekować. Może dostrzegają moją tęsknotę?

Tak więc siedzę w środku nocy w kawiarni z parą starszych Anglików i opowiadam o swoim życiu. Słucham też o ich miłości. Pasuje do wszystkich klisz, jakie łączą się z mitem miłości: jest mieszczańska i liczy sobie czterdzieści sześć lat. Ona była gospodynią domową i opiekowała się dziećmi, on zaś jest lekarzem. Teraz dzieci są już dorosłe. John i Mary mają



czworo wnucząt i co roku jadą na dwa tygodnie na Teneryfę.

– Jesteście szczęśliwi? – pytam.

John i Mary patrzą na siebie i wybuchają głośnym śmiechem.

– *Dear girl!*<sup>37</sup> – mówi Mary i wyjaśnia, że szczęście to pojęcie względne i trzeba szukać go w sobie.

John się zgadza i dodaje, że teraz jest szczęśliwszy, niż był trzydzieści lat temu. Wtedy stresowały go wszystkie obowiązki, kariera i dzieci. Teraz jest spokojniejszy i bardziej cieszy się życiem.

– Może łatwiej odczuwać szczęście, kiedy jest się starszym? – mówi.

Może i tak.

Pytam, czy Mary nie nudziło bycie gospodynią domową. Ona spogląda na mnie poważnie i mówi, że takie były czasy. Bywała znudzona, ale najczęściej cieszyło ją, że widzi, jak dzieci rosną i się rozwijają. Gdyby jednak dziś była młoda, pewnie postąpiłaby inaczej.

– Gdybym nie była gospodynią domową, chciałabym być prawnikiem. Prawo zawsze mnie interesowało – mówi i wyjaśnia, że studiowała prawo na uniwersytecie, kiedy dzieci podrosły.

– Czy w takim razie nie czujesz goryczy, że siedziałaś w domu z dziećmi, zamiast studiować prawo? – pytam.

Mary zastanawia się przez chwilę.

– Żałuję niektórych wyborów – mówi w końcu – ale nie czuję się zgorzkniała. Gdybym teraz gryzła się tym wszystkim, co powinnam była zrobić, a czego nie powinnam, nie byłabym w stanie żyć. Próbuje pogodzić się z faktem, że wyszło jak wyszło, i zająć się tym, czego nie zdążyłam zrobić wcześniej.

– Ale ja właśnie tego się boję – odpowiadam. – Nie chcę być złośliwa, ale naprawdę nie chcę siedzieć za trzydzieści lat na Teneryfie i żałować dokonanych wyborów! Chcę teraz dokonywać właściwych!

Mary patrzy na mnie z powagą.

– No dobrze, ale może już teraz ci się to udaje? A jeżeli wybierasz źle, a wielu z nas nie zawsze udaje się dokonywać dobrych wyborów, tak czy inaczej nie ma sensu siedzieć tu za trzydzieści lat, czując gorycz. Musisz nauczyć się żyć z myślą, że czasami mimo wszystko będziesz wybierać źle.

John siedzi odchyłony do tyłu, pali papierosa i patrzy na morze. Czyżby

był zadowolony, że nie musiał z niczego rezygnować: z pracy, z kariery? A może dręczy go poczucie winy, że Mary zrezygnowała z tego dla niego? Nie mam odwagi pytać, bo już rozciągnęłam granicę szczerości.

Siedzimy jeszcze chwilę, pijąc herbatę, i rozmawiamy o wycieczce do parku papug, na którą John i Mary pojechali parę dni temu. Stwierdzają, że nie była warta wydanych pieniędzy, i uśmiechają się szeroko do siebie. John bierze Mary za rękę. Tkwiąca we mnie zgorzkniała pizda chowa się pewnie do jakiejś jamy, bo na ten widok czuję ciepło w piersi. Tak bardzo chcę wierzyć w ich miłość.

Może w niektórych rzadkich przypadkach miłość może być prawdziwa, a jednocześnie tak konwencjonalna i stała?

John i Mary odprowadzają mnie do hotelu, a kiedy jesteśmy na miejscu, obejmujemy się mocno i długo. Mówią, że muszę przyjechać w odwiedziny do ich kamiennego osiemnastowiecznego domu w Windsorze. Obiecuję, że przyjadę.

W środku nocy siedzę na balkonie i słucham morza. Fale huczą, a ja wkładam nogi pod koc, którym się owinęłam. Trochę marznę, ale chcę tu posiedzieć jeszcze chwilę i pomyśleć: o miłości, jej micie, równouprawieniu, o życiu.

I o dzieciach.

Isadora przybywa do Londynu, jedzie do hotelu Bennetta, wchodzi na górę i czeka w jego pokoju. Widzi jego marynarki i krawaty wiszące równo w szafie, kapcie na podłodze i szczoteczkę do zębów równo ułożoną na umywalce.

Myśli ze smutkiem, że nie widać jakichkolwiek śladów tego, że go zostawiła. Stos biletów teatralnych wskazuje, że widział wszystkie przedstawienia w całym Londynie. Nie przytrafiło mu się załamanie nerwowe ani też nie zrobił nic szalonego. To ten sam stary, godny zaufania Bennett – stwierdza rozczarowana. Robi więc to samo, co każdego wieczoru w tym tygodniu – bierze gorącą kąpiel. Najlepsza doraźna terapia.

*Było mi dobrze. Strach minął. Zimny głaz, który nosiłam w piersi przez dwadzieścia dziewięć lat, zniknął. Nie od razu. I może nie na dobre. Ale zniknął.*

*Może przyszedłam tu tylko po to, by się wykapać. Może wyjdę, zanim Bennett wróci. A może wrócimy*

*do domu razem i wszystko przemyślimy. A może będziemy żyć w separacji. Nie wiadomo, czym to się skończy. W XIX-wiecznych powieściach tych dwoje pobierało się. W XX-wiecznych powieściach tych dwoje się rozwodzi. Czy możliwe jest inne zakończenie?*

To mój ostatni dzień na Teneryfie. Spędzam go na leżaku przy basenie. Słucham country i czytam, śpię, czytam, drzemię, czytam i myślę o Isadorze oraz jej ewentualnym rozwodzie. Tak, jest wiele możliwości. Również dla mnie. Nie muszę mieć tego dziecka, jeśli nie chcę. Mogę rozwieść się z Johanem, jeżeli będę chciała.

Mam pełną wolność i pełną odpowiedzialność za własne, marne, wspańiałe życie.

Słońce przypieka, a ja się pocę i cieszę, kiedy dochodzę do wniosku, że chcę i nie chcę.

Chcę mieć to dziecko. Nie chcę rozwodzić się z Johanem. Naprawdę go kocham!

Przynajmniej na razie – czuję się zmuszona dodać z myślą o samej sobie. Za tydzień, miesiąc, rok mogę dokonać innego wyboru, teraz jednak jestem gotowa walczyć dalej. Chcę tego. Myślę, że jeśli będzie trzeba, dam radę wytrzymać jeszcze jedną rundę krzyku aż do zsinienia.

Wypełnia mnie uparte, przekorne uczucie: chcę zjeść ciastko i mieć ciastko. To się musi udać.

Patrzę na rodziny z dziećmi. Dziś akurat żaden tata nie pije heinekena, a żadna mama nie krzyczy histerycznie za biegającymi pociechami. Każda rodzina ma swój komplet leżaków: rozstawiają je obok siebie, jakby na znak przynależności. To wzruszające, kiedy tak leżą rozciągnięci jedno obok drugiego. Mama, tata, dzieci. Rodzina.

Kobieta w kostiumie w kolorze kutasowego rózu przechodzi chwiejnym krokiem obok mojego leżaka. Ona też mogłaby poleżeć przez chwilę u mnie na kolanach i odpocząć. Tak, współczuję jej, ale kiedy dziś ją widzę, jestem jednocześnie zła.

Siada samotnie przy stoliku kawałek dalej i zamawia butelkę białego wina. Jakąś minutę później zjawia się jej mąż, trzymając w ręku raketę tenisową. Staje przy jej stoliku i coś do niej mówi, po czym idzie dalej na kort. Kobieta patrzy w stół zawstydzona. Cały czas są tak daleko od siebie,

jak to tylko możliwe, a kiedy się spotykają, to zawsze z wyraźną pogardą.

Pamiętam słowa Isadory: „człowiek nie powinien się winić za chęć posiadania własnej duszy”. Masz rację, Isodoro. To psi obowiązek.

Posiadanie własnego życia.

Kochana kobieto o ustach alkoholiczki, nosząca kostium w kolorze kutasa, musisz się rozwieść, zanim zapijesz się na śmierć! Twój mąż ci nie pomoże! On gra sobie w tenisa, podczas gdy ty siedzisz sama i jesteś nieszczęśliwa. Sama musisz to naprawić!

Wracając do pokoju, wybieram drogę koło jej leżaka. Chyba chcę się pożegnać. A może coś więcej. Powiedzieć, do czego doszłam. Wyjaśnić, że rozumiem, dlaczego stała się uzależnioną od alkoholu zgorzkniałą pizdą. Na tym świecie jest tysiąc sensownych powodów, dla których jakakolwiek kobieta może zostać zarówno alkoholizką, jak i zgorzkniałą pizdą.

Ale na tym właśnie polega wyzwanie: żeby mimo wszystko nie przestać walczyć o godność i sprawiedliwość. Zgorzkniała pizda to tylko konsekwentna reakcja na chory system, wezwanie, żeby nigdy nie zadowalać się równouprawnieniem mniejszym od całkowitego.

Kobieta w różowym patrzy na mnie, a ja zwalniam kroku. Próbuję spojrzeć jej w oczy i uśmiecham się najprzyjaźniej, jak potrafię. Już się zatrzymałam. Stoję przed nią i czuję, że ciepło mojego uśmiechu zaczyna sztywnieć. Kobieta patrzy na mnie uprzejmie uśmiechnięta, ale jej spojrzenie jest nieobecne. Odrobinę za mocno wyprostowana walczy o zachowanie swojej pozycji.

Nigdy więcej nie będę gardziła naburmuszonymi kobietami o napiętych ustach. Nigdy więcej nie użyję słowa „baba”, bo za każdą babą kryje się skrzywdzona kobieta.

– *Auf Wiedersehen!* – żegnam się.

– *Auf Wiedersehen* – odpowiada grzecznie kobieta, ale jej spojrzenie jest mętne.

Nic do niej nie dotarło.

– No to *auf Wiedersehen* – powtarzam i szybko stamtąd odchodzę.

Odwracam się jeszcze i widzę, że kobieta siedzi w identycznej pozycji, zbyt mocno prostując plecy, sztywno uśmiechnięta. Niewzruszona.

Czy tak ma się to skończyć? To naprawdę nie do zniesienia.

W pokoju trochę popłakuję – to melancholijne łzy nad wszystkimi nieszczęśliwymi alkoholiczkami i mężczyznami, którzy grają w tenisa i wykonują szarpane ruchy przy pływaniu. Płacę też dlatego, że miłość potrafi być tak strasznie nędzna.

Płacę, ponieważ nie wiem nic o własnym końcu. Ponieważ tak trudno jest posiadać własne życie.

Siadam na balkonie i dzwonię do domu, do Siggego i Johana. Dziś Sigge jest weselszy i chce trochę porozmawiać. Właśnie oglądał *Bolibompę* i zjadł loda.

– Mamo, zaśpiewasz mi smutną piosenkę? – pyta.

– Tak, a jaką? – odpowiadam, choć wiem, którą wybierze.

– O foczce – mówi, a ja śpiewam mu do uszka, które jest dziesiątki tysięcy kilometrów stąd, a jednak tuż przy moich ustach.

Piosenka opowiada o foczce, a raczej foczku z Bałtyku, który próbuje wypłynąć na powierzchnię, ale nie może, bo pod lodem nabawił się grypy. Choć walczy dzielnie, nie udaje mu się wypłynąć.

Kończę śpiewać. Cisza.

– Halo! Sigge, jesteś tam?

– Dlaczego nie wypłynął? – pyta jak zwykle.

– Bo był chory i nie dał rady – odpowiadam.

Również jak zwykle.

– Ale co się potem stało? Kiedy nie wypłynął?

– Nic. Był przecież foką, więc pewnie po prostu popłynął dalej do mamy i taty.

– Aha. To do jutra.

Cmoka mnie przez słuchawkę prosto w ucho. Ja odpowiadam tym samym.

– Tak. Do zobaczenia jutro wieczorem, Sigge – odpowiadam niewyraźnie, a z oczu ciekną mi łzy, jak zawsze, kiedy z nim rozmawiam. Do telefonu wraca Johan.

– W jakim jesteś nastroju? – pytam. – Jesteś zły, smutny, niesamowicie zmęczony czy wręcz odrobinę szczęśliwy?

– Nie jestem zły ani smutny. Po prostu skupiony na pracy. Szczerze mówiąc, myślę, że dobrze się dla nas stało, że wyjechałaś. Inaczej byłabyś na

mnie zła.

Tak. Wiem, jak się zwykle zachowuje, kiedy praca zbliża się ku końcowi. Jest milczący i zamknięty. Albo, mówiąc jego słowami, skupiony. Chyba właśnie to rozpoznaję w nieobecnych spojrzeniach facetów w La Quinta Park i to tak bardzo mnie prowokuje.

– Myślę, że powinniśmy tak robić za każdym razem, kiedy próby dobiegają końca – mówi Johan.

– Jak? Powinnam wyjeżdżać? – pytam.

– Tak. Mówię poważnie. Uważam, że to jest super.

Właśnie takie przebłyśki szczodrości sprawiają, że go kocham. Poczucie, że chce dla mnie wszystkiego, co najlepsze.

– Dużo ostatnio myślałem. Jest mnóstwo spraw, o których musimy pogadać, jak wrócisz – mówi Johan.

– Wiem. Ja też myślałam – odpowiadam, myśląc o nowym życiu rosnącym w moim brzuchu i o zmianie, która musi nastąpić, jeżeli mamy mieć jeszcze jedno dziecko.

Mówimy sobie: „Pa, pa, do zobaczenia jutro”, „Tęsknię”, „Ja też”, „Cmok, cmok”, „Trzymaj się”, „Cześć”.

Po raz ostatni siedzę na balkonie i próbuję zapamiętać słońce, widok na morze i skrzypienie wózków emerytów jeżdżących wokół basenu. Wszystko to zabiorę ze sobą do zimowego Sztokholmu. Nawet znękanе kobiety i ich milczących mężów jako przypomnienie, w co może się przeobrazić miłość.

Następnego ranka na lotnisku widzę dziewczynę bojącą się latać i jej chłopaka.

Ona też mnie zauważa i podchodzi.

– Cześć, tęsknisz już, co? – mówi radośnie.

– Tak, tęsknię – odpowiadam i odkrywam, że jej pytanie wcale mnie nie sprowokowało.

Naprawdę tęsknię. I za Siggem, i za Johanem.

– Dobrze się bawiliście? – pytam, bo dziś jestem w wielkodusznym nastroju: zadowolona i dumna, że udało mi się wyjechać i mieć czas dla swoich myśli.

– Tak, choć teraz zaczyna się moje małe piekło. Lot samolotem, sama ro-

zumiesz.

Uśmiecha się do mnie tajemniczo.

– Na śniadanie wyżłopałam cztery duże whisky. Mam nadzieję, że to pomoże.

Odpowiadam uśmiechem. W tej samej chwili podchodzi chłopak. Ma spieczoną na czerwono twarz, a zwłaszcza czubek nosa. Bawi się złotym kółkiem, które ma w lewej małżowinie.

– Tak, Boże kochany, jeszcze nie oderwaliśmy się od ziemi, a ona już jest nagrzana – mówi i wybucha śmiechem.

Ja się nie śmieję. Po tygodniu w La Quinta Park jestem zmęczona wszystkimi zamkniętymi w sobie mężczyznami, którzy chowają się za kuflem piwa i szyderczą ironią. Zmęczona mężczyznami, którzy wstydzą się swoich żon.

Spoglądam na dziewczynę, ale ona patrzy w ziemię. Też się wstydzi, ale nie za swojego wrednego chłopaka, tylko za siebie.

Chłopak jest najwyraźniej dotknięty tym, że mu nie wtóruję. Jego uśmiech tężeje.

– Tak, ale co innego robić, skoro ona się tak cholernie boi przez cały czas? – pyta, nie oczekując odpowiedzi.

Dziewczyna bojąca się latać nadal patrzy w ziemię. Może jest przyzwyczajona, że jej chłopak rozmawia ponad jej głową z nieznanymi kobietami na lotniskach?

– Może mógłbyś ją spróbować pocieszyć, a nie tylko szydzić, do cholery? – mówię i odchodzę.

Czuję, że się czerwienię, a spod pach leje mi się pot. Boże. Co za reakcja. Znajduję kawiarnię spory kawałek dalej w oddzielnym rogu i siadam, najpierw upewniwszy się, że dziewczyna i chłopak za mną nie poszli. Zamawiam kawę i croissantą i wzdycham z rozkoszy, kiedy mocna, gorąca kawa wypełnia mi usta i parzy język.

W samolocie nie mogę usiedzieć. Nogi podskakują, a sześć godzin płynie w żółtym tempie. Czuję tak wielką tęsknotę, że ssie mnie w żołądku. Próbuje czytać o Isadorze. Do końca zostało mi już tylko kilka stron, ale myśli w mojej głowie jest zbyt wiele i walczą o uwagę.

Na pewno da się kochać i żyć w równouprawnieniu. Na pewno da się

uwolnić miłość z więzienia gównianego patriarchatu. Na pewno da się zrobić tak, żeby miłość była największa, żeby stała ponad wszystkim. Była tym, co umożliwia zmianę. Co sprawia, że ludzie chcą dobrze.

Zamierzam w to wierzyć.

Chcę w to wierzyć.

Jednak w tej właśnie chwili w oko wpadają mi słowa Joyce Carol Oates, cytat, który zapisałam sobie w notatniku i do którego często wracam:

*Prawda to życzenie; chcemy wierzyć; to, w co chcemy wierzyć, nazywamy prawdą. A kiedy pojawia się miłość, wtedy tracimy prawdę.*

Myślę o tym. Myślę o kobiecie w kostiumie koloru kutasowego różu, o dziewczynie bojącej się latać, o mamie, o sobie samej.

O tym, że milczenie boli tak samo jak kłótnia. Że tak naprawdę nie wiem, co jest prawdą, a co czymś, w co po prostu chcę wierzyć.

Kiedy samolot ląduje, szumi mi w głowie i mrowi w żołądku. Czuję lekką falę mdłości i energicznie żuję gumę. Jesteśmy na miejscu.

Sigge siedzi w niebieskim wózku, trzymając w ręku na wpół zjedzoną bułkę. Johan przykucnął obok. Zapomniałam, jacy fajni są w rzeczywistości. Podnoszę Siggego, mocno go przytulam i czuję, że z oczu zaczynają płynąć mi łzy. Wącham jego szyję, całuję w ucho, policzek, włosy. Trzymam go kawałek od siebie, żebym mogła mu się dobrze przyjrzeć.

– Cześć, kochana żabko! – mówię.

– Cześć – odpowiada po prostu. – Mamo, dlaczego jesteś smutna?

– Bo tak się cieszę, że cię znowu widzę! – odpowiadam.

– Tatę też uściskaj – prosi.

Nasz mądry, czuły maluch wciąż mnie zaskakuje wiedzą o tym, jak krucha jest miłość.

Wsadzam Siggego do wózka i odwracam się do Johana. On patrzy na mnie pytająco, a ja unoszę brwi i patrzę pytająco na niego.

Oboje najwyraźniej mamy trudności z ustaleniem, jak to ma między nami być. Lodowate nadąsanie, tak dobrze znane, które powoli, lecz konsekwentnie drąży mi wnętrzności.

A może po prostu za sobą tęskniliśmy?

Próbuję ostrożnego uśmiechu. Johan odpowiada nieco szerszym. Czuję,



że robi mi się ciepło, robię krok do przodu i przyciągam go do siebie.

Całujemy się – to głęboki, długi pocałunek. Czuję mrowienie w okolicach przepony.

W domu wszyscy troje wchodzimy pod kołdrę. Czytamy o Niusi i wilkach. Dochodzi dziesiąta, a Sigge zasypia zmęczony akurat w chwili, kiedy wilki wchodzą na świerki i nie mogą zejść.

– Muszę się wykąpać – mówię.

– Wykąp się, ja zaraz przyjdę – odpowiada Johan.

Zanurzam się w gorącej wodzie. Czuję, jak powoli się odprężam i robi mi się ciepło. Chcę doczytać ostatnią stronę *Strachu przed lataniem*.

Isadora też siedzi w wannie w pokoju hotelowym Bennetta w Londynie. Czeki i zastanawia się, co powiedzieć Bennettowi, kiedy wróci.

*Jeśli się ponizysz, będziesz wywyższona – powiedział Adrian. Z całą pewnością wiedziałam, iż nie zamierzam się poniżyć. I nic ponadto, to wystarczyło.*

*Dolałam gorącej wody i zaczęłam myć głowę. Myślałam o Adrianie i stałam mu bulgocące pocałunki. Myślałam o nieznanym wynalazcy wanny. Z dziwną pewnością uważałam, że była to kobieta. Czy w takim razie wynalazcą korka do zatykania wanny był mężczyzna?*

*Podśpiewywałam i płukałam włosy. Gdy namydlałam je ponownie, wszedł Bennett.*

Koniec.

Kładę książkę na mokrej podłodze w łazience, widzę, jak papier wsysa wodę, robi się pofałdowany i zawilgocony.

Patrząc na swoje ciało, rozgrzane i unoszące się na wodzie, jakby było pozbawione ciężaru. Przesuwam palcem po fioletowej bliźnie po cesarce i myślę, że dawno temu, w zupełnie innym czasie i zupełnie innym świecie czyjeś silne ręce wyciągały stamtąd Siggego. Zastanawiam się, co tak naprawdę znaczy otwarte zakończenie Isadory, i dochodzę do wniosku, że bardzo wątpię, czy ich małżeństwo przetrwa mimo wejścia Bennetta na ostatniej stronie. Może pół roku, nie dłużej. Chyba że jest to tylko myślenie życzeniowe, rekompensata za mój własny mizerny koniec.

Może jest tak, jak Erika Jong pisze w *Strachu przed lataniem* – „w XIX-wiecznych powieściach ludzie się pobierali, a w XX-wiecznych rozwodzili”. W takim wypadku, myślę, w powieściach z dwudziestego pierwszego wieku

powinien nastąpić powrót do heteronormatywności.

Wygląda na to, że to klasyczne heteronormatywne zakończenie na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

Ku mojemu zdziwieniu wcale mnie to nie złości. Stwierdzam to, jednocześnie delikatnie szczypiąc się w lewą brodawkę sutkową. Wierzę po prostu, że moja wewnętrzna zgorzkniała pizda będzie o sobie przypominała, jeśli źle trafię.

Przeciągam palcem pod nieogoloną pachą i czuję się silna i zdecydowana. Przekonana o wszystkich możliwych zmianach, których chcę.

Patrzę na swój brązowy, kędzierzawy trójkąt, unoszący się pośrodku wanny jak wyspa wodorostów. Cieszę się, że nie ma tam żadnego sznurka od tamponu. Cieszę się z życia, które na nowo we mnie rośnie.

Ale czuję też strach. Że karuzela wkrótce znów zacznie się kręcić. A przecież właśnie z niej zsiadliśmy, czujemy mdłości i zawroty głowy.

W tej samej chwili wchodzi Johan i kuca przy wannie. Gładzi mnie po policzku, a ja chwytam jego dłoń i kieruję do brzucha. Patrzymy sobie w oczy bez słowa i wtedy dociera do mnie, że to się tutaj nie kończy. Nagły, jasny przebłysk, właściwie prawdziwa rewolucja, że całe to szalone, obrzydliwie wspaniałe życie składa się z wyborów poszczególnych dróg. Te wybory nie są łatwe, najczęściej bolesne. Ale mimo to stanowią szereg możliwości, aby rozpocząć jeszcze raz.

Życie może być magiczne i wielkie, ale chyba równie często jest nudne i pełne nudnej rutyny. I właśnie wtedy, kiedy wszystko jest nie do zniesienia, trwa styczeń, a ty jesteś zamknięta w sobie i zamarznęta, warto wyjechać na tydzień na Teneryfę czy dokądkolwiek, byle tylko zyskać ciszę i spokój, by to wszystko przemyśleć.

Czy moje życie jest takie, jakie chcę, żeby było?

Nigdy więcej nie zamierzam przeproszać za chęć posiadania własnej duszy i własnego życia.

To zaczyna się teraz. Zakończeń nie ma.

I wish I knew how it would feel to be free  
*I wish I could break all the chains holding me*  
I wish I could say all the things that I should say  
Say them loud, say them clear  
For the whole round world to hear  
I wish I could share all the love that's in my heart  
Remove all the bars that keep us apart  
I wish you could know what it means to be me  
Then you'd see and agree that every man should be  
free

Nina Simone, *I Wish I Knew How It Would Feel To Be Free*

Osoby, którym dziękuję za całą miłość i przyjaźń: Olof, Sonja, Bella, Carro, Daniel, Lise, Johanna, Kattis, Katja, Pål, Jonna, Anna, Micke, Inga, Claes, Lo, Karin, Jocke.

Źródła inspiracji, którym również dziękuję: Nina Simone, Maria-Pia Boëthius, Hanna Olsson, Suzanne Osten, Gudrun Schyman, Carin Holmberg, Suzanne Brøgger, Märta Tikkanen, Susan Faludi, Kerstin Thorvall, Jane Fonda, Joyce Carol Oates, Martha Wainwright, Erica Jong.

Dziękuję fundacji Helge Ax:son Johnsons stiftelse za dofinansowanie, dzięki któremu mogłam dalej pisać.

Dziękuję Evie, mojej odważnej wydawczyni, i wnikliwej redaktorce Tulle.

- 
- <sup>1</sup> Erica Jong, *Strach przed lataniem*, tłum. Małgorzata Fabianowska, Zysk i S-ka, Poznań 1998 (wszystkie cytaty E. Jong pochodzą z tego właśnie wydania) (przyp. tłum.).
  - <sup>2</sup> Przepraszam, ale nie mówię po duńsku (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>3</sup> Aha. Jak masz na imię? (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>4</sup> Aha, ładnie. Ja jestem Mads (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>5</sup> A ja Henrik. Jesteś tu sama na wakacjach? (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>6</sup> Nie. Przyjechałam do pracy. Jestem aktorką i jutro w Casino gramy sztukę pod tytułem *Dallas* (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>7</sup> Możemy przyjść cię zobaczyć? (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>8</sup> Jasne. Każdy może. Jutro o dziewiątej w Casino (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>9</sup> Okej, przyjdziemy. A potem może się wybierzemy na drinka? (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>10</sup> Albo dwa..., albo trzy... (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>11</sup> Do jutra! (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>12</sup> Chodź tu, Georgie! Georgie! GEORGIE! Liczę do trzech. Raz! Dwa! Trzy!... Świetnie! Dobry chłopiec (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>13</sup> Różowa księżniczka. Różowa księżniczka była zawsze ubrana na różowo. Pewnego dnia, kiedy chodziła po lesie [...] Jessie! Coś ty narobiła? Zepsułaś mamusi okulary! Dlaczego, Jessie? Dlaczego? (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>14</sup> Zobacz, co narobiła! Zniszczyła mi okulary! (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>15</sup> Jessie! Dlaczego ignorujesz mamusię! Przeproś ją! (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>16</sup> Jutro wracamy do Anglii (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>17</sup> Sara! Fajnie, że przyszedłaś! Wpadnij jutro o siódmej na body tuning. Świetna zabawa! (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>18</sup> Dobrze, może przyjdę. Było bardzo przyjemnie (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>19</sup> Dobrze! [...] To do jutra (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>20</sup> Sara! Przyszedłaś! Jak dobrze (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>21</sup> Byłaś fantastyczna, Saro (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>22</sup> Dziękuję (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>23</sup> Wpadniesz ze mną do baru na drinka? [...] Tylko małe piwko. Fajnie zobaczyć w tym hotelu kogoś młodego! (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>24</sup> No dobrze, małe piwko (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>25</sup> Nie wyglądasz na matkę (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>26</sup> Grubo [...] Dlatego nie mam dzieci. Nie chcę stracić kontroli (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>27</sup> Możesz zabrać mnie gdzieś, gdzie można potańczyć? (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>28</sup> Oczywiście!!! (ang.) (przyp. tłum.).
  - <sup>29</sup> Moja droga, nie powinnaś siedzieć tu sama! (ang.) (przyp. tłum.).

- [30](#) To może być naprawdę niebezpieczne przy tym wietrze i w ciemnościach! Można się poślizgnąć na kamieniach! (ang.) (przyp. tłum.).
- [31](#) W porządku! Ze mną wszystko w porządku (ang.) (przyp. tłum.).
- [32](#) Naprawdę! (ang.) (przyp. tłum.).
- [33](#) Oczywiście. Pozwól, moja droga, że odprowadzimy cię do ulicy (ang.) (przyp. tłum.).
- [34](#) Rozmyślałam o miłości i o życiu (ang.) (przyp. tłum.).
- [35](#) Jestem szczęśliwa. Przysięgam! Po prostu będę chyba miała drugie dziecko, a to wywołuje tyle przykrych wspomnień, ale też tyle radości! (ang.) (przyp. tłum.).
- [36](#) Drogie dziecko! (ang.) (przyp. tłum.).
- [37](#) Drogie dziecko! (ang.) (przyp. tłum.).

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto 1](#)

[Motto 2](#)

[RADOŚĆ Z LATANIA](#)

[POPCORN NOCĄ \(1982\)](#)

[WKRÓTCE NA MIEJSCU](#)

[NOWA RACHUBA CZASU \(2002\)](#)

[MAŁA BRITTIS SIĘ ROZKOSZUJE](#)

[MODLĘ SIĘ DO BOGA \(1983\)](#)

[RODZINNE SZCZĘŚCIE](#)

[JAK DZIWKA](#)

[WSZYSTKO PALI](#)

[PAW](#)

[POMARAŃCZOWI MĘŻCZYŹNI](#)

[800 STOPNI](#)

[MÓWIĘ DO WIDZENIA \(1993\)](#)

[POMPONY W PANTERKĘ](#)

ZOSTAŁO MAŁO CZASU (1993)

THE REVOLUTION WILL NOT BE TELEVISED

W ŚRODKU NOCY

Podziękowania

Przypisy